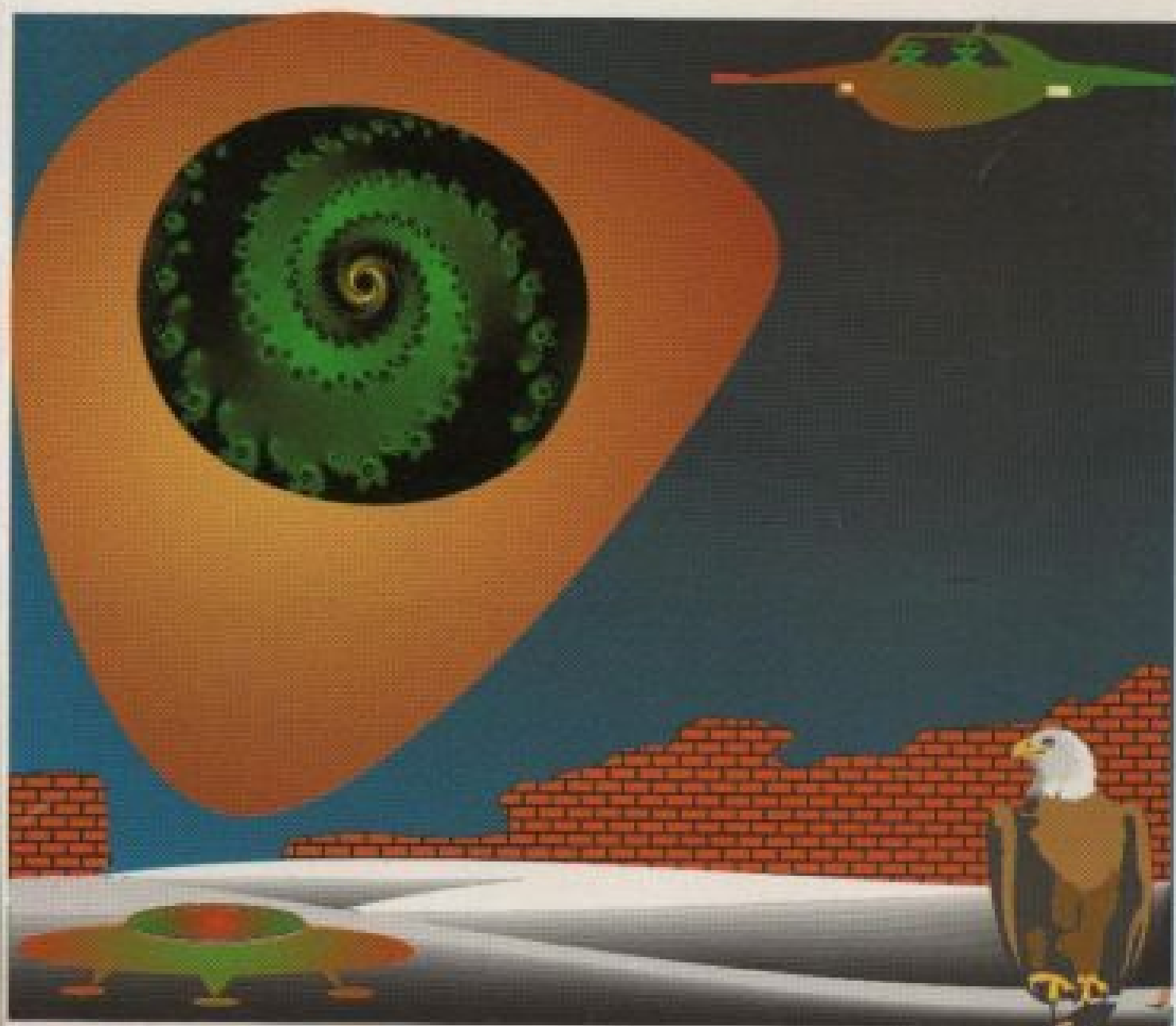


D... ERICH VON DÄNIKEN

Szok po przybyciu bogów



Książka powstała przy współpracy Ulricha Dopatki z Zurychu
Tytuł oryginału: Der Götter-Schock

Projekt okładki: Studio Grafiki Komputerowej Wydawnictwa Prokop
Redakcja i redakcja techniczna: Krzysztof Pruski

Źródła ilustracji kolorowych: 8 (fot.), 10, 13 — Rudolf Eckhardt, Berlin; 8 (rys.)

Helene Gerov, Wien; 14, 17 — Constantin Film, München; 19, 20, 24

— Heinrich Gerhard Franz; 25, 26 — G. Mossay/SOFAM, IPC, Bruxelles

Źródła ilustracji czarno-białych: s. 32 — Frank Hurley; s. 51 — arch. Ulricha

Dopatki, Zurich; s. 124 — Ralf Lange, Zuchwil;

Pozostałe zdjęcia i ilustracje pochodzą z archiwum Autora

© 1982 by C. Bertelsmann Verlag, München 1992

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1993

Wstęp

ISBN 83-86096-02-0

Skład: Wydawnictwo Prokop

Komputerowe przetworzenie i łamanie tekstu: „Iskra”, Warszawa

Druk i oprawa: Lubelskie Zakłady Graficzne

Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1994

Wydanie I, nakład I: 40 tyś. egz.

Drodzy Czytelnicy!

Lektura tej książki jest jak podróż w czasie. Jej początki sięgają 1492 roku, kiedy na horyzoncie pojawił się Krzysztof Kolumb — a prowadzi w zamierzchłą, mglistą przeszłość, w czasy naszych najdawniejszych przodków. Docieramy do epoki, w której z nieba zstępowali "bogowie" i nauczali. Kim byli ci nauczyciele? Skąd przybyli? Opuścili nas na zawsze, czy może ich potomkowie wrócą w dzisiejszych czasach?

Czy człowiek współczesny znów stanął wobec tajemnic znanych ze starych przekazów? Jak zachować się wobec fenomenów UFO i istot z Kosmosu? Czy wśród planetoid — gdzieś między Marsem a Jowiszem — przemyka wielki międzygwiazdny statek kosmiczny? Czy ludzie są ślepi? Czy nie chcemy wiedzieć, co dzieje się wokół nas?

Moja podróż w czasie, prowadząca w rejony tajemniczych spotkań, nie byłaby możliwa bez pomocy pana Ulricha Dopatki. Pan Dopatka był wieloletnim wicedyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej Zii- rich-Irchel. Ma nos badacza — a do tego cechuje go mrówcza pracowitość, niezbędna przy wyszukiwaniu niezliczonych źródeł pisanych oraz ikonograficznych, które dzięki niemu mogłem wykorzystać w tej książce. Serdecznie mu za to dziękuję.

A państwu, Drodzy Czytelnicy, życzę emocjonującej podróży w przeszłość, w teraźniejszość i w przyszłość.

Wasz

Erich von Daniken

CH-4532 Feldbrunnen

14 kwietnia 1992

I. Ludzcy bogowie

Zabawne w historii jest to,
że się zdarzyła.

Peter Bamm (1879-1975)

„Ujrzeliśmy dwie czy trzy osady, lud tubylczy coś do nas wołał, dziękując Bogu. Paru tubylców przyniosło wodę, inni jedzenie. [...] Zrozumieliśmy, że pytają, czy przybywamy z nieba." [1]

Tymi słowami syn Krzysztofa Kolumba uwiecznił pierwsze spotkanie swojego słynnego ojca z „dzikusami”. 12 października 1492 roku, po trwającej 33 dni podróży, Kolumb wyszedł na ląd na San Salvador, jednej z wysp Bahama. Oszołomieni i zdumieni w najwyższym stopniu tubylcy nie pojmowali, co się stało. Już po pierwszym zetknięciu z białymi nadzy Indianie o skórze koloru kawy zbiegli się zewsząd na miejsce lądowania przybyszy. Tam ujrzeli ceremonię niepojętą. Kolumb, kapitanowie i oficerowie dwóch mniejszych statków floty, „Pinty” i „Nini”, mieli na sobie przepyszne stroje. Byli ubrani w granatowe i ciemnoczerwone aksamitne kaftany z białymi walońskimi kryzami, pludry, fioletowe jedwabne pończochy, szerokie pasy nabijane srebrem — na to była narzucona pelerynka hiszpańskiej kawalerii dworskiej. Sam Kolumb — potwierdzone — miał kapelusz z szerokim rondem, z którego zwieszały się pozłacane ozdoby. W jednej ręce trzymał sztylet, w drugiej — sztandar królewski. Towarzyszący mu

oficerowie zatknęli dumnie w ziemi Nowego Świata flagi z literami „F” oraz „I” — od imion pary królewskiej — Ferdynanda i Izabeli Hiszpańskiej. Potem ze statku wygramoliło się dwóch brodatych mnichów w brązowych habitach, niosących krzyż, który wbili obok chorągwi królewskich. Na koniec do grupki dołączyła część załóg — zawadiaki w pstrokatych ubraniach. Jedni brodaci, inni ogoleni. Na ląd wytaczały się typy z tonsurami i bez. Jedni obuci, inni boso. Paru kompanów, pachnących raczej niemiło, miało na sobie koszule w wielką kratę, inni świecili jasnobrązową skórą nagich torsów, jeszcze inni mimo upału mieli na głowach żelazne hełmy. Oczywiście wszyscy wzięli na ląd noże, sztylety, strzelby — gromada doprawdy godna respektu.

Nawiasem mówiąc dziwne, że na widok tej nieokrzesanej bandy Indianie nie uciekli gdzie pieprz rośnie. Zwyciężyło jednak zafascynowanie obcymi. Poza tym Kolumb i jego oficerowie rozdawali dzikim wspaniałe prezenty: tanie czerwone czapeczki, bezwartościowe szklane paciorki, liche lusterka, jakieś grzebyki i „inne przedmioty pośledniej wartości, które oni za godne ceny najwyższej uważali” [1]. Tubylcy z szacunkiem obdarzyli te śmiecie słowem *turey*, co znaczy — niebo.

Przekonujący przykład cudu, dzięki któremu Kolumb robił z Indian idiotów, miał miejsce dwa i pół miesiąca później. 26 grudnia 1492 roku Kolumb i jego ludzie byli bohaterami święta, celebrowanego przez odważnego do szaleństwa wodza Guacanagari z Haiti. Na powitanie Kolumb podarował mu koszulę, parę spodni i parę rękawiczek. „Kiedy myślał, że tego nie widzę, gapił się z zachwytem na rękawiczki”

— zapisał Kolumb [2]. Indiański książę Guacanagari był zapewne wówczas najszczęśliwszym dzieckiem na całym szerokim świecie, bo po zakończeniu uroczystości marynarze zauważyli, jak paraduje po brzegu z dumnie wypiętą piersią i błogim uśmiechem. Oczywiście ubrany w śmieszne pludry! Nim to jednak nastąpiło, Kolumb zademonstrował swoją „boską” władzę: „Kazałem wypalić z bombardey i ze strzelby. Indianie padli na twarz, usłyszawszy huk wystrzałów. Upłynęła dłuższa chwila, nim odważyli się poruszyć”. [2]

Znamy opis jednej strony — Kolumba. Jak wyglądałaby po stuleciach relacja z takiego zdarzenia, gdyby napisali ją Indianie?

Pompa i bluff

Ledwie trzydzieści lat później, w 1519 roku, niechlubny spektakl powtórzył się, przybierając jednak tragiczny charakter. U wybrzeży

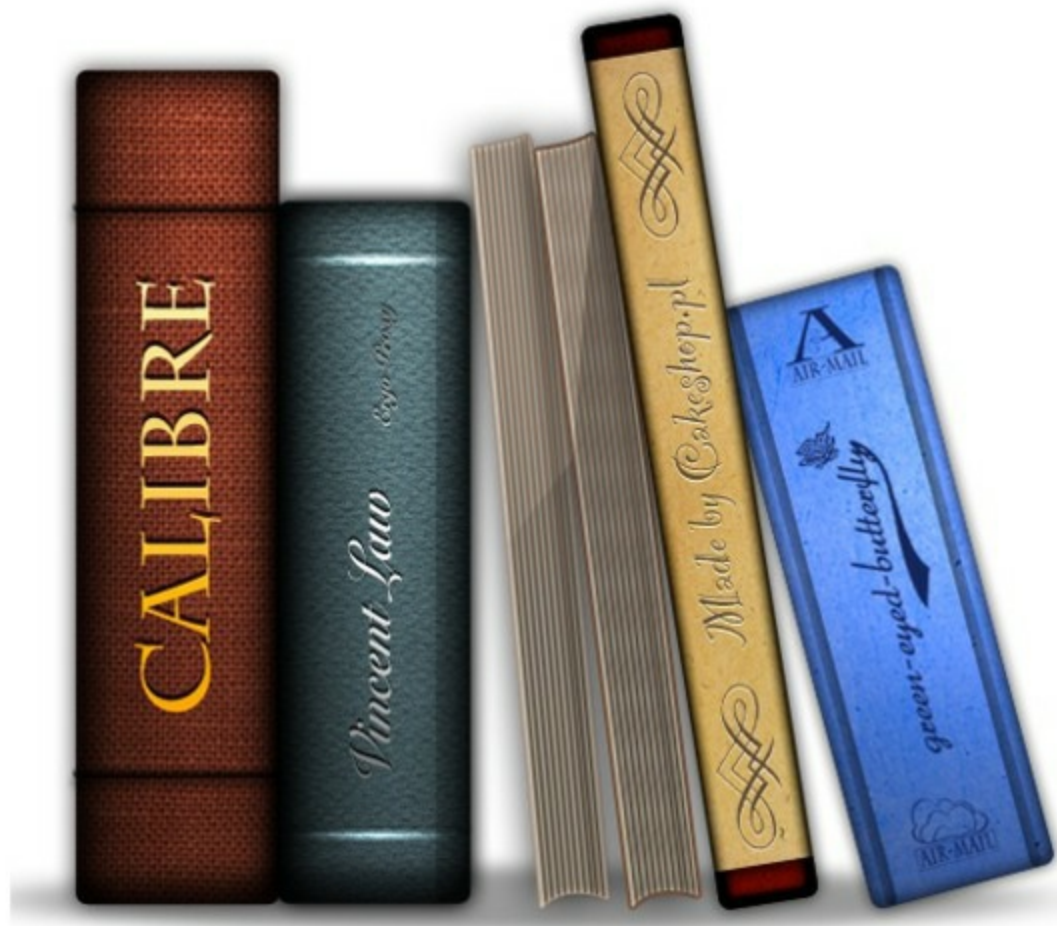
Meksyku pojawiło się 11 statków pod dowództwem Hernana Cortesa. Miały na pokładzie 100 marynarzy i 508 żołnierzy — wśród nich 32 kuszników i 13 muszkieterów. Wiozły też 16 koni z prawdziwie rycerskimi rzędami. Montezuma, bogaty władca dalekiej Wyzyny Meksykańskiej, od dawna wiedział od swoich informatorów, co dzieje się na wybrzeżu. Posłańcy, których posłał do Hiszpanów, ucałowali

6

7

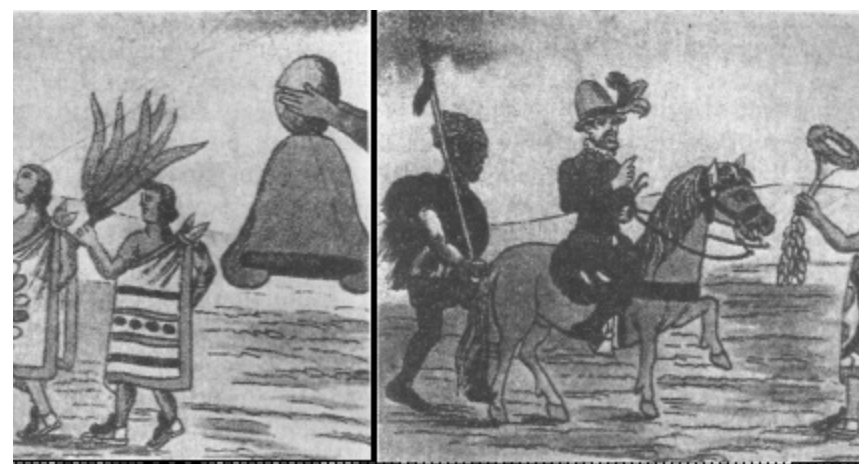
Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.8.31

z czią drewno statków. Przynieśli dary, w istocie przeznaczone dla boga Quetzalcoatla: kosztowne szaty i ozdoby ze szczerego złota. „Bóg Cortes” odwdzieczył się paciorkami, które posłańcy Montezumy uznali za „niebiańskie kamienie szlachetne”. Podobnie jak Kolumb kazał wypalić z armaty — delegacja Indian „padła jak martwa na ziemię” [3]. Kiedy wstrząśnięci posłańcy powrócili do swojego władcy, złożono rytualną ofiarę z jeńców — dopiero potem posłańcy mogli przekazać swoją wstrząsającą opowieść... Montezuma słuchał zafascynowany i „zdumiało go, gdy usłyszał o armatach, szczególnie o ich huku, rozbijającym uszy, smrodzie prochu i ogniu wylatującym z lufy oraz o sile kuli, rozszarpującej drzewa” [3]. Straszna zdała się Montezumie relacja posłańców o „zbrojach, pancernych koszulkach, hełmach bojowych, mieczach, kuszach, arkebuzach i lancach, przede wszystkim wszakże o koniach i ich wielkości”. „I o tym, jak jeździli na nich Hiszpanie w zbroi, i że widać im było tylko twarz, a twarze mieli białe a oczy szaroniebieskie, rude włosy i długie brody, i że byli też pośród nich czarnoskórzy z kręconymi włosami” [3]. Montezuma i najwyżsi kapłani potraktowali prezenty od Cortesa jak relikwie. Parę próbek jedzenia położono w najważniejszej świątyni na kamieniu, na którym wykrawiano serca, składane na ofiarę bogom [4].



Wysłańcy indiańskiego plemienia Tlaxcalteków proszą Cortesa o pokój (rys. z natury Lienzo de Tlaxcala)

Trochę pompy, trochę hałasu, trochę techniki niezrozumiałej dla tubylców — i ciemne dzikusy zaczynają okazywać przybyszom najwyższy szacunek. W niedalekiej Ameryce Południowej panuje wtedy Inka Atahualpa, który wygrał właśnie decydującą bitwę przeciw przyrodniemu bratu Huascarowi. Teraz Atahualpa jest jedynowładcą, może rządzić ogromnym inkaskim imperium bez opozycji politycznej. Ale Atahualpa nie jest do końca szczęśliwy, bo informatorzy donieśli mu o dziwnych „pływających zamkach” u wybrzeży. „Zamkami” były hiszpańskie okręty, posuwające się od Panamy na południe.

Już dwa lata po Cortesie, 13 maja 1531 roku, Hiszpan Francisco Pizarro wraz z niewielkim oddziałem wylądował w Tumbez, porcie na wybrzeżach dzisiejszego Peru. Ówczesny Neil Armstrong, który zrobił pierwszy krok wprawdzie nie na Księżycu, ale bądź co bądź był pierwszym białym człowiekiem na kontynencie amerykańskim, nazywał się Pedro de Candida i był z zawodu sztukatorem. Był postawnym mężczyzną. Podczas swojego historycznego występu Señor Pedro nosił „kolczugę sięgającą do kolan”, bo obawiał się ukrytych łuczników. W lewym ręku miał tarczę nabijaną srebrem, w prawym zaś szeroki miecz. Nawet tresowany jaguar nie odważyłby się napaść na tę świetlistą postać. Postać jakby żywcem przeniesioną z odległego królestwa niebieskiego! Indianie byli zdumieni do tego stopnia, że uznali senora za „Syna Słońca”. Z ochotą i w pokorze pokazywano mu świątynie i świętości - - był jak bóg przeprowa-

8

9

dzający inspekcję swojego królestwa. „Prowadzono go z jednego pomieszczenia do drugiego, od skarbu do skarbu, a pokazano mu nawet mieszkanie jego brata, Inki”. [5]

Przebiegły Francisco Pizarro w jednej chwili wyczuł sytuację. Wiedział, jak poszło jego ziomkom — Cortesowi i Kolumbowi. Tylko szkoda, że Montezuma w Meksyku i Atahualpa w Peru nie mieli telefonów. Ze 106 pieszymi i 62 jeźdźcami Pizarro nie miałby żadnych szans w walce ze zdyscyplinowaną, wielką armią Inków. Ale los chciał inaczej.

Atahualpa panował na Wyżynie Peruwiańskiej podobnie jak faraon w Egipcie. Dla poddanych był bogiem, Synem Słońca, bezpośrednim potomkiem „Synów Słońca”. Wedle starej legendy bóg-stwórca Tiki Wirakocza, który opuścił Ziemię przed dawnymi czasy, miał kiedyś powrócić. Nawet ojciec Atahualpy, XI Inka Huayna Capac, przepowiedział, iż „Wirakoczowie” powrócą i spowodują zniweczenie królestwa. Jakby tego nie było dosyć, posągi zagadkowego Wirakoczy przedstawiają go pod postacią istoty z brodą [6]. Nie ma się więc co dziwić, że obwieszono łańcuchami mistrza sztukatorskiego Pedra de Candidę. Inkowie uznali z podziwem za posłańca „Syna Słońca”, sądząc *zarazem*, że jego dowódca, Francisco Pizarro, jest wyczekiwany Wirakocza we własnej osobie.

Ta osobliwa wiara w „bogów”, których powrotu „z nieba” albo „ze

stron dalekich" oczekiwano, jest typowa dla wielu dawnych kultur. Kiedy admirał holenderski Jakob Roggeveen w Wielką Sobotę 1722 roku odkrył Wyspę Wielkanocną, jakiś mężczyzna wypłynął mu na spotkanie w łodzi wiosłowej trzy kilometry od brzegu. Holendrzy podjęli samotnika, ten zaś padł z czcią na klepki pokładu. Admirał Roggeveen okrążając wysepkę zdumiał się zapewne widząc setki patrzących tępo w morze kamiennych olbrzymów o wielkich, lśniących oczach i potężnych, rdzawoczerwonych kapeluszach na głowach — jakby czekających na czyjeś przybycie. Roggeveen nie dobił do wyspy z obawy przed rafami, stanął u jej wybrzeży na kotwicy, a dziwnemu wioślarzowi darował trzy sztuki odzieży. Tubylcowi pomyliły się nogawki z rękawami. Nie wiedział, co począć z ubraniem. Gdy marynarze dali mu do rąk nóż i widelec i zrobili ruch, jakby wkładali coś sobie do ust, wyrócił oczy i ugryzł widelec. Wyspiarzowi tak bardzo podobało się na pokładzie, że chciał zostać wśród „bogów”. Roggeveen i jego oficerowie musieli odegrać regularną pantomimę a w końcu przemocą pozbyć się tubylca. Niebawem zachwycony tłum wyspiarzy zaczął szturmować statek. Myśląc że są w niebezpieczeństwie, Holendrzy dobyli noży. Połała się krew, padły strzały.

10

Dzień później 150 ludzi odważyło się wyjść na brzeg. Wstrząśnięta ludność otoczyła przybyszy i obsypała prezentami wszelkiego rodzaju. Holendrzy znów wyrwali się z niemiłego okrążenia przy pomocy noży i broni palnej. Tłum pierzchnął, a „zmieszanie tych ludzi było nader wielkie” [7]. Wyspiarze padali przed Holendrami na ziemię, a gdy chcieli znów się poruszyć, odczołgiwali się do tyłu, aby zachować bezpieczny dystans najmniej dziesięciu kroków. Holenderscy „bogowie” zapewnili sobie szacunek.

Szkoda, że z powodu dwóch straconych kotwic admirał Jakob Roggeveen kazał odpłynąć nie zbadawszy wyspy. Od tubylców dowiedziałby się zapewne czegoś o dziwnych kamiennych posągach ze lśniącymi oczami z macicy perłowej i okazałymi kapeluszami na głowach. A tak po dziś dzień nie wiemy, kogo uwiecznili mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej. Monumentalne posągi o zaciśniętych, wąskich ustach i poważnych rysach twarzy, przypominających „twarz” robota, nie wyglądają na wizerunki przedstawicieli żadnego plemienia z regionu mórz południowych. Kogo tu więc wyobrażono? A może jakiś wiekowy wyspiarz powiedziałby Holendrom, kim byli mistrzowie, którzy nauczyli mieszkańców wysepki dokładnie takiej samej techniki murarskiej, jaką na dalekiej wyżynie Peru stosowały preinkaskie plemiona indiańskie.

Kolejni przybysze odkryli „na południowym wybrzeżu wyspy dom kultowy na wybrukowanym placu, gdzie czczono bogów, którzy przybyli na statkach z daleka” [8]. Historyk K. Nevermann uważa za prawdopodobne, że za „bogów” uznawano admirała Roggeveena i jego załogę. Możliwe, ale kogo oczekiwali wyspiarze i m przybył tam Roggeveen?

W 1767 roku angielski żeglarz Samuel Wallis odkrył w rejonie południowego Pacyfiku dużą wyspę. Była to Tahiti. Na pozór bez powodu wyspiarze zaatakowali jego statek. Dwa lata później wylądował tam francuski odkrywca Louis Antoine de Bougainville. Wyspiarze przyjęli go nader serdecznie. Mężczyzn dotykano z czcią, najodważniejsi tubylcy próbowali nawet zobaczyć, co nieznane istoty mają pod ubraniem. Powód tej zmiany nie jest znany. Może angielski statek miał jakiś znak, kojarzący się wyspiarzom z diabłem albo innym złem [9]. Tego samego roku, 13 kwietnia 1769, do Tahiti dotarł Anglik, kapitan Cook. I jego przyjęto z wielką serdecznością i z podziwem. Rozważny Cook, zachowując ostrożność w kontaktach z tubylcami, zbadał powody tej egzaltacji. Co się okazało? Pewien starzec udzielił mu następującej odpowiedzi: Uważa się go za przybyłego z powrotem boga Rongo [10].

11

27 marca 1777 statki Cooka zbliżały się powoli do Mangai. Wyspiarze, którzy nigdy w życiu nie widzieli łodzi bez wiosła i przeciwwagi, wylegli wzburzeni z bronią na brzeg. Nagle wodza „oświeciło” i zawołał do tłumu: „To wielki bóg Motoro, przybywający z wizyty na Yatei”. [8]

Świadkiem tajemniczego zachowania tubylców był Cook w 1779 r. na Hawajach. Miejscowy dostojnik wszedł na pokład „Resolution” i przystroił Jamesa Cooka czerwoną peleryną. O co chodziło? Mieszkańcy Hawajów uznali Cooka za wracającego bohatera Rono czy Lobo, który kiedyś opuścił wyspę a potem stał się bogiem [11].

Chociaż tubylcy zamordowali później Cooka, jego przybycie spowodowało powstanie nowego kultu. Berlińskie *Museum für Völkerkunde* eksponuje pod numerem VI 7287 kamiennego boga z Hawajów, mającego typowo europejską kryzę i perukę. Bóg określany mianem „Kii akua pohaku” nie jest zdaniem etnologa Karla R. Wernharta nikim innym, jak postacią ewangelickiego duchownego z XVIII wieku [12]. Podobnie ubrany chodził też James Cook.

Nawet jeśli Cook — jakiś duchowny — awansował w pamięci tubylców do godności „boga”, pozostaje faktem, że ludy te przed przybyciem białych czciły jakieś bóstwo, oczekując jego powrotu.

Odkrywczy z minionych stuleci nie byli w żadnym razie bogami oryginalnymi. Jest na to przykładów bez liku.

Błyskawicą i grzmotem

Najbliżej Europy leży Afryka. W podróże morskie wyruszali już Fenicjanie, Grecy i Rzymianie. Niestety na pokładach ich statków nie było etnografów. Nie znamy więc pierwszych reakcji na kontakty między różnymi kulturami. Wiarygodne opisy pojawiają się dopiero w XV w. W 1436 roku Portugalczyk Alfonso Goncales Balsaya pożeglował na południe. Pięć lat później podążył za nim jego ziomek Antao Goncalves, a w 1446 roku kapitan Nuno Tristao. Wszyscy przywieźli do Portugalii murzyńskich niewolników, którzy na pewno nie weszli na pokład dobrowolnie! [13]

W 1456 roku genueński żeglarz Alvise da Cadamosto pisał: „Ci Murzyni zbiegli się, jakbym był jakimś cudownym zjawiskiem. Zdawało się, że widok chrześcijanina jest dla nich nowym doświadczeniem. Nie dziwili się zbytnio moim sukniom i skórze [...] niektórzy dotykali moich rąk i członków i pocierali skórę rąk zwilżywszy je uprzednio śliną, dla sprawdzenia, czy biel jest prawdziwa, czy to tylko farba [...]”. [14]

12

W dalszej części relacji Alvise da Cadamosto dziwi się tubylcom, którzy „ujrzawszy żaglowce sądzili, że to wielkie morskie ptaki z białymi skrzydłami, które zleciały się tu z jakichś dziwnych rejonów. Kiedy przed rzuceniem kotwicy zwijano żagle, niektórzy tubylcy myśleli, że [...] statki to ryby. Inni zaś powiadali, że to duchy [...], których należy się obawiać. Powodem tych poglądów był fakt, że karawele pojawiały się w krótkim czasie w wielu miejscach, a ich załogi rozpoczynały walkę przede wszystkim nocą” [13].

Podobnie jak Kolumb i Cortes również Cadamosto straszył tubylców strzałami z armat. Ci zaś uważali „bombardy karaweli za dzieło diabła”. Nawet lanie świecy czyniło z Cadamosta w oczach Murzynów „czarodzieja białych ludzi”. Gdy zaś jeden z marynarzy zagrał na kobzie, tubylcy uznali czołobitnie, że „rzecz ta” jest boskim instrumentem, „uczynionym rękoma własnymi przez samego boga, bo tak słodko śpiewa wieloma głosami” [14].

Biedny świat postawiony na głowie! Cześć oddawano rabusiom i najeźdźcom. Ale tubylcy prędko spostrzegli swój błąd. To pewnie tam-tamy przekazały wieść, że „czarodziej białych ludzi” jest wszyst-

kim, tylko nie świętym. W ujściu strumienia Gambia na karawele Cadamostosa posypały się strzały. Ostrzeliwanie zdumionych Europejczyków prowadzono prawie bez przerwy z 15 łodzi, a w każdej siedziało dziesięciu ludzi. Cadamosto przywrócił spokój strzelając z armaty. Kamienna kula wpadła z sykiem do wody pośród łodzi. Tubylcy wzniesli wiosła i patrzyli na statek jak na zjawisko nadprzyrodzone.

Kiedy ucichło echo wystrzału, ciemnoskórzy na powrót nabrali odwagi. Cadamosto wiedział, że nie może się ugiąć, bo straci respekt. Dał ognia z całej burty. Do zdumionych i osłupiałych tubylców celowali też kusznicy i muszkietery. Woda wzburzyła się od kul, łodzie przewracały się i rozpadały, krzyki przerażenia uciekających i rannych tubylców odbijały się echem od bliskiego wybrzeża. Ciemnoskórzy porzucili wszelką nadzieję, zniknęły iluzje — runął ich świat. Czy był to biały „bóg”, czy biały „diabeł” — jeden wart drugiego w swoim brutalnym szaleństwie.

Przykładów na to, że biali najeźdźcy niszczyli bez litości wszystko, co nie zgadzało się z ich religią bądź stało na przeszkodzie zdobyciu złota, jest mnóstwo. Pisałem już o tym [15]. Teraz chciałbym przede wszystkim ukazać rodzaje zachowań „prymitywów” w zetknięciu z nowoczesną techniką. Szkolnym przykładem naiwnego zachwyty spowodowanego pojawieniem się obcych „bogów” może być to, co przeżył Portugalczyk Pedro Alvarez Cabral na wybrzeżach dzisiejszej Brazylii. Cabral wyruszył w podróż 9 marca 1500 roku w 13 karawel. Jego celem było

13

obalenie arabskiego monopolu na handel korzeniami. Flotylla miała tylko opłynąć Afrykę, ale na wysokości Zielonego Przylądka żeglarze wpadli w straszny sztorm. Po trzydziestodniowym płynięciu w nieznanym kierunku, bo nawet oficerowie nie znali pozycji statku, kiedy zabrakło słodkiej wody, a brodaczy marynarze zaczęli chorować na szkorbut, zdarzył się cud: za sprawą Matki Boskiej ujrzano ziemię na horyzoncie. Cabral rzucił kotwice i pierwsza grupa brodatych wilków morskich ruszyła w dwóch łodziach ku brzegowi. Wówczas ze wszystkich zarośli i zza każdego wzgórza wypadła chmara nagich i bezbronych tubylców. Śmiali się i cieszyli. Portugalczykom wydało się, że są „niewinni jak dzieci”. Nie proszeni, uniżenie pomagali marynarzom przy noszeniu i napełnianiu wodą beczek — gestami dopraszali się ciągle o drobne podarki.

Na jednej z wysp — dziś Córó Yermehla — Portugalczycy odprawili mszę wielkanocną dziękując Marii Pannie za wybawienie z morskiej opresji. „Zaniemówiwszy ze zdumienia na widok tak osobliwego postępowania”, Indianie śledzili przygotowania do uroczystości. Kiedy

dzwoneczki zwiastowały „Kyrie”, tubylcy zadęli w rogi i zaczęli tańczyć. Kiedy w trakcie krótkiej procesji wyniesiono krucyfiks oraz herb króla Portugalii a marynarze uklękli, uklękli również Indianie. Podczas mszy ksiądz wznosił ręce — to samo uczynili tubylcy. Gorliwie naśladowali każdy ruch obcych.

Po ceremonii Portugalczycy obdarowali Indian tandetnymi cynowymi krzyżykami — ale przedtem tubylcy musieli uklęknąć, złożyć ręce do modlitwy i pocałować krzyżyk. Indianie posłusznie robili, co im kazano, z oczami promieniejącymi szczęściem. Cabral relacjonował później królowi Manuelowi I Wielkiemu, iż lud ten szczególnie nadaje się do nawracania, albowiem pozbawiony jest jakiegokolwiek wiary i żarliwie przyjmuje wszelkie duszpasterstwo. O święta naiwności!

Choć nowo odkryci „Brazylijczycy” nie obawiali się poruszać wśród białych, to jednak rozpięchali się bojaźliwie, gdy tylko któryś z marynarzy zrobił jakiś niespodziewany ruch czy zagrał na jakimś instrumencie. Wracali jednak za każdym razem powoli na miejsce zdarzenia, aby jak najdokładniej powtarzać dopiero co zaobserwowaną akcję.

Reakcje tubylców na przerastającą ich technikę pozwalają na wysunięcie następujących twierdzeń:

1. Istoty dysponujące techniką wykraczającą daleko w przyszłość poza ich epokę są klasyfikowane jako „nadnaturalne”;
2. Pomyłka zostaje wkrótce zauważona, a istoty „nadnaturalne” zostają z powrotem zaklasyfikowane jako ludzie;

14

3. Jeszcze przed przybyciem odkrywców znano tu „nadnaturalnych bogów”. Miejscowa ludność oczekuje ich powrotu. Tubylcy stosowali różne metody testowania „nadnaturalności” przybyszów. Hiszpańscy kronikarze opowiadali, że plemiona karaibskie obserwowały dniem i nocą zwłoki białych ludzi. Gdyby nie pojawiły się ślady rozkładu, zmarłych można by uznać za „bogów” [16].

W 1524 roku florencki żeglarz Yerrazano pisał, iż pewien młody marynarz ruszył wpław ku brzegowi, aby rzucić Indianom parę bezwarościowych ozdóbek. Fala przyboju wyrzuciła nieszczęśnika na brzeg. Natychmiast opadła go chmara Indian i zaciągnęła do wielkiego ogniska. Żeglarze obserwujący scenę ze statku obawiali się najgorszego. Tymczasem Indianie zerwali z marynarza ubranie, ale tylko po to, żeby go dokładnie obejrzyć. Po zakończeniu badania — skóra okazała się „naprawdę biała” - rozdyskutowani tubylcy

pozwolili mu odejść [1 j.

Ale żeglarzom nie zawsze udawało się wykręcić sianem. Kłuto ich albo przypiekano płonącymi głowniami dla sprawdzenia, czy są podatni

na zranienie. Jakież to słowa włożył Homer Odysowi w usta? „Biada mi! Do jakichże dostałem się krajów? Między dzicz nieochajną czy kupę hultajów? Bodaj między gościnnie lud do cnót nałożon!” (Zwycięzcami są zwykle hultaje.)

Nosiciele kultury?

Jakie boskie istoty kryły się zdaniem tubylców pod postaciami białych ludzi? W historiografii dawnych ludów, które żyły tysiące lat przed epoką odkryć, wymienia się wprawdzie sporadyczne podróże na odległe kontyenty — nie mówi się jednak nic o wzorcu zachowań tubylców. Z relacji sporządzonych w ostatnich stuleciach możemy odczytać, że „prymitywy” naśladowały literalnie wszystko, nawet przedmioty — tylko gdzie podziały się tak skopiowane przedmioty będące niejako skutkiem odkryć wcześniejszych o tysiące lat wypraw Fenicjan, Egipcjan, Chińczyków czy Persów? Już około 2500 r. prz. Chr. Egipcjanie utrzymywali stosunki z „krajem Bogów”, krainą Punt [17]. Były to wyprawy handlowe, jak na przykład podróż faraona Mentuhotepa III, który około 2060 r. prz. Chr. wysłał statki do Puntu. Około 600 r. prz. Chr. faraon Necho zlecił nawet fenickiej ekspedycji zbadanie drogi morskiej wokół Słupów Heraklesa. (Na marginesie: Fenicjanie musieli dostać kolki ze śmiechu usłyszawszy o zleceniu — od dawna już znali Maltę i wybrzeża atlantyckie w okolicach Lixus.) Ojciec historyków, Grek Herodot, napisał o tej wspaniałej podróży nie zapominając zwrócić uwagi na fakt, że pozycja Słońca na niebie jest inna na południe od równika, a inna na północ. Nie mówi tylko nic o „kontaktach międzyludzkich”, o reakcjach tubylców na fenickie statki.

Nieco szczegółów dostarcza relacja Kartagińczyka Hanno, który około 450 r. prz. Chr. opuściwszy macierzysty port z ogromną ekspedycją liczącą 60 statków pożeglował wzdłuż północnych wybrzeży Afryki i dalej na południe. Kapitan Hanno dotarł chyba aż do terenów dzisiejszego Kamerunu, pisze bowiem o wybuchu wulkanu „Mont”. Ciekawe że określił wulkan mianem „wozu bojowego bogów” [17]. Hanno i jego ludzie obserwowali również tubylców i prowadzili z nimi handel „pośredni”: wieczorem kładli na brzegu w widocznym miejscu podarki — rano znajdowali tam dobra pozostawione przez tubylców. Udało im się nawet schwytać i zabić kilku mocno owłosionych „leśnych ludzi” — ich skóry zawiózł następnie do kraju jako dowód na

istnienie dziwnej rasy ludzkiej. Trofea te były podobno eksponowane w jednym z pałaców aż do chwili zniszczenia Kartaginy przez Rzymian (145 r. prz. Chr.). Dziś nie da się już ustalić, czy były to skóry goryli, czy

innych małą człekokształtnych. (Określenie „goryl” stworzył Thomas Savage dopiero w 1847 roku.)

Pewne jest tylko to, że na długo przed epoką odkryć dokonanych przez przedstawicieli kultury Zachodu inne ludy miały okazję przeżyć spotkania z nieznanymi plemionami — tylko nic nie wiadomo o zachowaniu się tych plemion podczas pierwszej „konfrontacji kulturowej”. Mimo że już przed 2000 lat (i dawniej!) działali wspaniali zbieracze informacji — ówczesni naukowcy i kronikarze. K. Pliniusz Starszy (61-113) pisze o setkach ludów wymieniając ich nazwy i terytoria, które zamieszkują. Pliniusz podaje też wiele zdumiewających szczegółów na temat opisywanych przez siebie krajów — nie ma tam jednak ani słowa o zachowaniu się tubylców podczas pierwszego kontaktu z innymi ludźmi. Zdumiewające szczegóły? Proszę bardzo. Oto fragment z *Historii Naturalnej*:

„Nad miastem Harpazą w Azji stoi okropna skała, którą jednym palcem poruszać można; taż sama stoi nieporuszona, gdy ją kto całym ciałem popchnąć usiłuje. Na półwyspie tauryckim w kraju parasyńskim jest ziemia, która wszystkie rany goi. Ale około Assus w Troadzie rodzi się kamień, który wszelkie ciała trawi; zowią go Sarkofagus. Dwie są góry nad rzeką Indem, własnością jednej jest, że wszelkie żelazo przyciąga, drugiej, że je odpycha. Przeto, kto pod obuwem ma gwoździe, nie może na pierwszej nogi podnieść, na drugiej zaś postawić”. [18]

Pliniusz opowiada o dziwach ze wszystkich regionów świata, stwierdza jednak wyraźnie, że o samych ludziach nie powie nic szczególnego, sądząc, że nie warto rozprawiać o niezliczonych obyczajach i obrzędach, których jest równie wiele jak społeczności ludzkich. Któż bowiem wierzył w istnienie Murzynów, zanim ich ujrzał? Jakże wiele rzeczy uważa się za niemożliwe, póki się ich nie ujrzy.

Najprawdziwsza prawda! Gdyby słowa Pliniusza nie liczyły sobie 1900 lat, można by je przypisać arystokratycznemu, powściągliwemu kosmopolicie naszej epoki. Nieznane ludy, nieznane zwyczaje? Oczywiście — tylko o tym się nie mówi!

Podobne milczenie zachowuje Diodor Sycylijski, który w I w. prz. Chr. napisał czterdziestotomowe dzieło historyczne!

„Niewielu podjęło się opowiedzenia wszystkich zdarzeń od dawnych czasów po swoje dni, ci zaś albo omieszkali podać datę każdego zdarzenia, albo pomijali milczeniem historię barbarzyńców. Ciż sami

wyrzucili z kretesem za burtę ze względu na trudności w zrozumieniu

stare mity i legendy [...]" [19]

Diodor zapewnia, że robił wszystko, co w jego mocy, pracując nad swoim dziełem przez 30 lat. Można się zeń dowiedzieć rzeczy nadzwyczajnych o bogach i pradawnych czasach — jeszcze do tego wrócę

1. zapada jednak milczenie, gdy powinna być mowa o zachowaniu dawnych ludów podczas pierwszego kontaktu z obcymi. Podano jakieś ochłapy, za to rachunek słony! Pozostaje mozaika relacji historycznych
 2. które, przynajmniej miejscami, przedstawiają obraz o naprawdę cudownych barwach.
- Kto wie, że nie tylko Europejczycy organizowali wyprawy odkrywcze, ale że i do Europy docierali ludzie z innych rejonów świata? W literaturze można znaleźć opisy pojawiania się na kontynencie europejskim ludzi o innej barwie skóry, ludzi wyglądających zupełnie obco. Na przykład ów cudzoziemiec o czerwonej skórze i haczykowatym nosie, darowany w 62 r. prz. Chr. rzymskiemu konsulowi Galii, Quintusowi Metellusowi. Postać ta posłużyła za model niedużego brązowego popiersia o wysokości 19,5 cm, które dostało się do kolekcji czcigodnego monsieur Edmonda Duranda. W 1825 roku król Karol X darował kolekcję Luwrowi, gdzie po dziś dzień można podziwiać twarz o typowo indiańskich rysach i orlim nosie [13].
 - Sir Walter Raleigh przywiózł z Ameryki Północnej do Europy wodza Mateo. Królowa angielska Elżbieta była „zachwycona” gościem i nadała Indianinowi tytuł: Lord of Roanoke [16]. Szkoda, że indiański wódz *alias* Lord of Roanoke nie pozostawił pamiątek. Bardzo by się nam dziś przydał jego punkt widzenia!
 - A szczęściarz Hernan Cortes, zwycięski zdobywca Meksyku? Przywiózł do Hiszpanii całą drużynę piłkarską, która wystąpiła na królewskim dworze w Madrycie. Aztecy z Ameryki Środkowej grali w *tlachtli*, morderczą grę w piłkę, nieznaną w Europie. Mecz odbywał się na otoczonym murem prostokątnym placu o wymiarach 40 x 15 m. Grę obserwowały królewskie wysokości ze swiątą.
 - Indianie zaczęli grać. Ucichły nudne dworskie rozmowy. Zdarzenia na boisku zapierały dech w piersi. W Starym Świecie nie widziano jeszcze nic podobnego. Doskonale wyćwiczeni Indianie biegali za pięciofuntową kulą z dziwnego materiału, który nazywali „gumą”. Kuli nie wolno było dotykać dłońmi ani stopami. Nie mogła upaść na ziemię. Trzeba ją było podbijać błyskawicznymi ruchami łokci, kolan, brzucha, pleców, szyi i głowy. Indianie rzucali się ku piłce szczupakiem.
 - Gra polegała na przeprowadzeniu piłki na pole przeciwnika i spowodowaniu jej upadku na ziemię albo dotknięcia dłonią czy stopą przez

- 18
- gracza drużyny przeciwnej. Najistotniejsze jednak było przerwienie piłki przez kamienną obręcz znajdującą się na murze stojącym w środku boiska. Gra była niezwykle ryzykowna! Od zetknięcia z piłką pękały nosy, łamały się kości, a —jak relacjonował naoczny świadek — „niektórych graczy zniesiono martwych z boiska” [20].
- Co stało się z cudzoziemcami, którzy w pojedynkę lub grupowo dotarli do Europy? Wyśmiewano się z nich i drwiono. Nikt nie traktował ich poważnie. Rozpoczęła się publiczna i akademicka dyskusja na temat „dzikich”, „barbarzyńców”, „prymitywów”. Dyskusja ta osiągnęła punkt kulminacyjny w XVII i XVIII w. Tacy filozofowie jak Wolter, Rousseau, Hume czy Kant podzielili się na dwa obozy [21]. Ówczesne czasy nie różniły się prawie od dzisiejszych. Twierdzono, że nie-Europejczycy są „grubiańscy, lubią mordować, kraść”, prowadzą „rozpustny tryb życia” oraz że są kłamliwi, fałszywi, pożądlivi i zazdrośni. Jeżeli nie-Europejczyk wykazywał oznaki inteligencji, była to tylko „przebiegłość”. Nie-Europejczyków traktowano jak „półludzi”, mieli prawo tylko do życia w niewolnictwie. Francuski podróżnik La Hontan z ironią bronił kanibalizmu argumentem, że przecież wiadomo, że tubylcy przedkładają delikatne mięso Francuzów nad łykowate Brytyjczyków. Świadczy to wyłącznie o ich wyszukany smaku!
- Pojawiały się oczywiście i poglądy przeciwne. W 1694 r. jezuita Chauchetiere napisał odważnie: „W dzikich ludziach widzimy piękne relikty ludzkiej natury, jakie wśród ludów administrowanych pojawiają się jeno w postaci doskonale skorumpowanej [...]. Wszyscy nasi ojcowie i pozostali Francuzi, stykający się z dzikimi, są zdania, że spędzają oni życie przyjemniej od nas” [9, 22]. Miał rację, ale jak dowodzi niewolnictwo, nikomu to nie pomogło.
- Nie wiadomo tylko dlaczego wszystkie ludy, odkrywane po raz pierwszy lub powtórnie, za każdym razem przekazywały sobie tam-tamem informację, że właśnie powrócili bogowie. Kogo, na Boga, oczekiwały? Czy niegdyś organizowano wyprawy do odległych krajów, a ludność tubylcza wierzyła później w ich powtórne przybycie?

Jeszcze dalej w przeszłość

-
- Udokumentowana jest relacja buddyjskiego mnicha Hui Shen (Hwui Shan) z Afganistanu, który z szczęsioma najwyżej ludźmi wyruszył drogą morską do krainy Ta Hań (dzisiejsza Kamczatka, leżąca w najdalej na północny wschód wysuniętej części Syberii). Było to w 459 r. n.e. [23]. Od krainy Ta Hań mnich przepłynął jeszcze 20 tysięcy li, aby odkryć na
-
- wschodzie legendarną krainę Fu Sang. Starożytna miara długości li miała 644,4 m — mnich przepłynął więc morzem okrągłe 12 888 km! Nawet gdyby uwzględnić, że chińska miara długości skurczyła się

z biegiem stuleci do 150 m, to mimo wszystko przebyta droga będzie wynosiła 3 000 km. Co robił Hui Shen w dalekim kraju? Mieszkał tam przez pełne 40 lat — studiował, uczył się — w końcu powrócił do Chin, aby zdać relację ze swoich peregrynacji ukochanemu cesarzowi Wu Ti. Hui Shen pisał, że spotkał tubylców, malujących ciała w paski. Paski szerokie i proste oznaczały członków klasy wyższej, wąskie i krzywe — przedstawicieli klas niższych.

- Wedle opisu Hui Shena wylądował on wraz z towarzyszami podróży na Alasce. Tamtejsi Eskimosi rzeczywiście malowali ciała w paski. Tylko dlatego nie rozprzestrzenił się tam buddyzm? Po tak długim przebywaniu mnicha wśród Eskimosów, których „nauczał”, na Alasce musiały się zachować ślady jego pobytu. Gdzie są? Ale Eskimosi malowali swoje ciała i oczekiwali niebiańskich bogów jeszcze przed przybyciem Hui Shena.
- Hui Shen dotarł też chyba do Ameryki Środkowej, bo opisuje tropikalną i wilgotną krainę ze wspaniałymi nieufortyfikowanymi miastami. Cywilizowani tubylcy nie znali żelaza, mieli za to w wielkich ilościach miedź, srebro i złoto. Stosowali papier wytwarzany z roślin, a ich księgi były wielobarwne.
- Wszystko to pasuje jak ulał do Ameryki Środkowej. Miasta Majów były „wspaniałe” i „nieufortyfikowane”. Majowie zaś opanowali cudowne pismo, którego znaki malowano na kartach posklejanych w formie leporella. Stronice tych ksiąg sporządzano z cienkich warstw łyka figowca. Łyko ubijano, aż zmiękło, i dodawano do niego sok drzewa gumowego. Włókna były następnie nasączone krochmalem uzyskiwanym z roślin bulwiastych i powlekane mleczkiem wapiennym. Po wyschnięciu karta wyglądała jak pokryta cieniutką warstwą stiuku. Wspaniale jaśniały na niej kolory kładzione przez kaligrafów.
- Wielu etnologów umiejscawia cel podróży Hui Shena w Ameryce Środkowej [24, 25, 26], inni jednak twierdzą, że kraina Fu Sang to Madagaskar. Ja stawiam na Amerykę Środkową, bo niezliczone wizerunki na stiuku i kamienne reliefy Majów są zdumiewająco podobne do tych, jakie można ujrzeć w Indiach i w Kambodży. Na przykład dzieła sztuki Majów w Copan (Honduras) i „modlący się kapłan” z Archeologicznego Parku Villahermosa w Meksyku. Postać ze złożonymi dłońmi siedzi w pozycji kwiatu lotosu — dokładnie takie same wizerunki można *znaleźć* w Indiach.
- 20 ,
- Faktem jest, że mnich Hui Shen nie nauczył Majów buddyzmu i nie przekazał im nawet zasady koła. A poza tym Majowie wznosili świątynne miasta i tworzyli czterokolorowe księgi przed przyjazdem Hui Shena. Nie mógł on być więc „krzewicielem kultury”, bo wysoka kultura w tym regionie już istniała. Wpływy wschodnie na określone kierunki sztuki są bez wątpienia prawdopodobne. Możliwe jest też, że

zagadkowe pokrewieństwa sztuki Azji i Ameryki Środkowej istniały przed wizytą Hui Shena — niewykluczone, że azjatyccy żeglarze dotarli do Ameryki Środkowej jeszcze wcześniej.

- W 219 r. prz. Chr. nadworny alchemik Hsii Fu opowiedział podobno cesarzowi Shin Huang Ti zadziwiające rzeczy o tajemniczych wyspach na Morzu Wschodnim (Pacyfik). Cesarz zorganizował ekspedycję, która odkryła krainę z fantastycznym pałacem Chih-Cheng. Teraz cesarz zaczął poszukiwać eliksiru życia, bo uznał, że władca ma prawo do wiecznej młodości. Król odległej krainy, odkrytej przez Hsii Fu, przyrzekł dostarczyć czarodziejską substancję, jeżeli jego chiński kolega przyśle mu w zamian 3 000 młodych mężczyzn i kobiet, wśród nich rzemieślników. Cesarz Shin Huang Ti, czekający z niecierpliwością na cudowny środek, załadował na statki wielkiej floty młodzieńców i dziewczyny, rzemieślników, prezenty i „wszystkie rodzaje zbóż”. Po statkach wszelki śluch zaginął.
- Mieszana załoga w sile 3 000 ludzi? „Wszystkie rodzaje zbóż”? Jeżeli wyprawa dotarła do celu, to gdzieś na kuli ziemskiej musiał powstać szczerp chińskiej kultury. Również nowe zboża nie zniknęłyby bez śladu. Ta przedchrześcijańska chińska ekspedycja nie mogła dotrzeć do Ameryki Środkowej — choćby ze względu na nieobecność tu „rodzajów zbóż”. Wylądowała zapewne w rejonie Oceanu Spokojnego. Tam
- — na przykład na Wyspach Karolińskich — można wykazać prawdziwe wpływy chińskie [27].
- Bezustannie przeczesuję literaturę w poszukiwaniu prawdziwych „bogów” — istot nie pasujących do wizerunku *żeglarza*, istot czyniących rzeczy nadnaturalne. Kim były? Z jakich rejonów Ziemi czy
- — moim zdaniem — z jakich rejonów Drogi Mlecznej przybyły? Czy pierwotni „bogowie”, którzy głupiutkiego człowieka otumaniali nadnaturalnymi widowiskami, byli ziemskiego czy pozaziemskiego pochodzenia? Powinniśmy też pamiętać, że w przypadku każdej konfrontacji kulturowej przybycie bogów powodowało szok ale ludy „prymitywne” potrafiły zaraz odróżnić istoty ludzkie i ziemską technikę istot „wyższych”. Starożytne Chiny stanowiły dobry punkt wyjścia do wypraw wokółziemskich. Mimo wszystko jednak Chińczykom byłoby trudno odgrywać rolę pierwotnych „bogów”.
-
- Jeszcze dalej w mrokach przeszłości niż zaginione 3000 Chińczyków gubi się podróż Sataspesa, kuzyna perskiego króla Kserksesa I (ok. 517-465 prz. Chr.). Nieszczęśliwemu Sataspesowi udowodniono zgwałcenie damy stanu wyższego i skazano na śmierć przez wbicie na pal. Matka Sataspesa jednak przekonała króla, aby dał jej synowi szansę. Kserkses wysłał więc lubieżnika w ekspedycję „za Słupy Heraklesa”. Sataspes dopłynął podobno aż do dzisiejszego Senegalu (Afryka), a może i do Gwinei. W każdym razie opisuje „karłowate ludy”, które

mogą być tożsame z Pigmejami. „Potem statek stanął”, bo prąd był za silny. Sataspes dał *rozkaz* do powrotu mając nadzieję, że znajdzie łaskę w oczach władcy. Kserkses jednak podjął decyzję niekorzystną dla Sataspesa, który jego zdaniem do celu nie dotarł. Nieszczęśnika wbito na pal [28].

- Także i tu nie mamy żadnych informacji, jak tubylcy zareagowali na przybycie Persów. Ale nie należy chyba przypuszczać, że czczono ich jako „bogów” — nic nie wiadomo o perskim kulcie bogów w Afryce. W poszukiwaniu bogów oryginalnych pływamy po bardzo płytkich wodach: coś jest możliwe, prawie niczego nie można wykluczyć.
- Znany jest też stary arabski dokument, znaleziony na Wyspach Kanaryjskich koło Las Palmas [29]. Dokument ów mówi nie tylko o przybyciu Arabów na Wyspy Kanaryjskie — relacjonuje również ich pobyt w nieznanach krainach, do których można dopłynąć „pod trzecim klimatem Nubijskiego Geografa”. Tam, na jednym z mórz, jest wyspa o nazwie „Sala, na której są mężczyźni w rodzaju kobiet [...] a ich oddech jest niczym dym palonego drewna [...] mężczyźni zaś różnią się od kobiet wyłącznie narządami płciowymi. Nie mają bród a okrywają się liśćmi drzew”.
- To na miłą pachnie Indianami. „Dymiący oddech” może być dymem tytoniowym, bród zaś Indianie nie mają. Ponieważ nie rośnie im też owłosienie na piersi, Arabowie mogli wziąć ich za kobiety. Także ci Arabowie nie mogli działać jako „bogowie”, bo ani w Ameryce Południowej, ani w Środkowej nic nie wiadomo o oddawaniu czci bóstwom arabskim albo o kulcie noszącym znamiona kultury arabskiej. Może z jednym wyjątkiem.

Religie to również mity

- Podstawą religii mormonów jest *Księga Mormona*. Znalazł ją podobno w minionym stuleciu w bardzo tajemniczych okolicznościach Joseph Smith (1805-1844), założyciel religii. *Księga Mormona* opisuje ze
- 22
- wszystkimi szczegółami zadziwiającą podróż z Jerozolimy do Ameryki Południowej. Podróż ta miała się odbyć około 600 r. prz. Chr.
- Relacjonuje ją niejaki Nefi, który powiada, że jego ojciec zwał się Lehi, matka zaś Saria.
- W *Księdze Mormona* Nefi opowiada co następuje:
„[...] na początku pierwszego roku panowania Sedecjasza, króla Judy, pojawiło się tam wielu proroków głoszących ludziom, że jeśli się nie nawrócą, wielkie miasto Jerozolima ulegnie zagładzie”, (1 Ne. 1:4)
Na razie wszystko się *zgadza*. Jerozolimę obrócono w perzynę w 586 r. prz. Chr. Wówczas Pan — kimkolwiek był — nakazał zbudować statek, „abym mógł przeprowadzić twoich przez te wody” (1 Ne. 17:8).
- Tajemniczy Pan zaopatrzył emigrantów nie tylko w żywność — dał im też kompas. Opierając się na wyczerpującej relacji Nefiego historycy

mormońscy są przekonani, że grupa powędrowała najpierw z Jerozolimy przez Półwysep Arabski, w rejonie Zatoki Adeńskiej zbudowała statek, aby przez Ocean Indyjski i Spokojny dotrzeć do wybrzeży Ameryki Południowej. Wkrótce po wylądowaniu Nefici zaczęli „uprawiać ziemię i siał nasiona. I zasialiśmy wszystkie nasiona, które zabraliśmy z Jerozolimy [...]” (1 Ne. 18:24). Nefici płodzili też pilnie potomstwo i wznosili świątynię „na wzór świątyni Salomona” (2 Ne. 5:16).

- Nawet jeśli ta historia jest tylko częścią religii, nie wolno jej odrzucać bez sprawdzenia. Daty, liczby, imiona i nazwy podawane w *Księdze Mormona* są zdumiewająco dokładne. Jerolimscy Nefici osiedli w Ameryce Południowej. Czy w oczach Indian odegrali rolę bogów? Nie. Nefici mieli własną religię. A nawet w (znacznie późniejszym) imperium Inków nie da się znaleźć żadnych śladów wyznania możeszowego i żadnych żydowskich przedmiotów kultowych. Lud, który się tak szybko rozmnaża, nie niszczy swoich świętości.
 - Poza tym nie była to pierwsza podróż Nefitów ze wschodu na zachód. Wedle *Księgi Mormona* już w trzecim tysiącleciu prz. Chr. do Ameryki Południowej dotarła inna grupa — kierowana i instruowana przez Pana. Była to zapewne podróż pełna przygód, a odbyto ją w ośmiu doskonale szczelnych barkach bez okien:
 - f „I zbudowali je w ten sposób, że były dopasowane i jak naczynia nie przepuszczały wody. Ich dno, ściany boczne i sklepienie były szczelne jak w naczyniu. Były one na długość drzewa z zaostrzoną przednią i tylną częścią i miały drzwi, które zamknięte pasowały dokładnie, że barka była szczelna niczym naczynie”. (Et. 2:17)
- Gdy emigranci skończyli budowę statków, zauważyli błąd konstrukcyjny: po zamknięciu drzwi w środku było ciemno choć oko wykol. Pan

-
- darował im więc 16 świecących kamieni, po dwa na statek, które przez 344 dni dawały jasne światło. Pierwsza klasa!
- Można w to wierzyć lub nie. Faktem jednak jest, że babiloński poemat o stworzeniu, *Enuma Elisz*, opisuje podobną podróż. Jest tam mowa o potopie, który zdołał przeżyć Atra-Hasis. We fragmentarycznie zachowanym eposie bóg Enki daje Atra-Hasisowi dokładne wskazówki do budowy statku. Na zarzut Atra-Hasisa, że nie zna się on na szkutnictwie, bóg Enki rysuje i wyjaśnia szczegóły projektu statku [30]. Amerykański orientalista Zacharia Sitchin, który zajmował się szczegółowo tym tekstem, pisze:
 - o „Enki chciał, żeby Atra-Hasis zbudował statek 'przemysłany', zamknięty hermetycznie i uszczelniony 'lepką mazią'. Statek nie mógł mieć pokładu ani żadnego otworu, przez który 'wnikałoby słońce'. Miał być jak 'statek apsu', *sulili* — dokładnie to słowo (*soleleth*) stosuje współczesny język hebrajski na określenie łodzi podwodnej. — Niech

to będzie statek MA.GUr.Gur! — powiedział Enki (statek, który może się kołysać i wywracać)". [31]

- o Czyżby więc pramieszkańcami Ameryki Południowej byli starożytni Babilończycy i Izraelici? Czy to oni odgrywali rolę „bogów”, których obawiała się ludność indiańska? Niemożliwe. Kontrargumenty są te same. Gdzie w Ameryce Południowej znajdują się ślady kultury babilońskiej lub żydowskiej? Oba ludy miały wyraźnie określone zasady wiary, dokładne wyobrażenia bogów, przedmioty i postacie kultowe. Znam dawne świątynie Ameryki Południowej — z wyjątkiem Chavin de Huantar (Peru), Tiahuanaco i sąsiedniego Puma-Punku (Boliwia) nie ma nic, co można by zaliczyć do całkiem obcej kultury. W tych trzech wymienionych miejscach zaś nic nie wiadomo ani o bogach babilońskich, ani o żydowskich.

Pamiętki z innego świata

- o Ale nie należy pomijać milczeniem faktu, że w Nowym Świecie znaleziono kilka kontrowersyjnych przedmiotów, które co najmniej świadczą o wizycie gości z Azji. Na przykład w Kentucky w USA odkryto w 1932 roku stare monety z napisem „rok 2. wolności Izraela” [25]. W 1891 roku w grobie wodza Czirokezów z Bat Creek w stanie Tennessee natrafiono na plaketkę pokrytą osobliwym pismem. Choć wizerunek plaketki opublikował trzy lata później Smithsonian Institute, to aż do 1964 r. nie wiadomo, co z tym fantem począć. Tajemnicę odkrył dopiero prof. Cyrus H. Gordon za pomocą prostej
- o 24
- o sztuczki — lustrzanego odbicia obrazu. Gordon odczytał słowa „dla kraju Judy”, według innych ekspertów było to słowo „Judea” i data około 100 roku [32].
- o Wszystkie te znaleziska — istnieje ich wiele — są w literaturze naukowej sprawą sporną. Poza tym nie wyjaśniają istoty pierwotnych „bogów”. W jakikolwiek sposób wódz Czirokezów wszedł w posiadanie plaketki — to już przedtem czcił swoich bogów. Plaketka miała dlań co najwyżej wartość rzeczy jedynej w swoim rodzaju, nieznaney, niezrozumiałej. Dlatego włożono mu ją do grobu. Niezrozumiałe przedmioty są uważane przez plemiona tubylcze za „nadnaturalne”, za „nie z ich świata” i czczone jak relikwie. Oto wspaniałe przykłady:
- o W 1579 roku kapitan Francis Drake w imieniu Korony Brytyjskiej objął w posiadanie wybrzeża kalifornijskie. W pięć statków wpłynął do zatoki, gdzie żyli Indianie Miwok. Anglicy wywarli na Indianach ogromne wrażenie. Indianie zaś zapragnęli zaraz spotkania z wodzem ich plemienia o imieniu Hioh. Ten przystroił Drake'a jakby koroną i wieloma wytwornymi łańcuchami. Podczas tej uroczystości Indianie śpiewali ogłuszająco o tym — na ile Drake i jego oficerowie zrozumieli słowa — że uważają białych za bogów, z którymi walka jest beznadziejna. W oświadczeniu mówiącym o przejęciu ziemi Drake wymienił

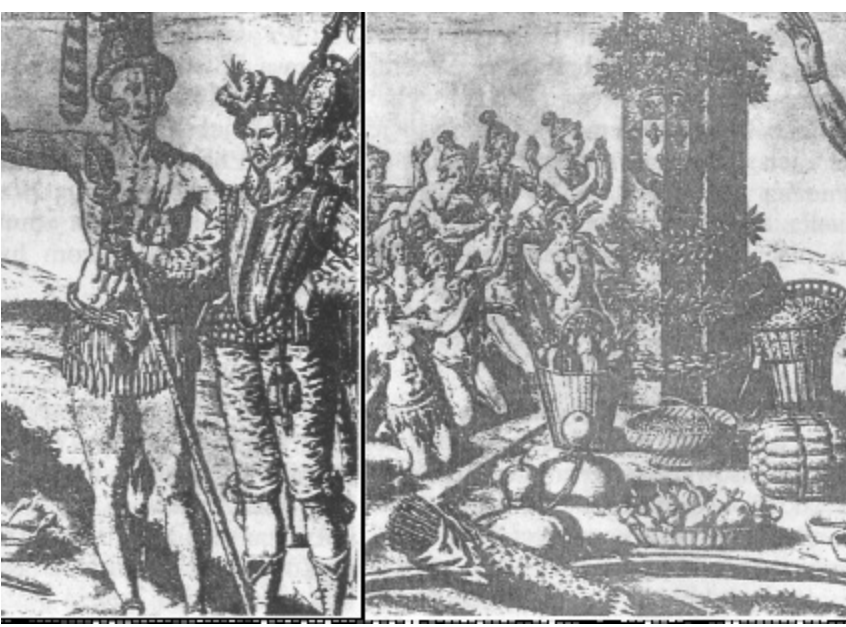
królową Elżbietę, a Indianie z chęcią poddali się temu „naczelnemu bogowi” [33, 34]. Dla zademonstrowania poddaństwa Indianie wybierali sobie jakąś osobę — marynarza albo żołnierza — przynosili jej prezenty i biczowali się na jej oczach. Zdumieni Anglicy nie mogli się prawie obronić przed tą przemożną chęcią ponoszenia ofiar. Prawdopodobnie powodem zdumienia Indian i oddawania przez nich „boskiej” czci Anglikom było pięć bajecznie kolorowych statków.

Drakę pisał:

- „Gdy się zbliżyli [Indianie], stanęli jak wryci, bo ujrzeli rzeczy, których nigdy nie widzieli i o których nie słyszeli. Byli skłonni czcić nas uniżenie i ze strachem jak bogów”.
- Francis Drake kazał przybić na potężnym drewnianym słupie mosiężną płytę, świadczącą o objęciu tych terenów w posiadanie. W otwór w płycie oficerowie wtłoczyli sześciopensówkę z wizerunkiem Elżbiety I. Bóg raczy wiedzieć, podczas jakich uroczystości oddawano cześć i okadzano „boga Elżbietę I”. Faktem jest, że tę samą płytę, prawie nie uszkodzoną, znaleziono w pewnym indiańskim grobie w 1936 r. Musiała być co najmniej przez trzy stulecia dobrze przechowywana i stale polerowana olejem, bo niewiele warta moneta nie nosiła śladów grynszpanu.

○

- Przedmioty pozostawiane przez zdobywców i odkrywców awansowały w wielu dających się udowodnić przypadkach do rangi relikwii. W 1565 r. francuski kapitan Jean Ribault postawił na Florydzie kolumnę pamiątkową, nie zapominając przybić do niej godła jako znaku prawa własności do tej ziemi. W kilka lat później pojawił się jego następca, monsieur Landonniere. Miejscowy wódz Athore obsypał przybysza prezentami. Kolumna wzniesiona przez Ribaulta była obwieszona girlandami kwiatów, wokół stały dary ofiarne. Miejsce stało się nową świętością, kolumna ośrodkiem kultu.
- To, co zdarzyło się w Ameryce, miało również miejsce na innych kontynentach. Jako znak własności Portugalczycy postawili w Afryce tak zwane „kolumny Padrao”. Nieświadomi mieszkańcy wybrzeża czcili je, dopóki nie zauważyli — za późno — po co naprawdę je tu umieszczono [35]. Ze zdumieniem oglądano, podziwiano i czczono najróżniejsze przedmioty, a nawet się ich obawiano.
- „Nic nie zdziwiło czarnych bardziej niż bombardy karaweli”, zapisał kapitan Alvise da Cadamosto anno 1456. Czarnoskórzy, których wpuszczono na pokład, na widok dział i innych przed-



- Kolumna, postawiona na Florydzie przez francuskich zdobywców, stała się przedmiotem kultu (miedzioryt wg Th. de Bry, 1590)
- 26
- miotów wpadali w panikę albo w zdumienie. Kobzę nazywali „jeszcze żywe zwierzę”, a oczy namalowane na rufie statku uznali za prawdziwe. Nawet zapalanie świecy było dla nich magicznym rytuałem [36]

Człowiek z Księżyca

- We wrześniu 1871 roku rosyjski podróżnik Mikłucho-Makłaj dopłynął na pokładzie statku „Witeź” do Bongu (wybrzeże Nowej Gwinei). Zdumieni tubylcy przyglądali się z oddali jego poczynaniom. Którejś nocy zauważyli, że Mikłucho-Makłaj przechadza się z latarnią. Od razu *zaczęła* krążyć plotka, że przybył z Księżyca. Rosjanin był dobroduszny, przyjacielski i cierpliwy, rozmawiał z tubylcami, na ile było to możliwe. Starał się im tłumaczyć, że przybył nie z Księżyca, tylko z Rosji. Ale tubylcy nie potrafili niczego przyporządkować pojęciu „Rosja”. A przybysz miał białą skórę i dowodził wielkim pojazdem. Po krótkim namyśle kapłani zdecydowali się obwołać go „bogiem Tamo Anut”, a „Witezia” uznali za boski pojazd. Galion jakiegoś rozbitego statku wyrzucony na brzeg stał się świętym symbolem nowego boga Tamo Anut.
- Po pewnym czasie pojawili się tam Holendrzy i Niemcy -- nowi przybysze wszędzie trafiali na symbole boga Tamo Anut, którego powrotu oczywiście oczekiwano. Prezenty otrzymywane od Europejczyków tubylcy uważali za dary boga Tamo Anut. Oświadczyli przybyszom, że bóg Tamo Anut mieszka w „krainie Anut”, a jest to królestwo najwyższego boga stworzenia, i że mieszkający tam ludzie mają wielkie domy i „metalowe narzędzia” [37].
- Pewnego ranka *zdarzyła* się rzecz niezwykła. W pobliżu przepływał statek. Tubylcy obserwowali uważnie dymiącego potwora. Statek zniknął za horyzontem, a wówczas rozeszła się wieść, że był to bóg Tamo

Anut palący wielkie cygaro.

- Tak więc mity mogą powstawać z zupełnie błahych powodów, a zwykle przedmioty urastać do rangi obiektów kultu. Jeżeli natomiast „bogowie” pozostają na danym terenie dłuższy czas, są „ściągnięci” z powrotem na ziemię, „pozbawiani” boskości. Miejscowa ludność zaczyna dostrzegać w nich ludzkie cechy, a obiekty kultu wędrują na śmietnik. Prawdziwi bogowie mają być niezmienni i dokonywać rzeczy nadnaturalnych.
- Przedmioty należące do pseudobogów częstokroć imitowano albo powielano zachowując ich pierwotną funkcję. O takim zjawisku pisze
- kapitan Fernam Mendez Pinto, który w połowie XVI w. zawijał do wielu japońskich portów:
 - „Jeden z nas [...] lubił dla rozrywki strzelać z arkebuzów, a że był strzelcem nader udatnym, ustrzelił raz 26 dzikich kaczek. Kiedy ci ludzie zauważyli jego strzelanie, jakiego dotąd nie widzieli, nie wiedzieli, co to, a nie znając tajemnicy prochu, wnioskowali, że musi za tym stać jakieś czarodziejstwo [...]. Sporządzili sobie model rzeczono arkebuzów, aby wedle takowego robić następne, wskutek czego przed naszym wyjazdem mieli ich już 600. W 1566 roku było około 30 000, co niepomiernie mnie zadziwiło. Paru wiarygodnych kupców zapewniało mnie, że na całej wyspie Japonii jest ponad 300 000 arkebuzów [...]”. [38, 39]
 - W tym przypadku „czarodziejska broń” białych ludzi nie stała się przedmiotem kultu — kopiowano ją dla celów praktycznych. Japończycy zawsze byli genialnymi imitatorami. Konieczna w takim przypadku jest tylko umiejętność rozumienia techniki, dobre rzemiosło i brak obaw przed magią. W innych częściach świata szok po przybyciu bogów doprowadzał do kopiowania najidiotyczniejszych przedmiotów, bez zachowania ich jakiegokolwiek funkcji użytkowej. Bywało tak nawet w naszym stuleciu.
 - Wiosną 1945 roku Amerykanie założyli w okolicach Holandii (Nowa Gwinea) bazę wojskową. Niekiedy stacjonowało tam do 40 tyś. żołnierzy. Bez przerwy lądowały i startowały samoloty dowożące posiłki walczącym w rejonie Pacyfiku. Tubylcy, przeważnie Papuasi, obserwowali niezrozumiale dla nich poczynania obcych. Nie mieli zielonego pojęcia ani o polityce światowej, ani o technice. Amerykańscy żołnierze dawali im drobne prezenty — jak przed wiekami Cortes czy Kolumb. Tyle że teraz były to konserwy, czekolada, guma do żucia, T-shirty, stare buty — czasami noże, garnki czy butelki. Tubylcy nazywali je *cargo* (to pochodzące z języka hiszpańskiego słowo oznacza ładunek). Coraz więcej Papuasów chciało dostać *cargo*, coraz więcej odważało się wyjść z dżungli. Zapuszczali się aż na skraj lotniska, do baraków i szop. Tu widzieli wielkie srebrne ptaki z hukiem wzbijające się w chmury - leciały zapewne do nieba. Plemiona papuaskie zaczęły radzić. Co

zrobić, żeby srebrne ptaki poleciały wprost do ich siedzib i wyladowały tam *cargo!*





- To nie jest współczesny zegarek. Ta bransoletka z brązu jest tylko zewnętrznym naśladowaniem zegarka (eksponat z Koninklijk Museum voor Midden-Afrika, Tervuren)

• 28

Telefon do bogów

- W końcu tubylcy doszli do wniosku, że muszą postępować tak jak obcy — wtedy „niebiańskie ptaki” same do nich przylecą. Na pustych plażach zbudowali z dostępnego materiału składy na „niebiańskie cargo”. Na wyspie Wewak powstało „lotnisko” z imitacjami pasów startowych i samolotów z drewna i słomy. Nie brakło szpitali polowych, w których pracowali „lekarze” i „pielęgniarki”. Młodzież męska ćwiczyła musztrę. Drewniane kije imitowały karabiny. We wschodniej części Wyżyny Nowogwinejskiej holenderscy urzędnicy odkryli „radiostacje” oraz „izolatory” zwinięte z liści. Bambusowe tyczki wielkości chat były „antenami”, same chaty zaś połączone „przewodami” z włókien roślinnych. Mieszkańcy stawali w szeregu przed „radiostacjami” i machając pochodniami imitowali lampy sygnałowe. Kapłani przemawiali do drewnianych mikrofonów i zakładali słuchawki z korney drzew.

- Holenderscy i amerykańscy oficerowie śmiali się zdumieni, patrząc na te błazenady. Tubylcy zaś pilnie i z niewiarygodną powagą naśladowali wszystko, co widzieli. Wkrótce w użyciu pojawiły się „stalowe hełmy” z żółwich skorup, „lotnicze okulary” z macicy perłowej i „zegarki” z pasków futra. Nie tylko na wybrzeżu — również na centralnej wyżynie

- Nowej Gwinei wzniesiono „domy cargo”. Wieść zataczała coraz szersze kręgi, oczekiwano „wielkich, latających świń” [40].

- Wkrótce nastąpiło smutne otrzeźwienie. „Srebrne ptaki” odleciały na lotniska w pobliżu frontu, cargo nie wypełniło szop, ze „słuchawek” nie dobiegł żaden głos, z „karabinów” nie padł strzał. Z biegiem lat imitacje powyrzucano albo zastosowano w charakterze ozdób. Co byłoby jednak, gdyby biali zniknęli na zawsze po krótkiej wizycie? Późniejsi

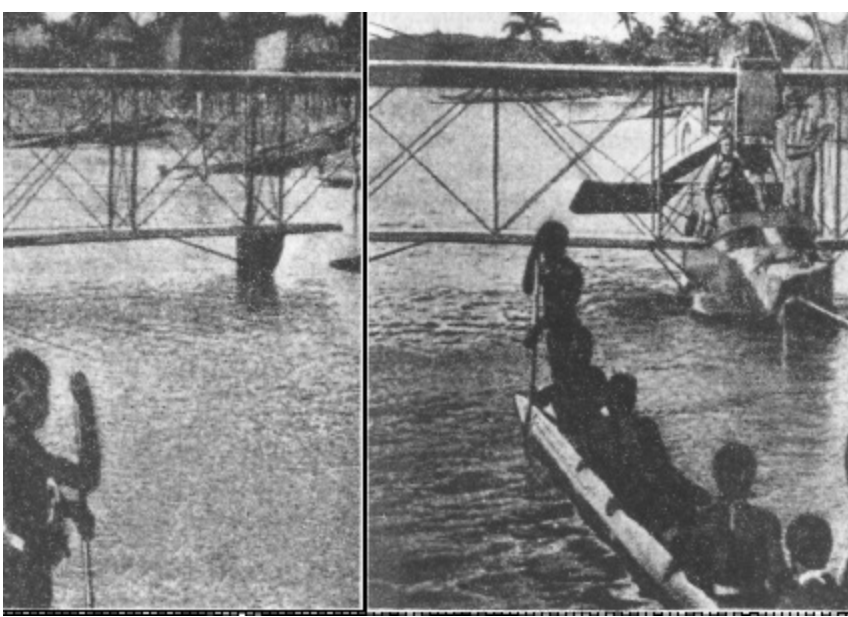
odkrywczy znaleźliby na pewno kult nader zabawny. Religie *cargo* z antenopodobnymi przedmiotami kultu, radiopodobnymi stacjami i lotniskopodobnymi świątyniami na świeżym powietrzu.

- Właśnie tego brak mi u ludów starożytności. Gdyby zetknęły się z przerastającą ich techniką ziemską, to ich kultury i obrzędy .wykazywałyby pewne naśladownictwa nieznannej cywilizacji. Pochodzą od małpy, małpującej to, czego nie rozumie. A ja, chociaż cierpliwie szukam, w przypadku konfrontacji kulturowych znajduję tylko „szok po przybyciu bogów”, pełne wiary oczekiwanie ich powrotu -- nie widzę jednak nigdzie naśladownictwa techniki chińskiej, babilońskiej, żydowskiej, egipskiej, perskiej czy innej. Musiałyby istnieć ryty naskalne, drewniane posążki albo wizerunki na ceramice, na których przedstawiono by „coś” z owego obcego świata. W końcu właśnie takie procesy można prześledzić w epoce odkryć geograficznych. Na południowym wschodzie USA znaleziono ryty naskalne, ukazujące mężczyznę w kapeluszu i pumpach. Są to wizerunki badacza, majora Wesleya, który przebywał w minionym stuleciu wśród zamieszkujących tam plemion indiańskich [41, 42]. Nad brzegami Rio Usumacinta, na terytorium indiańskiego plemienia Lacandonów w Gwatemali, odnaleziono ryty przedstawiające hiszpańską karawelę [43]. Podobne wizerunki odkrył koło Amalivaca (Wenezuela) ojciec Bartolomeo de las Casas. Przedstawiają one typy łodzi z Wysp Kanaryjskich. U plemienia Manus — jest to rybacki lud zamieszkujący Wyspy Admiralicji w Archipelagu Bismarcka — etnograf Margaret Mead znalazła modele samolotów, wykonane z drewna wyrzuconego przez fale. Rybacy widzieli zapewne prawdziwe samoloty, które przedstawili później w ten sposób [44]. I, o czym już wspominałem, w berlińskim Museum für Völkerkunde stoi kamienny bóg z Hawajów — w europejskiej kryzie i w peruce.
- Kurioza — od kultur *cargo* po pludry — świadczą o skłonnościach „dzikich” do naśladownictwa. Nigdy nie zapominają oni najbardziej charakterystycznych przedmiotów, jakimi posługiwali się obcy przybysze. Często przedmioty niezrozumiałego przeznaczenia są imitowane albo stają się elementem ustnych przekazów. Pod koniec minionego
- 30
- stulecia etnolog G. T. Emmos natknął się u wielu indiańskich plemion północno-zachodniego wybrzeża na opisy „wielkich, czarnych ptaków z białymi skrzydłami”, z których wysiadali ludzie. O czym opowiadali Indianie? Mozolny wywiad wyjaśnił zagadkę. Indianie opisali tak statki „La Boussole” i „L’Astrolabe” francuskiego podróżnika La Perouse’a, który przybył tam w 1786 roku [45, 46]. Nawet zwieńczona krzyżem kolumna, którą Kolumb kazał postawić na przylądku Maisi (Kuba), przetrwała stulecia jako świadectwo „niebiańskich odwiedzin” [47].
- Znana jest też przygoda, jaka przydarzyła się niemieckiemu pilotowi-badaczowi Hansowi Bertramowi podczas przymusowego lądowania

w Australii. Aborygeni nie zabili go tylko dlatego, że miał lotnicze okulary. Postacie w takich okularach tubylcy znali z rytów naskalnych. Coś wręcz przeciwnego przeżył pilot Leal Neto, który w 1954 roku odważył się wylądować na terytorium plemion Suyu w środkowej Brazylii. Na jego samolot spadł grad strzał. Późniejsze dochodzenie wyjaśniło zachowanie tubylców. Indianom wydawało się, że samolot jest „potworem o twardej skorupie”, o którym dawne przekazy opowiadały same niedobre *rzeczy* [48]. Gdzież jednak podziały się legendy oraz imitacje przedmiotów będące skutkiem przybycia znacznie wcześniejszych wypraw Chińczyków?

- Nie wiemy, kiedy plemiona o słabo rozwiniętej technice przeżyły pierwszy kontakt z inną kulturą. Możemy jednak wykazać, że takie zdarzenia stają się trwałym elementem tradycji tych plemion. Przekonującym przykładem takiego zjawiska może być wyprawa Franka Hurleya na Papuę - Nową Gwineę łodzią latającą w latach dwudziestych. Hurley, fotograf Lang i tłumacz wystartowali z Port Moresby. Lecąc wzdłuż wybrzeża dotarli nad wilgotny las równikowy, w którym ujrzeli prehistoryczne chaty. W końcu odważyli się wylądować koło wsi Kaimari:

-
- „[...] Lecieliśmy nad wsiami, których mieszkańcy pierzchali w gęstwinę, ujrzawszy nadlatującego wielkiego diabła, który pędził w niskich chmurach [...]. Lądowanie poszło gładko, ale [...] ku naszemu zdumieniu Lang i ja stwierdziliśmy, że tubylcy patrzą na nas jak na istoty nadnaturalne i że samolot stał się przedmiotem czci i trwogi [...]”. [49]
- Tłumacz na próżno próbował cokolwiek zrozumieć - - w końcu pojął, iż dla odważnych wojowników samolot był „diabłem, który zleciał z nieba” albo „łodzią-należec-dwa-bogi”. Tubylcy mieli już złe doświadczenia z jakimś samolotem. Nikt nie wiedział, kiedy to było. Nie wiadomo o żadnej ekspedycji lotniczej, która zjawiała się tu przed Hurleyem. Jacy to więc antyczni lotnicy stali się przyczyną strachu tubylców? Aby udobruchać dopiero co przybyłego z przestworzy „boga Hurleya”, „dzicy” co wieczór podpływali łodzią do wodnosamolotu i składali w ofierze świnie, z trudem wciągane na dziób płatowca. Sprytny Hurley wyrzucał martwe zwierzę w ciemnościach nocy za burtę. Brak tuszy stanowił dla tubylców dowód, że „łódź-należec-dwa-bogi” przyjęła ofiarę.



- Tubylcy ze wsi Kaimari co wieczór kładli na dziobie wodnosamolotu ofiarą świnie
- 32
- Frank Hurley nie zdołał się oprzeć pokusie udawania boga. Podczas spektakularnej ceremonii mającej na celu uleczenie chorego zapalił pół funta magnezji:
 - „[...] wrzuciłem paczuszkę w ogień i wyniosłem się cichaczem. Ciżba, która nie do końca wierzyła w moje czarodziejskie umiejętności, zebrała się wokół ogniska. Ogień lizał już opakowanie. Po chwili magnezja rozblęła z głuchym hukiem. Wyglądało to tak, jakby między tubylców spadła rakietka międzygwiazdowa. Jak rakiety wystrzeliły w górę płonące pochodnie; dał się słyszeć krzyk zgrozy. Tubylcy rozpierzchli się śmiertelnie przerażeni. Bębnienie ucichło [...]” [49]
 - Hurley nie zapomniał o pacjencie, który „otrzymał odpowiednią dawkę tranu, a nazajutrz poczuł się na tyle dobrze, że przechadzał się żwawo wśród współplemieńców [...]”. Pacjent ten na pewno będzie opowiadał wnukom o straszliwej nocy. „Później usłyszałem — relacjonuje Hurley — że mój niewinny żart przysporzył mi sławy *dim-dim-puripuri* — białego czarownika.”
 - Bogowie, diabły, powracający przodkowie, absurdalne imitacje wytworów techniki, zalew sprzecznych przekazów — i bądź tu mądry, człowieku! Chwała Bogu są mosty, którymi można się wygodnie przemieszczać z teraźniejszości w przeszłość, ale nawet dziś zeszloroczny śnieg może się łatwo zamienić w gołoledź.
 - W 1920 roku Erich Scheurmann, podróżujący po morzach południowych, opublikował mowy wodza Tuiavii. Wódz ten w młodości uczył się w szkole misyjnej na Samoa. Później odwiedził nawet Europę. Przy tej okazji Tuiavii, zbulwersowany przejawami nieznannej cywilizacji, rejestrował wszystko, co dla niego nowe: pośpiech, dymiące samochody, radia, wielopiętrowe budynki, wielkie dworce i tłumy na ulicach. Powróciwszy na wyspę Tuiavii wykorzystał te oszałamiające wrażenia, żeby do członków swojego plemienia wygłaszać napominają-

ce, filozofujące mowy.

o Dobór słów i wymowa tekstu

- o Kwestią sporną jest, czy mowy te były w ogóle wygłaszane. Pewne jest tylko to, że Erich Scheurmann dłuższy czas przebywał wśród mieszkańców wysp południowych i stąd znał ich wyobrażenia o białych. Może nawet przez jakiś czas kontaktował się z Tuiavii, którego poznał „na odległej wysepce Upolu w archipelagu Samoa” [50]. Tam, we wsi Tiavea, powstały szydercze mowy wodza, który naśmiewał się z kultury

33

- europejskiej. Duet Scheurmann/Tuiavii buduje most w przeszłość za pomocą słów na określenie przedmiotów obcych członkom plemienia. I tak europejskie ubranie nazywa się „skóra”, guziki zaś — „muszle”.
- Mankiety to „wapienne obręcze”, cylinder — „sztywne naczynie”, domy — „skrzynie z kamienia”, schody — „gałęzie”, a dźwięk dzwonka to „krzyk”. Tramwaj nazywa się „szklana skrzynia na metalowych taśmach”, a pociąg to „statek długi jak robak, który się ślizga”.
- Telefony to „słowa-wdmuchiwać-w-metalowe-włókna”, a karabin to po prostu „ognista rura”. Wskazówki zegara to „małe palce”, a pierwsze samoloty to „łódzie jeżdżące od chmury do chmury”. Maszyna parowa to „rzecz pożerająca czarne kamienie i dająca siłę”, a pióro — na pewno państwo nie zgadną — „kość do pisania”.
- Elektryczność nazywa się „chwycić-błyskawice-z-nieba”, kino jest „miejszem nieprawdziwego życia”, zawód nazywa się „tylko-jedno-umieć”, latarka to „iskierka”. Klawisze fortepianu są „białymi i czarnymi jęczyczkami”.
- Można sobie wyobrazić wartość formalną następującej informacji: „Gdy słońce stało na niebie, pokryły się małe palce. Mój towarzysz wdmuchnął kilka słów w metalowe włókna i po kilku małych gałęziach wsiadł do łodzi, jeżdżącej od chmury do chmury. Tam powiesił swoje sztywne naczynie na gałęzi i poprosił, żebym spojrzał w dół. Ujrzałem wiele skrzyń z kamienia, kilka szklanych skrzyń na metalowych taśmach a nawet długi statek podobny do robaka, który szybko się oddalał. Nagle zjawiała się piękna dziewczyna z kością do pisania. Przyniosła nam napój i powiedziała, że zaraz ujrzemy miejsce nieprawdziwego życia...”
- Jak nasi przodkowie opisywali rzeczy, na które nie mieli określeń? Jeśli na coś brak określenia, *trzeba* to nazwać za pomocą słów istniejących. Dla Indian Ameryki Północnej parowóz jest „ognistym rumakiem”, a telefon „śpiewającym drutem”. Alkohol stał się „wodą ognistą”, a magnetofon „rzeczą kradnącą głos”. Kiedy w październiku 1978 r. w *Zairze* wystartowała rakietą, reporterzy telewizyjni zapytali kilku czarnych w buszu, co myślą o tym wydarzeniu: „Nasi potężni przyjaciele wysyłają ogień do nieba” — brzmiała lapidarna odpowiedź. Z niewiedzy i kalekich określeń powstają legendy — tak było kiedyś, tak jest i dziś.

- W połowie lat dwudziestych bracia Michael, Benjamin i James Leahy pojechali na Nową Gwineę, gdzie na wybrzeżu zapanowała akurat gorączka złota. Bracia Leahy mieli ze sobą nie tylko sita do płukania złota, lecz również aparaty fotograficzne. 60 lat później terytoria „dzikich” ucywilizowano. Ekipa telewizji australijskiej udała się w ten rejon i pokazała mieszkańcom powiększenia starych zdjęć zrobionych
- 34
 - przez braci Leahy. Kilku starszków rozpoznało się na fotografiach. Dziś wyglądają zupełnie inaczej — noszą buty, spodnie i koszule. Na zdjęciach widać ich jeszcze w przepaskach biodrowych, w rękach trzymają dzidy. Jeden ze starców powiedział:
 - „Byłem dzieckiem. Ojciec zabierał mnie ze sobą na polowania. Wtedy ujrzeliśmy pierwszych białych ludzi. Przestraszyłem się okropnie zacząłem płakać. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej istoty. Skąd przybyła? Z nieba czy z rzeki?” [51]
 - Swoje przeżycia z lat dwudziestych bracia Leahy utrwalali również na piśmie — pramieszkańców dziwił każdy przedmiot: zapalka, konserwa, ołówek, nożyczki. O tym, co działo się w umysłach tubylców, opowiadają dziś starcy:
 - „W naszej wsi rozeszła się wieść, że przybyły błyskawice. Uważaliśmy białych za błyskawice z nieba. Inni powiadali, że to nasi przodkowie, którzy powrócili z królestwa umarłych”. [51]
 - A cóż innego mieli myśleć, skoro istniał pradawny przekaz, wedle którego bogowie zstąpili niegdyś z nieba i nauczali ludzi. Był kult zmarłych, wiara w królestwo przodków na tamym świecie. Starzec, który ujrział wówczas białych z dużymi kolorowymi plecakami, tak ujął wrażenia tubylców: „Myśleliśmy, że mają tam swoje żony!”
 - Dzikich zdumiały również spodnie przybyszy. Zadawali sobie pytanie, jak te istoty pozbywają się ekskrementów: „Bo przez to się nie da!”. I tak w głowach miejscowych zakiełkowała myśl, że biali są pewnie istotami z nieba — aż pewnego dnia jeden z tubylców zauważył z ukrycia, jak biały spuszcza spodnie i pozbywa się czegoś z wyraźną ulgą. „Jeden z niebiańskich przybyszy właśnie to zrobił!” — oświadczył szpieg swoim współplemieńcom. Kilku śmiazków ostrożnie obwąchało rzecz pozostawioną przez białego człowieka — niebiańskie gówno śmierdziało tak samo jak ziemskie.
 - Bracia Leahy wraz z kolumnami tragarzy przebyli góry. Wkrótce zrozumieli, że w ten sposób nie da się tu doprowadzić zaopatrzenia z wybrzeża. Wykarczowali więc w zaroślach pas startowy. Tubylcy nie wiedzieli wprawdzie, o co chodzi, pomagali jednak chętnie. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci ze śpiewem na ustach wyrównywało ziemię udeptując ją cierpliwie. „Byli szczęśliwi, że mogą sobie potupać” — pisał Benjamin Leahy.
 - Nim przyleciał pierwszy samolot wezwany przez radio, bracia uświadomili tubylcom, że z nieba przybędzie wielki ptak, niosący

w swoim brzuchu ludzi. Oczywiście na skraju pasa startowego stały tysiące ciekawskich, żeby obejrzeć widowisko. Pewna staruszka opowiedziała, że przy lądowaniu wielkiego ptaka ludzie rzucili się na ziemię

- i ukryli twarze. Wielu przestraszyło się tak bardzo, że bezwiednie oddało moc. Potem jednak uciekli i ukryli się, niektórzy obejmowali się, krzyżąc ze strachu. Benjamin Leahy pisał: „Ludzie wpadli w panikę, bo nie wiedzieli, co to jest”.
- Stopniowo, gdy porozumienie stało się możliwe, tubylcy zaczęli pojmować, że dziwni biali nie są istotami z nieba. Mimo to nadal byli przekonani, że biali są duchami przodków. Jak do tego doszło?
- Od niepamiętnych czasów panował tu zwyczaj palenia zmarłych. Popioły i resztki kości wrzucano do rzeki. A co robili obcy? Godzinami stali w rzece. Płukali piasek, odcedzając w dziwnych miskach żółte kamyki. Musieli więc być zmarłymi przodkami, szukającymi w rzece swoich resztek. Bo jak inaczej wytłumaczyć takie zachowanie?
- Mijały lata. Powoli zniknęły ostatnie niejasności. Biali zostali, było ich coraz więcej. Młode pokolenie tubylców uczyło się w szkołach misyjnych. Przełamano utrudniającą komunikację barierę językową, miejscowi zaczęli rozumieć nową cywilizację.
- Ale co by było, gdyby po krótkim pobycie biali zniknęli równie nagle, jak się pojawili? Gdyby przez stulecia czy tysiąclecia tubylcy nie mieli kontaktu z białymi ludźmi? Pewne jak amen w pacierzu byłoby powstanie nowego kultu, nowej religii, kultu powracających przodków, szukających w rzece swoich kości, kultu białych, którzy w potężnym, grzmiącym ptaku o twardej skorupie zstępują z nieba, aby znów tam zniknąć! Byłoby właśnie tak!
- Ale dlaczego, i to jest celem moich badań, tyle tubylczych plemion czeka na „bogów z nieba”?

II. Boscy ludzie

Czas to dobry nauczyciel.

Szkoda tylko, że uśmierca
swoich uczniów.

Curt Goetz (1888-1960)

-
-
- Historię dynastii Szang przekazano w tak zwanych *Annałach Szi-chi*, człowiek stoi tu więc na pewnym gruncie [52]. Pierwszym panującym, od którego imienia wzięła nazwę prowincja, był Czeng Ting. Ten Czeng Ting zapoczątkował wprawdzie swój ród, ale nie był pierwszym cesarzem. Był nim jego poprzednik Chieh Kuci z dynastii Hia, podobno dyktator o skłonnościach sadomasochistycznych — z tego powodu pozbawiono go tronu. Uczynił to właśnie założyciel dynastii Szang, mężny Czeng Ting. Annały podają, że miał „latające wozy”. Ale nie wyprodukował ich we własnych zakładach lotniczych — były wytworem tajemniczego ludu zwącego się Chi-Kung. Taaak, a lud

mieszkał ni mniej, ni więcej tylko o 40 000 li „po drugiej stronie nefrytowej bramy”. Gdziekolwiek to było, była to odległość większa od połowy równika, bo 40 tyś. li to 40 000 x 644,4 m, czyli 25 776 km! Jeżeli za podstawę obliczeń przyjąć małe li (150 m), to lud zajmujący się budową samolotów mieszkał w odległości 6 000 km od granic cesarstwa.

- O ludzie Chi-Kung napisano: „Potrafili też wytwarzać latające wozy, które przy sprzyjającym wietrze pokonywały wielkie odległości. Za czasów Tinga (1760 r. prz. Chr.) zachodni wiatr zaniósł taki wóz aż do Jutschou (Honan), po czym Ting połamał go, albowiem nie życzył sobie, aby jego lud zobaczył ten pojazd”.
- Chiński poeta Kuo p'o (270-324 r. po Chr.) podchwycił wątek znaleziony w annałach przodków. Pisał: „Godne podziwu są precyzyjne prace ludu Chi-Kung. Myśląc o wietrze wyteżyli głowę i wynaleźli
-
- latający wóz, który wznosząc się i opadając, zależnie od potrzeby, dowiózł ich jako gości do cesarza Tinga”.
- Istnieją rysunki owych aparatów latających, na których widoczne są szczegóły, w naszych oczach „chińskie” w całym tego słowa znaczeniu. Cesarz Czeng Ting ukrywał te aparaty przed spojrzeniem poddanych. „Głównemu inżynierowi” cesarza, Ki Kung Shi, udało się nawet zbudować kopię takiego niebieskiego wozu. Później pojazdy te zniszczono, „aby na zawsze zachować je w tajemnicy”. Rozbrojenie w starożytnych Chinach! W dziele *Szang hai tizing* Kuo p'o pisze o różnych sprawach owej epoki [53, 54, 55]. „Latające wozy” pojawiają się tam często pod nazwą „latające koła”.
- Jeszcze w średniowieczu filozof i mnich Roger Bacon (1219-1294) dysponował informacjami na temat latających aparatów, bo w pracy z 1256 roku napisał:
 - „Mogły też być wytwarzane aparaty latające (*instrumentu volandi*) [...] były one wytwarzane bardzo dawno temu, a pewnym jest, że takowy instrument do latania posiadano”. [56]
 - Moi czytelnicy wiedzą, że „latające wozy” i „latające koła” stanowią element niezliczonych przekazów. Za dublet powietrznych odwiedzin na dworze chińskiego władcy Czeng Tinga mogą być uznane podróże indyjskiego króla Rumanwata, który kazał zbudować statek powietrzny tak wielki, że mieściło się tam naraz wielu ludzi:
 - „Zasiadł więc król w niebiańskim wozie wraz ze służbą ze swego haremu, ze swoimi kobietami, dostojnikami i grupą ludzi pochodzących ze wszystkich dzielnic miasta. Dotarli do kresu firmamentu, a w końcu podążyli drogą wiatrów. Wóz niebieski okrążył ziemię lecąc nad oceanami i skierował się ku miastu Avantis, gdzie obchodzono święto. Maszynę zatrzymano, aby król mógł wziąć udział w święcie. Po krótkim pobycie król wystartował

z powrotem na oczach niezliczonych gapiów, podziwiających wóz niebieski". [57]

- o Ci powietrzni żeglarze antyku byli całkiem nieźli! Oczywiście rozumem, że te wszystkie aparaty latające uzna się zaraz za wytwory fantazji. Z zatęchłego worka psychologii wyciągnie się — normalka! — przedwczorajszy argument, że człowiek zawsze chciał dorównać ptakom i marzył o lataniu. Wymówka banalna, bo przecież — szczególnie w przekazach staroindyjskich — wyraźnie odróżnia się wozy latające od nielatających. Może o tym zaświadczyć kilka cytatów z *Ramajany*, zestawionych przez znawcę sanskrytu, prof. dr. Kandziłala z Sanscrit College w Kalkucie:
- o 38
- o „Wraz z Kharą wsiadł do latającego pojazdu ozdobionego kosztownościami i twarzami demonów. Pojazd poruszał się z hałasem równym grzmotom". (3.35.6-7)
- o „Wsiądź do tego pojazdu, który jest wysadzany kosztownościami i może wznieść się w powietrze. Kiedy uprowadziłeś Sitę [małżonkę króla], możesz podążać, dokąd chcesz. Drogą powietrzną zawiozę ją do Lanki [dziś Sri Lanka — Cejlon] [...] I tak Rawana i Maricha wsiedli do pojazdu powietrznego podobnego pałacowi [] " (3.42.7-9)
- o „Ty szubrawcze, myślisz, że skoro postarałeś się o ten pojazd powietrzny, będziesz żył w dobrobycie?" (3.30.12)
„Potem zjawił się pojazd samoistny [...] znów w Lance z biedną Sita i Tridżatą." (4.48.25-37)
- o „Jest to wyborny pojazd powietrzny, zwany Puśpaka a lśniący jak słońce." (4.121.10-30)
- o „Obiekt latający, ozdobiony łabędziem, wzniósł się z hukiem w przestworza." (4.123.1)
- o „Wszystkie damy z haremu króla małp Sugriwy pośpiesznie skończyły się stroić i wsiadły do latającego pojazdu." (4.123.1-55) [58]
A w eposie *Mahabharata* jest 41 fragmentów tekstu mówiących wyraźnie o pojazdach latających. Oto przykłady:
- o „Och, ty, potomku Kurusa, ów zły człowiek przybył pojazdem latającym samodzielnie, który może poruszać się wszędzie i znany jest jako Saubhara." (Vanaparva Ch. 14, w. 15-22)
„Również ludzie poruszają się po niebie pojazdami latającymi udekorowanymi łabędziami a równie komfortowymi jak pałace." (Vanaparva Ch. 200, w. 52-56)
- o „Wielki pan przekazał mu poruszający się samodzielnie pojazd latający." (Vanaparva Ch. 207, w. 6-9) [59]
- o A zatwardziałym reprezentantom poglądu, że są to tylko wytwory wybujałej fantazji dawnych Hindusów, podsuńmy dyskretnie fragment z dzieła powstałego w zupełnie innym regionie Ziemi — myślę
- o 0 etiopskiej *Księdze Królów*. Tam latają nie Chińczycy ani Hindusi, lecz

nasz stary znajomy — król Salomon:

- „Wszystko pędziło na wozie, jak okręt na morzu, który ponosi wiatr [...] i szybsi byli od orłów na niebie, i cały ich dobytek posuwał się z nimi w powietrzu na wozie.” [60]
- W ten sposób król i wszyscy, co byli posłuszni jego rozkazom, lecieli na wozie bez cierpień i chorób, bez głodu i bez pragnienia, bez potu
- i zmęczenia, przebywając jednego dnia drogę, na którą potrzeba trzech miesięcy.
-

39

- W czasach antycznych na pewno byli ludzie stosujący maszyny latające. Choć na to twierdzenie istnieją niepodważalne dowody, nikt nie potraktuje ich serio. Założymy się? Arogancja najświatlejszych nie dopuszcza istnienia czegoś, co istnieć nie może. Dowody? Jakie dowody?
- kierunkiem prof. dr. Josyera pracował nad odczytaniem tekstów przez 20 lat. Jesienią 1973 roku przedstawiono angielski przekład poprzedzony tekstem sanskryckim. Dzięki temu każdy naukowiec zajmujący się sanskrytem mógł sprawdzić wierność tłumaczenia. Książka zatytułowana *Yymaanika-Shaastra or Science of Aeronautics* [61] zainteresowała na Zachodzie niewielu fachowców, ci zaś podziwiali wprawdzie doskonale tłumaczenie, nie podnieśli jednak z tego powodu specjalnej wrzawy.

●

● Rękopisy opisujące prehistoryczną technikę latania

- W 1918 roku w Bibliotece Baroda Royal Sanskrit w Mysore w Indiach odkryto rękopis pracy *Yaimanika Sastra*, który przeleżał tam nie zauważony całe wieki. Dopiero w 1943 roku fragmenty tego dzieła opublikowano pod tytułem *Yimana Sastra*. Znawcy sanskrytu z Poona College zauważyli wkrótce, że tekst ten wykazuje wiele podobieństw do starszych tekstów sanskryckich, sięgających 1610 roku. Teraz do pracy włączyli się naukowcy Academy of Sanskrit Research z Mysore. Kolekcję tekstów uzupełniono rękopisami z zatęchłych podziemi zniszczonych świątyń. Do Akademii dostarczono całe pliki starych pism, powiązane i ściśnięte starymi drewnianymi tabliczkami. Anglików nie interesowały te zabytki — kapłani zaś obawiali się, że starożytne manuskrypty zbutwieją, zostaną zżarte przez szczury albo zniszczą w inny sposób. Dyrektor Akademii prof. dr G. R. Josyer i jego współpracownicy posortowali materiały według stopnia zniszczenia i według wieku. Choć papiery liczyły sobie w najlepszym przypadku 350 lat, zawierały wiedzę z minionych tysiącleci. Wkrótce pojawiły się nazwy i dziwolągi słowne dobrze znane sanskrytologom. Pradawna forma wersyfikacyjna wskazywała bez wątplenia na fakt, że treść pochodzi

z zamierzczej przeszłości. Teksty, jak to w indyjskich klasztorach (i chrześcijańskich też), były stale przepisywane. 25 sierpnia 1952 roku naukowcy Akademii przekazali indyjskim mediom pierwszą informację o odkryciu. Pięćdziesięcioletni wówczas prof. Josyer oświadczył skromnie:

- „Szanowni państwo! Mamy przed sobą 500 ślok czyli stanc tekstów
- staroindyjskich, mówiących wyłącznie o prehistorycznym lotnictwie.
- Jest to 6000 ręcznie pisanych linijek. Opisują one aparaty latającego typu *wimana*, *rukma*, *sundra* i *szokuna*”.
- O odkryciu napisały hinduskie gazety — ale sensacyjna informacja nie zainteresowała reszty świata. Ludzie byli zajęci usuwaniem szkód wojennych i rozkręcaniem gospodarki. Niewielki zespół badawczy pod
- 40
-
-
- Aparaty latające w starożytnych Indiach? Fantazja i marzenia jakichś wiecznych szperaczy. Wtajemniczeni fachowcy wiedzieli, że i w innych tekstach sanskryckich jest mowa o „latających wozach”. Na przykład w tomie XXV *Samarangana Sutradhara* czy w *Yuktikalpataru* z Bhodża, tekstu opublikowanego przez Calcutta Oriental Society w 1917 r. Nie było więc szczególnego powodu do podnoszenia wrzawy.
- Tymczasem udowodniono, że opisy prehistorycznych aparatów latających liczą sobie tysiące lat. Będąc w Indiach pytałem o to wielu poważnych sanskrytologów — potwierdzili oni i prawdziwość odpisów dawnych tekstów, i doskonałość tłumaczenia.
 - Dziesięć rozdziałów porusza problematykę przerażająco współczesną
 - — mówią o treningu i skafandrach pilotów, o korytarzach powietrznych, o elementach maszyn latających, o stosowanych w nich metalach, o metalach pochłaniających wysokie temperatury i o różnych rodzajach napędu. Jest tam też lista 32 reguł, do których musi się stosować osoba kierująca pojazdem powietrznym. W końcu tekst podaje sekrety, jak „skakać” określonymi typami pojazdów powietrznych, jak lecieć „wężykiem”, jak pilot może „patrzeć na wszystkie strony” i „słyszeć odległe dźwięki”. Przeliczono również prędkość poszczególnych typów *wimana* na jednostki współczesne — wynosiła ona 5760 km/h.
 - Informacje z przeszłości mogą — jeżeli się je weźmie poważnie
 - — zrewolucjonizować współczesne lotnictwo i kosmonautykę. Mówi się tam o składnikach, pozwalających zrobić po zmieszaniu w odpowiednich proporcjach 16 powłok pochłaniających ciepło. Wyjaśnienia się też, jak uzyskiwać czyste metale, jakie kwasy dodawać do danego stopu i jakie oleje stosować do jego obróbki w danej temperaturze. Opisano siedem typów silnika oraz typy *wimana*, do których można je zastosować. Nie brak informacji ani o wielkości maszyn latających, ani o możliwościach ich zastosowania czy osiąganym

pułapie. Tytuły rozdziałów brzmią jak z dzisiejszego podręcznika dla pilotów:

- „Korytarze powietrzne — Elementy maszyny — Skafandry — Posiłki
- 1. O materiałach — Punkt topnienia — Lustra — Moc — Maszyny
- 2. Różne typy samolotów — *Szakuma-wimana* — *Sundara-wimana*
- 3. *Rukma-wimana* — *Tripura-wimana*” [61]
- Nieżyjący już dziś prof. dr Josyer przekazał mi w Mysore egzemplarz tych zdumiewających tekstów. Nigdy się z nim nie rozstaję! Profesor pozwolił mi też cytować fragmenty tego dzieła, „jako daninę za Pańskie
- 42
- nieustanne starania w służbie prawdy”, jak napisał w dedykacji. Oto kilka wspaniałych próbek:
 - „Zajmiemy się teraz lustrami i soczewkami koniecznymi w *wimana*. Jest ich siedem. Oto one: *mukura-kalpa* — lustro dalekiego zasięgu, *skaktjaakarszana darpana* — lustro zbierające energię [...] *rowdri dar pana* — lustro potęgujące przerażenie. Lustro *wiszwakrija* musi być ruchome i powinno znajdować się blisko pilota, żeby ten mógł w każdym momencie widzieć wszystko wokół siebie. Wytwarza się je w następujący sposób:
 - Dwie części *satwa* [...] pięć części rtęci [...] sześć części miki [...] osiem części sproszkowanych pereł [...] dziesięć części granitowego piasku [...] osiem części soli [...]. Składniki trzeba oczyścić, zważyć i podgrzać w piecu do przetapiania do temperatury 800° C. Kiedy wszystko się stopi, należy wlać masę do przygotowanej formy [...]”. [61]
 - Wielokropki umieszczone przeze mnie w powyższym fragmencie zastępują staroindyjskie dziwolągi słowne, nie mające żadnego sensownego odpowiednika ani w języku angielskim, ani w niemieckim. W kolejnym fragmencie staroindyjscy autorzy wyjaśniają, że istnieje wiele niszczycielskich sił, które za pomocą różnych rodzajów luster można zneutralizować albo osłabić. W sumie wymienia się 633 „złe wpływy”, które mogą być niebezpieczne dla aparatu latającego. Wylicza się też drobiazgowo składniki różnych „luster”, dzięki którym można neutralizować negatywne wpływy. Są wśród nich: promieniowanie słoneczne, promieniowanie kosmiczne, wiatry, ogień, broń nieprzyjacielska itd.:
- „*Rowdri-darpana* to soczewka, która w postaci płynną zamienia wszystko, na co się ją skieruje [...] Przy zastosowaniu *rowdri* do promieni słonecznych uwalnia się zła siła zwana *maarika*, która naładowana energią słoneczną niszczy samoloty nieprzyjacielskie”. [61]
- Teksty te wyjaśniają również, że w *wimana* trzeba użyć 27 różnych rodzajów szkła i omawiają ich zastosowanie. Mówią, z jakiego materiału zrobiono podłogę, ściany i piętra, a z jakich 28 rodzajów włókien sporządzono kombinezon pilota. Wyliczono nawet 25 rodzajów „połączeń”, przetwarzających energię słoneczną na użyteczną siłę. Dowiadu-

jemy się, że istnieje 16 019 (szesnaście tysięcy dziewiętnaście) rodzajów promieniowania cieplnego — rodzaje te dzielą się na „podgrupy”. Określone rodzaje promieniowania wyzwalają dane energie, a inne kombinacje promieniowania energie inne, ale za pomocą różnych lusterek w energię można zamienić każdy składnik promieniowania. Opisano też niewielkie obiekty latające zrobione ze szkła i sposób ich budowy:

43

- „Owe dwanaście oczyszczonych składników należy wymieszać w proporcji 5:3:5:1:10:10:11:8:7:2:6:1. Umieścić je w piecu do przetapiania mającym kształt lotosu i ogrzewanym węglem drzewnym. Należy go rozgrzać do temperatury 323° [...]. Efektem będzie *szitaranjikaadarsa*, czyli szkło, zawierające w sobie chłód”. [61]
Chodzi zapewne o szkło pochłaniające wysokie temperatury. W pojazdach latających są zamontowane nawet odgromniki, bo — kto o tym dziś wie? — istnieje pięć rodzajów piorunów stanowiących niebezpieczeństwo dla maszyny latającej.
- Nawet jeśli nie udaje się przetłumaczyć wielu słów i wyrażeń, sanskrytolodzy znają ich prawdopodobne znaczenie. Choć teksty zawarte w *Yymaanika-Shaashtra* znane mi są od ćwierćwiecza, unikałem dotąd ich cytowania. Mówi się, że z jajek można wprowadzić zrobić omlet, ale z omletu nie robi się jajek. Powyższe fragmenty są wysmienitym kąskiem nie tylko dla producenta samolotów, lecz również dla metalurgów i wytwórców szkła, którzy po przeprowadzeniu odpowiednich doświadczeń mogliby na pewno wyprodukować nowe stopy metali i lustra.
- Czy w ten sposób udało się zdemaskować „bogów”? Czy „bogowie” byli tylko latającymi ludźmi z odległych rejonów świata, skąd — podobnie jak w naszym stuleciu — odwiedzali „kraje rozwijające się”, aby siać tam myślowy zamęt? Czy brawurowi piloci prehistorii byli przyczyną „szoku po przybyciu bogów”? Czy to na ich powrót czekają tubylcze plemiona w najdalszych częściach świata?

o Incydenty z mórz południowych

- o Polinezja (gr. kraina wielu wysp) leży w gigantycznym trójkącie między Hawajami, Wyspą Wielkanocną a Nową Zelandią. Pierwotni mieszkańcy Polinezji mają wspólne legendy—nawet jeśli występują tam różne postacie bogów, noszące różne imiona. Problem w tym, że co i rusz bogowie ci czynią rzeczy niemożliwe.
- o Pramieszkańcy Nowej Zelandii, Maorysi, opowiadają, że na wschodnim wybrzeżu wylądował kiedyś z dwiema córkami zagadkowy król Rupe mający dwa dziwne „ptaki”. Rupe wysłał oba ptaki na zwiady. Pierwszy miał zmierzyć spadek rzek i zbadać prądy morskie, drugi — sprawdzić jagody i rośliny pod kątem ich przydatności do spożycia. Piękna sprawa! Facet był chyba jakimś naukowcem, a „ptaszki” musiały dysponować umiejętnościami, o jakich się zwykłym ptakom nie

śniło. Pierwszy połamał sobie skrzydła w wodospadzie i wypadł z gry.

o 44

- o Drugi zbłądził podczas lotu przez las i król nigdy go już nie ujrzał. Dlatego — tyle legenda — Rupe i jego córki nie mogli powrócić do ojczyzny. Ale dlaczego nie mogli? Rupe miał przecież statek. Czy „ptaki” były mu potrzebne do prowadzenia nawigacji, a może Ziemia nie była jego ojczyzną?
- o John White, etnograf z minionego stulecia, w zbiorze zatytułowanym *Ancient History of the Maori* [62] zamieścił kilka przekazów, które nijak nie pasują do naszego obrazu świata. Już spis treści tej książki, wydanej w 1887 roku, czyta się jak literaturę science fiction: „Wojna w Kosmosie

1. Małżeństwa bogów z ludźmi — Podróże między Ziemią a gwiazdami

2. Żywność spadająca z nieba”. Książka opowiada również o tym, że plemię Nga-Ti-Hau prowadziło wojnę przeciw znacznie silniejszemu wrogowi. Kiedy wróg osaczył plemię, jego członkowie poprosili o pomoc boga Rongamai. Ten nie dał się długo prosić:

- o „Jego pojawienie się było niczym blask gwiazdy, jak płomień ognisty,
- o jak słońce”. [62]

o Bóg Rongamai przeleciał nad wiejskim placem i wylądował:

- o „Ziemia zadrżała, chmury kurzu przesłoniły widok, dał się słyszeć
- o huk grzmotu, a potem jakby szum muszli”. [62]

o Takie efekty na pewno nie były dziełem Jamesa Cooka czy jego holenderskiego kolegi Jakoba Roggeveena. Musieli w tym maczać palce „bogowie” znacznie potężniejsi. A dla mnie, wędrowca między różnymi dziedzinami wiedzy, za każdym razem jest czymś podniosłym przytaczanie przekazów podobnych treściowo, lecz pochodzących z różnych części Ziemi. Dla porównania *Ramajana*:

- „[...] Gdy ów rydwan ukazał się w obozie małp, jego wspaniałość
- i blask wywarły na Ramie głębokie wrażenie.

1. Skąd się on tu wziął? — zapytał.

2. Panie — odpowiedział woźnica — nazywam się Matali. Mam zaszczyt być woźnicą Indry. Brahma, bóg o czterech obliczach i stwórca wszechświata, oraz Siwa, którego moc ośmieliła Rawane, aby ci teraz rzucił wyzwanie, rozkazali mi przyprowadzić tu ten rydwan do twojego użytku. Zdolny jest latać szybciej od wiatru ponad wszelkimi przeszkodami, nad każdą górą, morzem czy niebem, i dopomoże ci wyjść zwycięsko z bitwy. [...] Rama przypasał miecz, zarzucił na ramiona dwa kołczany pełne niezwykłych strzał i wsiadł do rydwanu. [...] Ziemię spowiła zupełna ciemność od krańca do krańca i wszelkie stworzenie znieruchomiało jak tknięte paraliżem. Astra owa wywołała także potoki deszczu z jednej strony, deszcz kamieni z drugiej, burzę gradową i straszliwy huragan. [...] \V pewnej chwili Rama musiał przerwać walkę, aby się zastanowić, jakiego

ostatniego środka ma użyć, by położyć jej kres. Po dłuższym namyśle postanowił posłużyć się brahmastrą, bronią specjalnie niegdyś obmyśloną przez Brahme dla Siwy. [...] Rama pomodliwszy się użył zaklęć nadających pociskowi największą moc, po czym wysłał go w kierunku Rawany, celując w serce, nie w głowę, gdyż odporność Rawany nie tyczyła serca. [...] Prosząc o niezniszczalność swych głów i ramion, Rawana zapomniał o sercu, które teraz przeszła broń stworzona przez Brahme, kończąc żywot władcy rykszasów". [63]

W fachowej literaturze etnograficznej nie przeprowadza się takich porównań, bo tego robić nie należy. Błądzi się za to w religijno-psychologicznej mgłę przeszłości zadając gwałt psychologii, próbując wyjaśnić to, czego przy jej pomocy nijak wyjaśnić się nie da. Czytam więc, że są to stylizowane zjawiska przyrody albo deifikacja ziemskich bohaterów. Co to ma znaczyć? Już rzymski cesarz i filozof Marek Aureliusz twierdził: Głupią rzeczą jest oburzać się na świat. Świata to nie obchodzi.

W *Wisznu-Puranie*, innym staroindyjskim podaniu, można nawet przeczytać, że bogowie przybyli z firmamentu własnym pojazdem:

„Kalki jeszcze mówi, a z nieba zstępują dwa lśniące jak słońce, składające się z kamieni szlachetnych wszelkiego rodzaju, poruszające się o własnej sile wozy kierowane przez nich, przez promienistą broń chronione".[64]

Czy w Indiach, czy na Polinezji — zawsze znaleźli się ludzie, którzy utrwalili zadziwiające zdarzenia. I zarówno tu, jak i tam mówi się o imponujących, bogom podobnych istotach, które pozostawiły po sobie niezatarte wrażenie. W legendzie Maorysów pojawia się bóg Pou-Rangahua, który przyleciał do Nowej Zelandii z ojczyznoświata „Hawaiki". „Hawaiki" to słowo, które występuje też w tekstach staroindyjskich. Znaczy ono: Droga Mleczna. Po wylądowaniu bóg Pou-Rangahua powiedział:

„Przybywam i mam nieznaną ziemię pod nogami. Przybywam i nowe niebo wiruje nade mną. Przybywam na tę ziemię i jest ona dla mnie przyjaznym miejscem spoczynienia". [62]

Powyższe fragmenty nie wymagają chyba wyjaśnień. Myślę też, że

tych bogów trudno pomylić z żeglarzami-odkrywcami z minionych stuleci. Opisywane istoty latały! Aha, maoryjski Rupe, dysponujący dziwnymi ptakami, miał też siostrę, którą uwięził jakiś zazdrosny człowiek. Będąc w potrzebie, wezwała na pomoc brata. Wkrótce grzmot straszliwy rozległ się nad chatą — to nadleciał Rupe. Choć ludzie nie traktowali jej najlepiej, siostra poprosiła brata, żeby przetransportował ich drogą powietrzną z wyspy na kontynent. Rupe powiedział, że będzie

46

musiał odbyć trzy loty. Wyspiarze wsiedli, a on poleciał nad morze i wrzucił ich do wody. Potem wziął na pokład siostrę, która spostrzegła zwłoki i ubrania na powierzchni wody. „Czemu to uczyniłeś?”, spytała brata. Rupe odparł: „Wyrządzili ci krzywdę, gdy mieszkałaś w ich kraju. Stąd mój gniew, dlatego wyrzuciłem ich do morza”. [65]

Dobry był numer z tego Rupego!

W legendach dawnych Polinezyjczyków pełno podobnych przypadków. Nierzadko tubylcy potrafią te zdumiewające zdarzenia zlokalizować. Na przykład mieszkańcy wyspy Pentecost (Nowe Hebrydy) oddają cześć „kamieniowi o kształcie skrzydła”, bo jest to symbol boga

o imieniu Vingaga. Bóg ten w pradawnych czasach przybył na wyspę

i dał wyspiarzom obowiązujące prawa. Po pobycie na Ziemi Yingaga odleciał do swojej odległej ojczyzny [66]. Na wyspie Raivavae (Polinezja Francuska) po dziś dzień świątynia Te-Mahara jest uważana za miejsce, w którym bóg Maui wylądował po locie kosmicznym [67]. A mieszkańcy Atu Ona (wyspy Marquesas Keys) oddają nawet cześć niewielkiej górze Kei Ani, uważając ją za miejsce, gdzie bogowie po raz pierwszy zstąpili z nieba. Prapolinezyjczycy nazywali jeszcze górę „Mouna tautini-etua”, co znaczy dosłownie „góra, na której wylądowali bogowie” [68].

Nie wiemy, jaką cześć oddawali ludzie tak niezwykłym postaciom, nie mogło to jednak wyglądać inaczej niż w (dającej się sprawdzić) epoce odkryć. Kontakty Kolumba, Cortesa, Pizarra czy Cooka z tubylcami i — w późniejszych czasach — powstanie kultów imitacyjnych pozwalają zrozumieć, co było pożywką mitów i legend. Chyba, że nasza głupota pozwoli nam odważyć się na uznanie wszystkich dzieł kronikarzy prehistorii za łgarstwo. Nie było wówczas — podkreślam — agencji prasowych. Dlaczego więc sedno wszystkich tych przekazów jest takie samo? A może autorzy ówczesnych relacji zostali poddani indoktrynacji w jakiejś niebańskiej szkole wyższej? Co skłoniło ludy pierwotne do opowiadania ze szczegółami o „latających istotach”? Twierdzenie o „myśleniu życzeniowym” zwraca się przeciwko swoim

„Kiedy w 1911 roku nad rezerwatem Red Lake w Minnesocie przeleciał pierwszy samolot, Indianie wiedzieli od razu, co się dzieje. Hałaśliwy potwór był grzmiącym ptakiem, mityczną istotą, z której oczu wystrzelały błyskawice i której skrzydła wyzwały grzmoty. W pośpiechu wszyscy pobiegli na brzeg jeziora, żeby złożyć w ofierze

tytoń [...]" [69].

Pamięć o „grzmiącym ptaku" jest żywa u wszystkich Indian Ameryki

Północnej. Indianie znad Thomson River twierdzą na przykład ze

pewien stary mężczyzna, zwany przez nich „Przetwarzającym lub

47

„Kojotem", przybył w „grzmiącym ptaku" i uporządkował ich świat. Pewnego dnia powróci z „głośnym biciem w bęben". „Istota porządkująca świat" żyje „poza Ziemią" [70].

W rezerwach indiańskich w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie stoi wiele słupów totemicznych. Są to kolorowo malowane pnie drzew z maskami i skrzydłami. Często umieszczony na samej górze „thunderbird" jest uważany za „grzmiącego ptaka", który kiedyś wylądował nad morzem. „Rozpiętość jego skrzydeł była na długość dwóch kanu", precyzują legendy, a „z jego brzucha wypełzły jakieś istoty". Grzmiący bóg nie mógł być w żadnym razie samolotem z naszych czasów, bo i przekazy, i słupy totemiczne z „wizerunkami thunderbirda" istniały na długo przed powstaniem lotnictwa.

Co więc widzieli przodkowie Indian? O czym opowiadały sobie kolejne pokolenia? Co pletli Chińczycy o „zręcznych wytworach ludu Chi-Kung, sporządzającego latające wozy"? W jaki sposób indyjski król Rumanwat razem z haremem i wieloma dostojnikami mógł „oblecieć ziemię wozem niebieskim"? Dlaczego w staroindyjskich eposach pełno „samodzielnie latających pojazdów powietrznych", znanych jako *saubhapura* i *wimancft* Skąd wzięły się szczegółowe dane konstrukcyjne *wimana*! Dlaczego „ziemia drżała" i dlaczego dawał się słyszeć „hałas niczym grzmot", kiedy bóg mórz południowych Rongamai opuszczał się na ziemię? I dlaczego — na brodę proroka — nawet król Salomon używał maszyny latającej, która „jednego dnia pokonywała drogę, na którą trzeba trzech miesięcy"?

Etnografowie pytani, co sądzić o prehistorycznym lotnictwie, od-

powiadają zmęczonym uśmiechem. „Prehistoryczne lotnictwo? W bajki pan wierzy?” W najlepszym razie słyszymy wytarte frazesy, że chodzi

o zespoły zachowań dające się wyjaśnić z psychologicznego punktu widzenia albo o „ptaki duszy”, po śmierci człowieka ulatujące w przestworza.

Nie wierzę ani w bajki, ani w „ptaki duszy” — wierzę w zdrowy rozum naszych przodków. Mieszkańcy dawnych Chin oraz Indii znali latające pojazdy z doświadczenia. Wiedzieli, co opisują. Inne ludy — Indianie

i mieszkańcy wysp mórz południowych, a nawet Afrykańczycy — obserwowali lądowania obiektów latających, nie rozumiejąc wszakże istoty owych tajemniczych „ptaków”. Ich relacje były równie mgliste jak papuaskie opisy samolotu poszukiwaczy złota.

Ja zaś od dawna nie mogę zrozumieć, dlaczego u samego progu XXI wieku w wielu dziedzinach etnografii i teologii serwuje się wciąż te same prawdy co w minionym stuleciu. Można by przypuszczać, że odległości na kuli ziemskiej wcale się nie skurczyły, że nie istnieją nowoczesne

48

metody komunikacji, wyczarowujące na ekranach naszych telewizorów mity i przedstawiające historie różnych religii. Utrwała się schematy myślowe, ukrywa fakty! „Pod sutanną tysiącletniej pleśni” — pisali na transparentach zrewoltowani studenci w 1968 roku. „Pleśń” jest dla mnie zrozumiała, jeśli chodzi o religię, bo „religia” musi być zachowawcza, nawet jeśli jej nauki są z gruntu fałszywe. Nauka natomiast nie powinna chronić nieaktualnego stanu wiedzy, ale tworzyć naukę nową. Zrozumiałe, że opisy „latających wozów” i legendy o nich czcigodni fachowcy minionego stulecia interpretowali przez pryzmat nauki osiemnastowiecznej. Ale czy dziś musi być tak samo? Czy są jeszcze na świecie wykształceni ludzie, którzy nie widzieli samolotu? Ludzie, którzy nie wiedzą, na ile sposobów człowiek może się wznieść w przestworza? Nie muszą to być od razu statki kosmiczne — przyciąganie ziemskie można przecież oszukać za pomocą balonów na gorące powietrze, sterowców, szybowców, latawców itp.

· Święty Tomasz jako Quetzalcoatl

Jednym z takich latających ludzi był zapewne Quetzalcoatl z Ameryki Środkowej. Przepraszam! Nie chodzi mi o akademickie sofizmaty, wiem, że dla określenia królestwa Azteków i Majów stosuje się pojęcie „Mezoameryka” i że określenie Quetzalcoatl wywodzi się od Azteków. U Majów istota ta zwała się — w zależności od regionu — Kukulcan

albo Kucumatz. Zawsze jednak chodziło o tę samą postać! „Quetzal” to ptak o ogonie z niezwykle długimi, zielonymi piórami, „coatl” znaczy wąż. Quetzalcoatl znaczyłoby tym samym „pierzasty wąż” albo „latający wąż”. Mieszkańcy Ameryki Środkowej wiedzieli, że węże nie latają, ba!, że jest wręcz odwrotnie, że te niebezpieczne stwory pełzają po ziemi. Ale przypomnijmy sobie przemowy wodza Tuiavii, w których maszyna parowa była „rzeczą pożerającą czarne kamienie”.

„Latające węże” istniały w równie niewielkim stopniu co starochińskie latające smoki plujące ogniem. Te latające potwory tylko opisano w ten sposób. „Wąż” to coś długiego i szybkiego. Coś, co szybko znika, jest niebezpieczne i zrzuca skórę. W przypadku „skrzydeł” i „piór” interpretacja jest prosta.

Quetzalcoatl zaś jest istotą ludzką, jest „latającym wężem”. W wyobrażeniach Indian Quetzalcoatl wyglądał okropnie — miał „twarz jak ciężki kłoc, nie jak człowiek, a jego broda była bardzo długa i wielka” [71]. Siebie i swoją twarz starał się zachować w ukryciu. Dziś powiedzielibyśmy, że nie lubił *publicity*. Na głowie nosił podobno wysoki,

49

spiczasty kapelusz i miał zawsze przy sobie, co ilustruje *Codex Yindobonensis*, pastorał. A na szyi łańcuch lśniący jak muszle morskie. I wreszcie łańcuszki na nogach i gumowe buty. Quetzalcoatl był nie tylko wynalazcą pisma i kalendarza — przekazał plemionom cały, skończony system naukowy. Przy okazji uczył jeszcze podstaw sztuki, wydawał prawa i przekazywał Indianom umiejętności budowania. Miał głos tak donośny, że słyhać go było w promieniu 15 kilometrów [72]. Zaiste wspaniały latający wąż!

Legendy opowiadające o Quetzalcoatlu różnią się często od siebie, a nawet zawierają sprzeczności. Zwalczały go „istoty niebiańskie”, bo wzbudzał w nich zazdrość. Narodził się - - jak pozostali bogowie - w sposób „nadnaturalny” i „czysty”. Ciągłe walki Quetzalcoatla z niebiańskimi Tezcatlipoca były podobno jednym z powodów, dla których opuścił ludzi. Pociągnął nad „brzeg niebieskiej wody”, założył maskę, ozdoby i „dobrowolnie się spalił” [71]. Przeobraził się w Gwiazdę Zaranną. Wedle innej legendy zniknął o rannej szarówce w niebie „na wschodzie”, ale przyrzekł, że wróci w dalekiej przyszłości. Według trzeciej wersji poszedł na wschodnie wybrzeże, gdzie wsiadł na „magiczną węzową tratwę” i odjechał z powrotem do swojej ojczyzny.

Na wysnucie kolejnej analogii pozwala mitologia brazylijskich Indian Tupi, których bóg opuścił „spalając się”. Bóg ten nazywał się Maire (Maire Monan lub Maire der Tembe) i musiał „przekroczyć trzy ognie,

z których ostatni go pochłonał, on zaś wzniósł się ku niebu w kolumnie ognistej" [70].

Po zniknięciu prawdziwego Quetzalcoatl do tej godności wynoszono wszelkie możliwe postacie wodzów. Tak jak w Cesarstwie Rzymskim imię Cezar awansowało z czasem do tytułu (car, cesarz i szach), tak samo wodzowie najróżniejszych plemion przybierali imię Quetzalcoatl albo wynoszono ich do tej godności pośmiertnie.

Pierwotny Quetzalcoatl nie był wcale fantomem. Jakiś „mistrz” uczył plemiona, utrwalając się w ten sposób zarówno w pamięci ludu jak i w tradycji religijnej. Kim był Quetzalcoatl? Poza brodą tubylcy zapamiętali też jasną skórę i obcy ubiór — historycy twierdzą, że była to długa, biała szata z czerwonymi krzyżami [73]. Ponieważ do „czerwonych krzyżyków” dochodzi „pastorał”, obraz się dopełnia. Tak naprawdę to ten Quetzalcoatl był kapłanem katolickim! Już konkwistadorzy przypuszczali, że pod postacią Quetzalcoatla kryje się apostoł Tomasz. (Ci sami Hiszpanie sądzili też, że południowoamerykański krzewiciel kultury, Wirakocza, to św. Bartłomiej.) Cóż za ironia losu: Hiszpanie widzieli w postaci Quetzalcoatla św. Tomasza, a Indianie w Hiszpanach wysłanników Quetzalcoatla! Uff! Tak czy siak, Quetzal-

50

coatlowi oddawano wielką cześć. Gdy mówił, wszyscy milczeli zdumieni. Nie dyskutowano na temat jego nauk — przyjmowano je z pokorą. Cieszył się też respektem ze względu na możliwości techniczne swojej broni.

Ale jak, na Boga, można przypuszczać, że pod postacią Quetzalcoatla kryje się chrześcijański święty albo, jak kto woli, kapłan, skoro ani Olmekowie, ani Toltecy, ani Majowie, ani Aztecy nie mieli zielonego pojęcia o chrześcijaństwie? Człowiek z „czerwonymi krzyżkami” i „pastorałem” wykonał zapewne swoje zadanie, importując do Ameryki Środkowej Pismo Święte? Wbił może „poganom” do głowy symbol krzyża i nauki Jezusa? Nic takiego! Quetzalcoatl musiał być latającym krzewicielem kultury z odległego kraju, jedną z tych postaci, które wywierały ogromne wrażenie na ludziach pseudoboską mocą. Ukłony od Franka Hurleya i spółki!

Jednym z zachodnich plemion Majów są Indianie Tzendal. Dawno temu pojawiła się u nich istota zwana Wotan (Uotan). Wotan podzielił terytorium kraju, nauczał, pokazywał jak uprawiać kukurydzę, przekazał wiedzę kalendarzową i uczył pisać [71, 73]. Znane jest nawet miejsce, w którym rezydował — Huehuetan. Założył też podobno Palenque. (Na marginesie: według legend Indian Hopi, mieszkających dziś w Arizonie,

Palenąe założyli boscy Kaczynowie.) Wotan nie był duchem ani wytworem fantazji — miał potomków, „Wotanów”. Znany etnolog Walter Krickeberg napisał w 1968 roku, że Wotanowie ci do dziś mieszkają we wsi Teopisca [71].

Wotan nie mógł od razu płodzić dzieci. Najpierw musiał „ściągnąć z siebie skórę”. To samo mówią wenezuelscy Indianie Tamanaco o swoim bogu stworzenia noszącym imię Amalivica oraz o jego bracie Yotchim. Oni także musieli „zrzucić skórę”, gdy dołączali do ludzi. Na dalekiej Nowej Gwinei skóry pozbywał się bóg Mansren Koreri [74], w Biblii zaś Ewę kusi wąż. Można przypuszczać, że przez pojęcie zrzucania skóry rozumiano zdejmowanie specjalnego ubrania i że „latający wąż” tylko dlatego stał się latającym wężem, że jak inne podobne mu istoty zaraz po przybyciu pozbywał się tak rozumianej „skóry”.

Mój cel jest jasny. Gdzieś na Ziemi żyli ludzie umiejący latać. Relacji o latających wozach nie mogę wmieść pod szafę. Nie wiem też, co począć z dotychczasowymi egzegezami. Nie prowadzą donikąd, choć ja chylę głowę przed nauką! W każdym razie pilotami latających wozów nie mogli być ani żeglarze, ani odkrywcy.

Dlaczego? Czy Persowie, Egipcjanie, Fenicjanie, Chińczycy lub chrześcijanie pierwszych wieków po Chrystusie potrafili tylko prze-

kazywać to, co wiedzieli? Wiedza ta mogła być ogromna, bo przecież zarówno w dawnych Chinach, jak i w starożytnej Arabii kwitły nauki — na przykład astronomia. Jako środki transportowe służyły latające aparaty — nie statki. Było tak, mimo że niektóre „dzikusy” uznawały żaglowce za „latające ptaki”. Znamy zachowanie ludzi, którzy pierwszy raz w życiu widzą żaglowiec,

I wiemy, że każdy taki „Latający Holender” wpada zaraz do zimnej wody.

Ale wiemy, jak reagują ludzie widzący po raz pierwszy samolot, wiemy jak opisują oni niepojęte „ptaki”. Wiemy też, jaki lęk przejmował ludzi widzących po raz pierwszy lądowanie samolotu. Jeżeli „latający krzewiciele kultury” byli tożsami z żeglarzami, to ci żeglarze nie byli przyjmowani przez plemiona jako „niebiańscy bogowie”. W końcu „latający krzewiciele kultury” przybyli do tych ludów na setki lub tysiące lat przed żeglarzami. Albo inaczej: w epoce odkryć historycznych już od dawna nie było latających wozów. Pizarro, Cortes, Cook, Cabral czy chiński mnich Hiu Shen poruszali się na statkach. Nawet św. Tomasz *alias* Quetzalcoatl nie poleciał do Ameryki Środkowej zeppelinem, bo w jego czasach pojazdów powietrznych nie było. To proste.

Tym samym z naszych rozważań można wykluczyć wszystkich podróżników morskich. Ktokolwiek poruszał się w przestworzach, musiał posiadać sztukę latania na długo przed Aleksandrem Wielkim (356-323 prz. Chr.), bo — szkoda! — za jego czasów jakoś nie

52

było słyhać o szkołach pilotów. Również tak często cytowani historycy starożytności, którzy pisali o zdarzeniach mających miejsce na długo przed ich epoką — przed Chrystusem — nie opisywali prób wznoszenia się w przestworza podejmowanych przez królów, kapłanów i czarno-księżników. Można stąd wyciągnąć trzy wnioski:

1. latający krzewiciele kultury byli częścią tradycji;
 1. musieli żyć w bardzo odległych czasach, niepoznawalnych metodami historycznymi;
 2. teoretycznie mogli pochodzić spoza Ziemi — ale dotychczasowe przemyślenia nie dają po temu podstaw. Wszystko, co opowiadano o bogach, mogli uczynić ludzie.

Mimo to jednak mamy nadal więcej kwestii otwartych niż jasnych odpowiedzi. Faktem powszechnie znanym jest wiedza Majów w zakresie wyższej matematyki i astronomii. Ale Majowie stosowali

system dwudziestkowy. Od którego antycznego „boga” — z Europy, Afryki czy Azji — Majowie mogli nauczyć się tego systemu matematycznego? My liczymy w systemie dziesiętnym, wywodzącym się od dziesięciu palców. Kiedy za jedyką postawimy zero, będziemy mieli liczbę 10, jeśli dodamy jeszcze jedno zero, otrzymamy 100 itd. Dla Majów zero postawione za jedyką nie znaczyło dziesięć, lecz jeden i zero.

Tu pojawia się kolejna trudność: nasze liczby czyta się od lewej do prawej — w systemie pozycyjnym. 4327 znaczy, że liczba zawiera: siedem jedynek, dwie dziesiątki, trzy setki i cztery tysiące. Majowie zapisywali liczby w pionowych kolumnach — od dołu do góry, przy czym każdy wyższy stopień oznaczał dwudziestokrotne powiększenie wartości. A wyglądało to tak:

64 000 000

3 200 000

160 000

8 000

400

20

1

W tym systemie odkryto kolumny liczb o wartości 10 280 000 000 (dziesięć miliardów dwieście osiemdziesiąt milionów). Europejczycy przejęli system dziesiętny wraz z zerem od Arabów. Ci z kolei nauczyli się go prawdopodobnie od Hindusów. Ale co za heros kultury nauczył Majów liczenia w systemie dwudziestkowym?

Te same rośliny — te same powiedzenia

Równie skomplikowana jest historia roślin uprawnych. Przez dłuższy czas uważano, że fasolę zwyczajną (*Phaseolus vulgaris*) przywieźli do Ameryki pierwsi osadnicy. Dopiero w naszych czasach ustalono, że rosła ona tam na długo przed pojawieniem się Hiszpanów. Kto więc przewiózł ją w tę lub w tamtę stronę?

Nie inaczej rzecz się ma z kanawalią szabląstą (*Canavalia gladiata*), tykwą pospolitą (*Lagenaria siceraria*), bawełną (*Gossypium L.*) i bananami (*Musa paradisiaca*) [73]. Żadna z tych roślin nie mogła przebyć samodzielnie oceanów. Ktoś, kto podróżował na długo przed epoką odkryć geograficznych, miał w bagażu nasiona tych roślin. Tylko kto?

Ten sam problem wiąże się z rozprzestrzenianiem się roślin uprawnych między kontynentami. Biolodzy wychodzą z założenia, że każda roślina uprawna ma praojczyznę. W końcu taka sama mutacja nie zachodzi jednocześnie w różnych częściach świata, a na pomysł udomowienia tych samych roślin ludy nie wpadały przypadkiem — niezależnie od siebie. Jedne rośliny nadają się lepiej do uprawy w jednych regionach świata niż w innych. A samo rozrzucenie pewnych rodzajów roślin w oddalone od siebie regiony nie może zapewnić, że się przyjmą.

W 1595 roku ekspedycja Mendana załadowała peruwiańską kukurydzę, aby zasiać ją na wyspach Marquesas Keys. Kolejny przybysz, kapitan James Cook, który dobił do wysp w 1774 roku, nie trafił na jakikolwiek ślad tej rośliny. Podobnie było z kukurydzą, którą zasiał w 1786 roku na Wyspie Wielkanocnej Francuz J. F. La Perouse. Misjonarze, którzy wylądowali tam sto lat później, nie znaleźli ani kukurydzy, ani jej ziaren. Czyżby zjedzono nawet resztki? Rozsądne wydaje się więc przypuszczenie, że rośliny uprawne udomawiono w jednym regionie a dopiero później eksportowano w inne regiony świata.

Dlaczego jednak na wyspach Polinezji pełno owoców i roślin, których nasiona pojawiły się tam w niewyjaśniony sposób? Są to między innymi pataty, tykwa pospolita, banany, bawełna, pieprz chili, pomidory, ananasy, maniok, tytoń, maranta trzcinowata, cibora jadalna, kolokazja jadalna, chińskie ziemniaki, papaja, miechunka peruwiańska i flaszowiec miękkościernisty.

Są tylko dwie możliwości wyjaśnienia tej kwestii — albo przed tysiącami lat istniała żegluga pełnomorska, albo zrobili to „latający rozsadzacze roślin”!

Równie niezrozumiałe są podobieństwa treści przekazów. Majowie Quiche mają świętą księgę *Popol Vuh*. Jej najstarsza wersja, powstała około 1530 roku, zawiera 56 kartek formatu 16 x 26 cm. Można zadać

pytanie, jak książki tak młode mogą zawierać informacje o kontaktach międzykontynentalnych, do których dochodziło przed tysiącami lat? Kapłani znają *Popol Vuh* na pamięć równie dobrze jak nasi księża Biblię. Po spaleniu indiańskich ksiąg przez chrześcijan w połowie XVI w., *Popol Vuh* napisano na nowo — opierając się na tekstach ukrywanych. *Popol Vuh* zawiera bardzo stare informacje, jakich nijak nie mogli przekazać Indianom Hiszpanie — choćby dlatego, że ich nie znali.

W I Księdze Mojżeszowej czytamy: „Cała ziemia miała jeden język i jednakowe słowa" (I Mojż. 11, 1). A „pomieszanie języków" zdarzyło się w trakcie budowy Wieży Babel.

Podobny tekst możemy znaleźć w *Popol Vuh* (Część III, Rozdziały III i V):

„Jeden był język wszystkich. Nie wzywali drewna ani kamienia [...]. W czym zostaliśmy oszukani? Jedna była nasza mowa, gdy przybyliśmy tam, do Tulan". [75]

Biblia:

„Ty zaś podnieś łaskę swoją i wyciągnij rękę swoją nad morze, i rozdziel je, a synowie izraelscy przejdą środkiem morza po suchym gruncie". (II Mojż. 14, 16)

W legendach Indian Cakchiquelów czytamy:

„Wetknijmy czubki naszych łasek w piach pod morzem i prędko ujarzmimy morze [...]. Gdy dotarliśmy do brzegu morza, Balam-Quitze dotknął go swoją łaską, i otworzyła się droga".

Biblia:

„A Mojżesz wyciągnął rękę nad morze. Pan zaś sprowadził gwałtowny wiatr wschodni wiejący przez całą noc i cofnął morze, i zamienił w suchy ląd. Wody się rozstały. A synowie izraelscy szli środkiem morza po suchym gruncie, wody zaś były im jakby murem po ich prawej i lewej stronie". (II Mojż. 14, 21-22)

W *Popol Vuh* (Część III, Rozdział VII) czytamy:

„[...] jakby nie było morza, przeszli na tę stronę; po kamieniach przeszli, po kamieniach okrągłych, leżących na piasku. Z tej też przyczyny zostały one nazwane Kamieniami w Szeregu [...] gdy wędrowali pośród morza, pośród rozstępujących się przed nimi wód". [75]

Biblia:

„Potem rzekł Bóg: To będzie znakiem przymierza, które Ja ustanawiam między mną a między wami i między każdą istotą żyjącą, która

jest z wami, po wieczne czasy". (I Mojż. 9, 12)

W *Popol Vuh* (Część IV, Rozdział V) napisano:

„To będzie pamiątka, którą wam zostawiam. To będzie wasza potęga.

Żegnaj się pełen smutku — dodał. Wtedy zostawił znak swego

istnienia [...]". [75]

Biblia:

„Wtedy związano tych mężów w ich płaszczach, tunikach, czapkach

i w pozostałych ubraniach i wrzucono do wnętrza rozpalonego pieca

ognistego". (Dań. 3, 21)

Popol Vuh (Część II, Rozdział X):

„Potem wstąpili w ogień w Domu Ognia, gdzie był tylko ogień, ale nie

splonęli. Paliły się tylko węgle i drwa. I tak samo gdy nastał świt, byli

cali. Ale pragnieniem [Panów Xibalba] było, aby umarli tam, w tym

domu, do którego weszli. Jednakże nie stało się tak i przeraziło to

wielce Panów Xibalba". [75]

W Ameryce Środkowej można *znaleźć* nawet opis biblijnego potopu

i inne opowieści ze Starego Świata:

„Tak poszli na dno: zalała ich woda, zamienili się w ryby. Niebo

runęło, jednego dnia poszli na dno [...]".

Kto czytał Biblię, pamięta, że Noe po szczęśliwym przetrwaniu

potopu wyszedł z arki, zbudował ołtarz i złożył ofiarę całopalną:

„I poczuł Pan miłą woń [...]". (I Mojż. 8, 21)

Opis meksykański niewiele różni się od biblijnego:

„I spojrzeli bogowie, ta z gwiazdną szatą, ten bogaty w gwiazdy.

Rzekli: Któż tam coś pali? Któż okadza niebo? A na to zstąpił

z nieba On, którego poddanymi jesteśmy my Tezcatlipoca".

Kolumbijscy Indianie Kagaba opowiadają:

„Teraz wszyscy źli zginęli, a kapłani, starsi bracia, wszyscy zstąpili z nieba". [77]

Prawie identyczne słowa, również związane z potopem można przeczytać w starobabilońskiej liście królów WB 444:

„Kiedy potop już odszedł, królestwo na powrót zstąpiło z nieba". [78]

A w eposie *Gilgamesz*, spisany w 2600 r. prz. Chr. z jeszcze starszych źródeł, Utanapisztim, któremu udało się przetrwać potop, rozpala dymną ofiarę z cedrów i mirry:

„Zwąchali zapach bogowie. [...] Więc jako muchy się zlecą, jako muchy obsiędą ofiarniczy stos". [79]

Równoległe z innymi świętymi przekazami również *Popol Vuh* opowiada o wybrańcach, których wprowadzono do nieba. To, co według Biblii przytrafiło się prorokom Henochowi i Eliaszowi, przeżyli w świecie Majów inni uprzywilejowani:

56

„To było ich pożegnanie. Nad wysokością góry Hacawitz zniknęli. Nie pogrzebały ich żony ni dzieci, nikt nie widział ich odejścia". [75] Można argumentować, że historyjkę o Noem i arce oraz o wonnej ofierze podszepteli Indianom Hiszpanie. Tylko trudno będzie w to uwierzyć. Pierwotna wersja *Popol Vuh* istniała na długo przed pojawieniem się w Ameryce Środkowej Hiszpanów. A paralele z eposem o Gilgameszu nie mogły w żadnym razie wyjść od nich. Dwanaście glinianych tabliczek, na których tekst ten spisano, odkryto dopiero w połowie minionego stulecia w trakcie prac wykopaliskowych na lewym brzegu Tygrysu. Hiszpańscy najeźdźcy i mnisi nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Ale stare nonsensy nadal mają się dobrze. Kto porozwoził po świecie, na długo przed żeglarzami, różne rośliny uprawne? Skąd wzięły się podobieństwa treści przekazów? Dlaczego wszędzie opowiada się o latających bogach, o krzewicielach kultury, nauczycielach i potężnych istotach, zstępujących na ziemię w dymie i w ogniu — drży wówczas ziemia i rozlega się przeraźliwy hałas? Dlaczego we wszystkich większych eposach można znaleźć opisy wybrańców, którym dane było

"wznieść się" wraz z bogami? I dlaczego wszyscy ci krzewiciele kultury są tak ludzcy — mimo respektu, jaki ich otaczał, i mimo czarów, jakie czynili?

Zawsze się cieszę, kiedy — bez mojego udziału — inni zabierają się do pracy i zadają kardynalne pytania dotyczące historii rodzaju ludzkiego, bo nie zadowolają ich odpowiedzi dotychczasowe. Takim człowiekiem jest między innymi Joseph Blumrich, inżynier NASA, który opierając się na „wizjach” proroka Ezechiela odkrył nowe technologie, dezaktualizując tym samym dotychczasowe interpretacje biblijne. Efektem był projekt przedstawiony w książce *Statki kosmiczne Ezechiela* [80]. Kolegą Blumricha jest Hans Herbert Beier, główny inżynier jednego z wielkich niemieckich przedsiębiorstw. Beier odtworzył „świątynię”, opisaną w Biblii przez Ezechiela. „Świątynia” okazała się stacją diagnostyczno-naprawczą aparatu latającego [81].

Dr Wolfgang Volkrodt, trzeci z tej paczki, był przez wiele lat kierownikiem technicznym wydziału badawczego Siemens. Jemu także nie odpowiadały dotychczasowe interpretacje starych przekazów — zaczął więc wyjaśniać przy pomocy dzisiejszej wiedzy tysiącletnie techniki, ukazane na reliefach i rytach stel i ścian świątyń. Dr Volkrodt precyzyjnie wyjaśnia „technikę cherubinów”, opierając się na istniejących rytach przedstawia prehistoryczną maszynę parową oraz dowodzi, że latający wóz Salomona był w istocie balonem na gorące powietrze [82].

57

Jeśli porównać z tym opis przedstawiony w *Yymaanika-Shaastra*, mogą objawić się znaleziska wielkiej wagi. Ale ja nie mam złudzeń. Specjalistów wczorajszej szkoły to nie interesuje. Inżynierowie nie znają się przecież na historycznych tekstach! Najlepiej kisić się we własnym sosie nie zwracając uwagi na najświeższe odkrycia. A może jednak powinni oni zwrócić uwagę na zdanie, które filozof Lucjusz Apulejusz napisał przed prawie dwoma tysiącami lat w *Metamorfozach*: „Nadejdzie czas, gdy zda się, iż Egipcjanie służą pobożnie i gorliwie bóstwu, bóstwo zaś powróci z ziemi do nieba [...]. Och, Egipcie! Egipcie! Z twojej wiedzy pozostaną jeno baśnie, które przyszlým pokoleniom niewiarygodne się zdadzą”.

Tak to jest. Mamy przed sobą przekazy, które można ze sobą zestawić, technikę naszych przodków można zrekonstruować, istnieją wyśmienite tłumaczenia opisów maszyn latających. Sprzed tysięcy lat! Ale nasza wspaniała nauka widzi w tym wyłącznie niepotrzebne mity i bajki. „Myślenie to wysiłek, wiara to komfort” (Ludwig Marcuse, 1894-1971).

III. Specjaliści w dziedzinie rozwoju

Wszyscy bogowie byli nieśmiertelni!
Stanisław Jerzy Lec (1909-1966)

Bohaterem sumersko-babilońskiego eposu *Lugalbanda* jest trzeci król z I dynastii z Uruk, boski Lugalbanda. Jego imię pojawia się też na babilońskiej liście królów WB 444:

„Boski Lugalbanda, pasterz, *rządził* 1200 lat [...]”.

W jednym z fragmentów możemy przeczytać o spotkaniach Lugalbandy z „ptakiem Anzu” oraz o wyprawie wojennej armii Uruk przeciwko Aratcie. Epos zawiera kuriozalny opis „ptaka Anzu”:

„Twoje plecy czynią cię zapisaną tablicą, twoja klatka piersiowa czyni cię Nirahem, co dzieli [powodzie], twoje nagie ciało czyni cię zdumiewającym zielonym sadem”.

Zdumienie jest tu wliczone w cenę! W komentarzu do tego tekstu Claus Wilcke wyraża przypuszczenie, że „ptak Anzu” jest „innym określeniem [...] orła”. Wielofunkcyjne „orły” możemy również spotkać w eposie *Etanu*. Na ich „straszny krzyk” pierzchają nawet bogowie! A w mitach zatytułowanych *Enki i porządek świata* i w heroicznym poemacie *Enmerkar* „ptak Anzu” jest określany mianem „dom”. Ptak nie może być chyba domem. Być może chodziło o przestrzenny twór mogący poruszać się w powietrzu. (Wódz Tuiavii opisał samolot jako łódź, latającą od chmury do chmury.)

„Ptak Anzu” został przetransportowany przez swojego „ojca Enlila” (czy był to jego twórca, czy pilot?) w góry, a dostęp doń „zamykały jakby wielkie drzwi”. Miejsce, gdzie spoczywał ptak, znajdowało się w pobliżu „orlego drzewa boga Enki”, na szczycie góry Karneol. Góra ta była „siedzibą bogów”, tronem Irninis, „góram z lapis lazuli”, górą alabastrową i cedrową. Nawet węże i skorpiony unikały tego miejsca. We

59

fragmencie „Lugalbanda w mrokach góry” jest mowa o „olbrzymie”, który poruszał ziemię, „jakby była chmurą kurzu”, a w „Praskardze” można przeczytać: „[...] twój książę jest strasznym olbrzymem, burzą, poruszającą ziemię, odzianą w wielką trwogę [...]”.

„Ptak Anzu” „wzbudza strach” i tylko bohater całej historii, boski

Lugalbanda, może z nim rozmawiać. Lugalbanda przyznaje: „od wczoraj oddałem się pod twoją ochronę”. Kiedy porozumieli się na temat broni, którą zastosują w bliskiej walce z Arratami, „ptak Anzu” dał Lugałbandzie mądrą radę: „Nie powinienes mówić swoim przyjacielom o tym, co ci rzekłem, ani o losie, jaki dla cię gotuję”. Lugalbanda zjawił się przed szeregi swojej armii niespodzianie — jak grom z jasnego nieba. Wojownicy przestraszyli się nagłością tego przybycia tak bardzo, że „jego bracia szczękali zębami. Bracia, przyjaciele, jęli zadrećać go pytaniami [...]”.

Zdemaskowanie boskich czarów

Wszystko staje się zrozumiałe, jeżeli przywołamy na pomoc ówczesną zdumiewającą sytuację międzynarodową, która musiała być dużo bardziej skomplikowana od obecnej. Dziś nawet mieszkańcy wsi zabitych dechami wiedzą, że samoloty dysponują straszliwą bronią. W tamtych czasach wiedzieli o tym tylko właściciele pojazdów latających, ci zaś bezwzględnie wykorzystywali swoją technikę, jakże wybiegającą w przyszłość. Wynajdowali na kuli ziemskiej ładną okolicę, chwyтали wodza miejscowego plemienia, czynili jego samego i jego lud niejako swoimi współnikami i „wybrańcami”, wspierając wspaniałomyślnie ciemną zgraję w walce z wrogami.

W rewanzu nieświadomy ludek składał swojemu „bogowi” ofiary i wznosił pałace — „domy boga”, w których „bogowie” byli rozpieszczani przez sługi *alias* kapłanów, troszczących się o sprawy seksu i pożywienia, o trunki i czystość. A przy tym — co było po myśli „boga” — świątynie miały wiele dziedzińców, a kapłani byli podzieleni na różne kategorie. Tylko ci po wielokroć obmyci, najschludniej ubrani, „najczystsiej”, ci „w podwórku wewnętrznym”, w „miejscu świętym” mogli przebywać w pobliżu „boga”. W końcu „bóg” ten znał się na higienie i bakteriologii!

Podobnie jak to robiono w innych regionach świata, także Lugalbanda wznosił swojemu bogowi posąg: „Kiedy nakażę snycerzom wyrzeźbić twój posąg, będziesz zdumiony, oni zaś sławnym twe imię w kraju Sumerów uczynią i ozdobią świątynie wielkich bogów [...]”.

60

Cortes, Kolumb i inni grabieżcy gruntów zadowalali się wetknięciem w ziemię królewskiego sztandaru, dodając doń krzyż. Latający bogowie prehistorii byli za leniwi nawet na coś takiego. Co najwyżej oznaczali zagrabione kraje swoimi symbolami i pomnikami, żeby każdy lotnik wiedział: Tu już ktoś zgłasza prawa do ziemi! Co nakazał żydowski bóg

swojemu ludowi? „Nie będziesz miał innych bogów obok mnie!” Praw autorskich do tego zdania nie ma wcale Mojżesz. Znacznie starsze teksty arabskie mówią o człowieku zwanym Amr ben Luhadżdż, który wyruszył w daleką podróż:

„Z tej oto okazji ujrzał, że ludzie oddają cześć wizerunkom bożków; gdy ich zapytał, o co tu chodzi, odpowiedzieli mu: Te wizerunki bożków są panami, sporządziliśmy je wedle kształtu domostw niebiańskich i osób ludzkich”. [84]

W tamtych czasach, w epoce lotnictwa nie regulowanego żadnymi przepisami i lotników anektujących ziemię wedle własnego widzimisię, bogowie doprowadzili do sytuacji, w której ludzie nie czuli się bezpiecznie. Pseudobogowie wysuwali roszczenia do pewnych obszarów ziemi, a każdy dbał gorliwie o to, żeby konkurencja nie odstręczyła mu armii darmowych pracowników i żeby ludzie, naiwni w swojej wierze, nie zanieśli pieniędzy, złota i kamieni szlachetnych pod fałszywy adres — przepraszam! — żeby ich nie złożyli „w ofierze”.

Mimo to wydaje się, że w tych niespokojnych czasach istnieli bogowie jeszcze leniwszi od swoich żądnych ziemi kolegów. Jednym z nich był Ironggali, czczony na Wyspach Salomona na Oceanie Spokojnym. „Ironggali” znaczy: patrzący z góry na wszystko. Opisywano go jako istotę mieszkającą wciąż w powietrzu i nie potrzebującą ziemi. Często przebywał tam dniami i nocami „wysypując swoje odpadki do morza”. Potem znów zatrzymywał się nad wodą, „żeby machać nogami”. To chyba jakiś flegmatyk, który już przed tysiącami lat zażywał rozkoszy mórza południowych! Bądź co bądź trudno uznać tę wersję boskiej istoty za „ducha”, duchy bowiem nie mają zwyczaju wysypywać „swoich odpadków do morza”.

Dla dokładności chciałbym powiedzieć (stałym czytelnikom powtórzyć), że Lugalbanda nie jest osamotniony ze swoją „siedzibą bogów”, „górami z lapis lazuli”, z osobliwym „olbrzymem”, „wielkimi drzwiami”, za którymi parkował „ptak Anzu”, którego z kolei chciano nam przedstawić jako „orła”. Wszystkie te elementy można również znaleźć w *Gilgameszu*, eposie znalezionym w minionym stuleciu na wzgórzu Kujundżik. Epos, wyryty na dwunastu glinianych tablicach, pochodzi z biblioteki króla Assurbanipala. Na trzeciej tablicy znajduje się informacja o „chmurze pyłu”, przybyłej z oddali. Niebo zagrzmiało,

ziemia zadrżała. Gilgamesz i jego przyjaciel Enkidu wybrali się po radę do bogów:

„Z dała ujrzeli już górę świata, kędy mieszkają bogowie". Niepostrzeżenie zbliżyli się do zagrody, bronionej przez borowego straszego Chumbaby. Dobrze strzeżono tej „zagrody bogów"!

Na piątej tablicy można przeczytać, że Chumbaba zauważył intruzów. Potwór ten miał „łapy jak lew", „ciało łuską miedzianą pancerne, u nóg szponiaste pazury sępa, na łbie miał rogi bawołu". Przyjaciele „strzałami miotnęli w potwora, rzucili oszczepem. W tył odskoczyły pociski, on stał nietknięty". Robot ów — pozwolę sobie tak go określić — przetrzymał pierwszą rundę. W *Gilgameszu* pojawia się też „orzeł", który porwał Enkidu:

„I mówił do mnie orzeł:

'Spójrz w dół na ziemię! Jakoż wygląda?

Spójrz w dół na morze — jakoć się ono wydawa?'

A ziemia wydała się górą, a morze maluczkiem strumykiem. Potem

znowu przez cztery godziny ze mną leciał i mówił:

'Spójrz w dół na ziemię! Jakoż wygląda?

Spójrz w dół na morze — jakoć się ono wydawa?'

A ziemia wydała się ogrodem, a morze ponikiem, który go zrasza.

Potem znowu przez cztery godziny jeszcze wyżej ze mną leciał i mówił:

'Spójrz w dół na ziemię! Jakoż wygląda?

Spójrz w dół na morze — jakoć się ono wydawa?'

A ziemia wydała mi się jak lemieszka [papka z mąki], a morze jak koryto z wodą". [85, 86]

Dalszy ciąg pierwszej relacji z lotu kosmicznego można przeczytać w babilońskim eposie *Etana*, który liczy sobie najmniej cztery tysiące lat:

„Przyjacielu. Spójrz, co stało się z ziemią. 'Ziemia zamieniła się w ciastko, morze jest niczem kosz chlebowy.' I uniósł go jeszcze wyżej i rzekł: Przyjacielu, spójrz, ziemia zniknęła. 'Ujrzałem, że ziemia zniknęła, a moje oczy nie oparły się już na szerokim morzu!

Przyjacielu, nie chcę się wznosić do nieba. Wstrzymaj się, chcę wrócić na ziemię!" [87]

„Eagle has landed" — zabrzmiały w centrum kosmicznym w Houston słowa lunonautów, gdy ładownik osiadł na Księżycu. „Orzeł wylądował!"

„Orzeł" lądował już w epoce kamiennej! Nazywał się wtedy „Anzu" i był orłem w równie niewielkim stopniu jak amerykański ładownik

księżycowy!

Nauka — wciąż się mnie poucza — nie może zaakceptować takich propozycji, bo nie mają podstaw empirycznych, udokumentowanych.

Ale wczorajsze wyjaśnienia tego problemu stają się z dnia na dzień coraz fantastyczniejsze, gdy tymczasem propozycje wysmiewane przez uczonych mają coraz realniejsze podstawy. Istotę wszelkich badań stanowią trzy założenia: 1. swoboda myślenia, 2. dar obserwacji, 3. umiejętność kojarzenia faktów. Komputer potrafi wprawdzie odkryć fakty — ale (jeszcze) nie myśli.

W wielu moich książkach zwracałem uwagę na przekaz Indian Kayapo, zamieszkujących tereny nad Rio Fresco, na południe od Para w Brazylii. Przedstawiałem rytualne stroje — „skafandry kosmiczne” uplecione ze słomy, a imitujące ubrania niebiańskich nauczycieli. Pierwsze fotografie tych strojów zrobił w 1952 roku badacz Indian Joao Americo Peret. W tamtych czasach nikomu nie śniło się ani o Juriju Gagarinie, ani o Johnie Glennie, a Indianie Kayapo nie mieli zielonego pojęcia, jak wygląda skafander kosmiczny. Mimo zdjęć, które stale przedstawiałem, wciąż przychodziły do mnie listy od oburzonych czytelników, którzy nie zauważali na zdjęciu związków z mitem. Oto opowieść Indianina Kuben-Kran-Keina noszącego tytuł Gway-Baba (mędrzec). Nagrania dokonał Joao Americo Peret we wsi Gorotire. Zamieszczam wersję skróconą, bo całość zajęłaby ze dwadzieścia stron:

Obcy w dżungli

„Lud nasz mieszkał na wielkiej sawannie, z dala od okolic, skąd widać łańcuch górski Pukato-Ti, którego szczyty otaczała mgła niepewności, a niepewność ta nie została rozwiana do dziś. Słońce, zmęczone długim, codziennym marszem, kładło się na zielonym trawniku za zaroślami, a Mem-Baba, wynalazca wszystkiego, zasłaniał niebo swoim płaszczem pełnym wiszących gwiazd. Kiedy gwiazda spada, Memi Keneti wchodzi na niebo i umieszcza ją z powrotem na miejscu. Troszczy się o to Memi Keneti, wieczny strażnik.

Pewnego dnia Bep-Kororoti, idąc z gór Pukato-Ti, po raz pierwszy zaszedł do wsi. Był ubrany w *bo* [szatę rytualną], okrywającą go od stóp do głów. W ręku niósł *kop*, broń grzmotu. Mieszkańcy wsi uciekli w busz, mężczyźni starali się ochraniać kobiety i dzieci, niektórzy próbowali walczyć z intruzem, lecz ich broń była za słaba. Za każdym razem, gdy dotykali swoją bronią ubrania Bep-Kororotiego, padali w piach. Wojownik przybyły z Kosmosu śmiał się zapewne z bezradności swoich przeciwników. Aby do-

wieść im swojej siły, podniósł *kop* i wskazując na drzewo czy kamień unieścił jedno i drugie. Ludzie myśleli, że Bep-Kororoti chce im pokazać, że nie przybył prowadzić z nimi wojny. Tak było przez długi czas.

Zapanował zamęt. Najmężniejsi wojownicy plemienia próbowali stawiać opór, ale w końcu pogodzili się z obecnością Bep-Kororotiego, bo nie naprzykrzał się ani im, ani nikomu innemu. Jego piękno, delikatność i wszechogarniająca miłość zafascynowały i przekonały wszystkich. Wszyscy poczuli się bezpiecznie i w końcu stali się przyjaciółmi.

Bep-Kororoti był najmądrzejszy i dlatego zaczął innych uczyć nieznanymi rzeczami. Skłonił mężczyzn do budowy *ng-obi*, domu mężczyzn, jaki stoi dziś we wszystkich naszych wsiach. Tam mężczyźni opowiadali młodzieńcom o swoich przygodach, ucząc ich w ten sposób zachowania w obliczu niebezpieczeństwa i myślenia. Dom ten był w istocie szkołą, a Bep-Kororoti nauczycielem.

W *ng-obi* doskonalono rękodzieło, ulepszano broń, i nie było nic, czego nie zawdzięczalibyśmy naszemu potężnemu wojownikowi z Kosmosu. To on stworzył „wielką izbę”, w której omawialiśmy troski i potrzeby plemienia. Tak powstała lepsza organizacja, ułatwiająca wszystkim życie i pracę.

Często młodzieńcy byli oporni i nie przybywali do *ng-obi*. Wtedy Bep-Kororoti brał *kop* i szedł po nich. Młodzieńcy nie stawiali później oporu i szybko wracali do *ng-obi*, bo tylko tam mieli pewną ochronę.

Kiedy polowanie było utrudnione, Bep-Kororoti wyciągał *kop* i zabijał zwierzęta nie raniąc ich. Myśliwy mógł sobie wybrać najlepszy kawałek, bo Bep-Kororoti nie chciał ze wsi żywności.

Pewnego dnia spełnił wolę swojego ducha, którego nie potrafił już przemóc, i opuścił wieś. Dni mijały a Bep-Kororotiego nigdzie nie było. Nagle pojawił się na wiejskim placu i wydał z siebie przerażający okrzyk wojenny. Ludzie pomyśleli, że oszalał, i chcieli go uspokoić. Ale kiedy mężczyźni zbliżyli się do niego, doszło do strasznej walki. Bep-Kororoti nie użył swojej broni, ale jego ciało drżało, a kto go dotknął, padał jak martwy na ziemię.

Walka trwała wiele dni, bo powaleni wojownicy podnosili się

i wciąż próbowali pokonać Bep-Kororotiego. Ścigali go aż do grani góry. Wówczas zdarzyło się coś tak strasznego, że wszyscy oniemieli. Bep-Kororoti szedł tyłem aż do krańca Pukato-Ti. Swoją bronią niszczył wszystko w pobliżu. Gdy znalazł się na szczycie, drzewa i krzewy zamieniły się w pył. Potem rozległ się potężny huk, cała

64

okolica *zadrżała*, a Bep-Kororoti zniknął w powietrzu, otoczony płomiennymi chmurami, dymem i w huku grzmotów. *Zdarzenie* to, od którego *zadrżała* ziemia, sprawiło, że krzaki zostały wyrwane z korzeniami a dzikie owoce zniszczone. Zwierzęta zniknęły, a plemię zaczął dręczyć głód."

Co za specjalista prowadził tu działalność, pomagając w rozwoju plemienia? „Boscy grabieżcy ziemi” poruszający się latającymi maszynami nie wykazywali takich uczuć społecznych. Jeden zarzut mogę odeprzeć *a priori*: Nie było to na pewno zjawisko naturalne! Klęski żywiołowe nie przekazują instrukcji, jak ulepszać broń, nie zakładają też domów mężczyzn. W analizie tej relacji zwróciłem również uwagę na inne nielogiczności:

Przybysza określa się mianem „wojownika z Kosmosu”. W języku plemienia Kayapo Bep-Kororoti znaczy „przybywający z Kosmosu”.

Bep-Kororoti miał na sobie szczelne ubranie. Skafandry pilotów znanych ze staroindyjskich przekazów pozostawiały głowę i ręce odkryte.

Nie jada żywności plemienia, czym więc się żywi podczas wizyty? Jego broń nie „wydaje huku”, nie „strzela” - ona „niszczy”, „likwiduje”. Kto dotknie jego ubrania, pada, jakby pod wpływem uderzenia prądem. W końcu przybysz znika „w powietrzu, otoczony płomiennymi chmurami, dymem i w huku grzmotów”. A „ziemia tak *zadrżała*”, że „krzaki zostały wyrwane z korzeniami”, a dzikie zwierzęta uciekły w popłochu.

W sumie jest to historia bardzo treściwa, a poza tym potwierdzona praktykowanymi do dziś tańcami obrzędowymi Indian Kayapo i ich

strojami naśladowującymi ubiór „niebiańskiego nauczyciela”. Prymitywne indiańskie plemię nie wpadnie przecież bez powodu na pomysł powiązania „niebiańskich nauczycieli” z „płomiennymi chmurami, dymem i grzmotami”, a ich wniebowstąpienia z wyrwaniem krzaków z korzeniami. Nie muszę chyba przypominać, że Pan Starego Testamentu okazywał swoją potęgę w podobny sposób.

Grzmoty i huk

A przecież — jakże inaczej? — również indyjskie statki powietrzne i latający pojazd Salomona wywierały na obserwatorach podobne wrażenie. W indyjskim eposie *Ramajana* łajdak Rawana wprowadza boską Sitę „w wozie przestworzy, co równy jest słońcu”. Sita zostaje

65

jednak uratowana, przesiada się wkrótce do pojazdu niebiańskiego, który „na rozkaz Ramy z potężnym hukiem wznosi się na górę chmur”. Monstrualny ów pojazd powietrzny musiał niewątpliwie lecieć szybko i nisko, bo:

„Rozpoczął lot wzwyż, łamią się szczyty skał, chwieją się gór

podstawy, potężne drzewa łamią się i gubią gałęzie, deszcz kawałków

drewna i liści pada na ziemię. Górskie ptaki i zwierzęta uciekają do

kryjówek”. [88]

Niekiedy start odbywa się w centrum miasta. Wtedy „w Lance [dziś Sri Lanka, czyli Cejlon] występowały z brzegów piękne sadzawki pełne lotosów. Z płomienistym ogonem wznosił się nad dachy, wznecając przerażające pożary, tak że waliły się wysokie budowle i wieże oraz pustoszały piękne ogrody”.

Kolejnego przykładu dostarcza król Salomon. Kiedy jego syn używał powietrznego pojazdu, lecąc nad Egiptem ku (dzisiejszej) Etiopii, „łamały się posągi bogów i padały obeliski” [60]. Również drzewa przewracały się, wyrwane z korzeniami.

Tak samo jest w *Gilgameszu*:

„Z boskiej góry śle byka, straszego byka wysyła. Na Uruk miasto go pędzi. Już byk szaleje, tratując zasiewy i pola. Pustoszy niwy, ugory przed grodowymi murami. Sto mężów zmiata swym tchem, co ogniem zieje". [86]

A więc obserwacje takie czyniono na całym świecie! Gdybym musiał napisać pracę doktorską na ten temat, znalazłbym bez trudu z pięćdziesiąt podobnych przykładów. Nie na czasie jest tylko to, co robią uczeni. „Niebiański byk" przeobraża się w burzę piaskową, „loty" Etany i Enkidu w marzenia, a ochronny skafander Bep-Kororotiego w „upersonifikowaną siłę przyrody". Brakuje tylko, żeby z Ericha von Danikena zrobiono nie istniejący fantom!

Trudno zaklasyfikować Bep-Kororotiego jako ziemskiego lotnika. Po pierwsze sam twierdził, że przybył z Kosmosu, po drugie jego broń, która „unicestwia" i „likwiduje", sprawia nieziemskie wrażenie. Także szczelny kombinezon i odmowa przyjmowania ziemskiego pokarmu świadczą, że była to istota pozaziemska. W tym i w innych przekazach istnieją jednak pewne sprzeczności. Dlaczego Bep-Kororoti wydaje nagle „przerażający okrzyk wojenny"? Czy skradziono mu coś ważnego? A od kiedy to istota pozaziemska może zdejmować skafander? Poza tym w dalszej części legendy Bep-Kororoti bierze sobie kobietę i ma z nią dziecko. Bóg jeden wie, czy stosunki płciowe istot pozaziemskich z ludźmi były możliwe! Ale na Błękitnej Planecie pełno potomków „boskich synów".

66

Gość z Wszechświata

Jeżeli zawierzemy chińskim mitom — cóż to są „mity"? — to okaże się, że ziemską kulturę założyło „pięciu pra-cesarzy" i „trzech dostojnych". Zdarzyło się to w pradawnych czasach, kiedy to posłańcy niebiescy rozmawiali z istotami ziemskimi albo wyróżniali ludzi, czyniąc z nich mędrców. Jedna z tych istot, Fu-hsi, zajmowała się na Ziemi produkcją jedwabiu, inna, Shen-nung, uprawą roli [89]. Bóg o imieniu Czang-i wylądował, przybywając z Kosmosu „jajem", tuż obok domu rodziny Thai. Czang-i był opisywany jako istota „pozbawiona kości" i „ojciec obliczeń dotyczących Księżyca" [90]. Nauczał ludzi. Koleżanką Czang-i była bogini Hsi-wang-mu, która opuszczała się na ziemię na „zielonych ptakach" w górach Kun-lun. Oczywiście nie sama! Górę bogów zamieszkiwało bowiem wielu jej kolegów, a każdy z nich nosił „żółtoniebieski hełm".

Wszyscy późniejsi cesarze Chin pielgrzymowali do gór Kun-lun oraz Chang-Tang i San-Wai, leżących w łańcuchu Himalajów, aby otrzymać „boskie rady”. W tamtej epoce, jak twierdzi legenda, w prowincjach Yen-ling-hsien i Hsou-an-chou (dziś Wu-hu) spadały z nieba „czarne grzmiące pojazdy”. Ludzie porównywali techniczne szczątki do „skrzydeł nietoperza” i „zwierzęcych szponów”.

Cesarz Chih Chiang Tzu-Yu (znany też jako Yi lub Hou-Yih) odbył nawet lot na Księżyc. „Magicznym woreczkiem” walczył przeciw „dziesięciu słońcom”, które pojawiły się nagle w Kosmosie. W podróży żywił się dziwnym gatunkiem „kwiatów”, które rosły w jego „jaju”. Księżyc jest „kulą ogromnej wielkości”, napisano też — proszę bardzo! — że „światło Księżycy rodzi się na Słońcu”.

W legendach o Chih Chiang Tzu-Yu pojawiają się nawet prawdziwe statki międzygwiazdne. Te pojazdy kosmiczne mają „rozświetlone okna”. Z ich pokładów startuje „ptak Hun-tun”, zadziwiający stwór mający sześć nóg i czworo skrzydeł, podobny do „żółtego worka”. Warto też powiedzieć, że „ptak Hun-tun” nie ma twarzy.

Wszystko to wygląda na myślowy bałagan, choć wcale takie nie jest. Musimy się tylko nauczyć rozróżniać aparaty latające, poruszające się w przestrzeni powietrznej, od operujących poza Ziemią. Jeśli o żółtym cesarzu Huang-ti czytamy, że wraz z 70 osobami został uprowadzony do nieba przez „brodatego smoka”, to nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Jeśli natomiast pewnych ludzi określa się mianem „królów-smoków”, a posługują się oni „przeróżającymi grzmiącymi potworami”, to stawiam na pojazdy powietrzne pochodzące z ziemskich hal fabrycznych, a w przypadku „królów-smoków” na pilotów [42].

Ostatnio prof. dr Kandzilal z Sanskrit College w Kalkucie zgromadził i opublikował w książce *Wimana w starożytnych Indiach* [91] wszystkie dostępne fragmenty staroindyjskich tekstów na ten temat. Przetłumaczyła je na niemiecki niezwykle pracowita adeptka sanskrytu, pani Julia Zimmermann z Bonn [92].

Z analizy profesora Kandzilala można się dowiedzieć, że staroindyjskie słowo *ratha* znaczyło pierwotnie „goniec” — przez pojęcie to rozumiano wszystko, co miało jakikolwiek związek z „szybkością”. Dopiero później *ratha* stała się „szybko latającym obiektem”, a jeszcze później została zastąpiona przez słowo *wimana*. Najstarsze świadectwo mówiące o takich latających pojazdach „można znaleźć w *Rigwedzie*, w hymnach do [boskich] bliźniąt Aświnów, do Rbhusa i innych bóstw” [92].

Trzeba sobie uświadomić, że *Rigweda*, czyli „wiedza hymnów”, jest zbiorem 1028 pieśni poetyckich. Zbiór ten był pierwotnie dostępny wyłącznie kapłanom. *Wedy* te są najstarszym źródłem wiedzy o języku, folklorze i religii. Pierwotne znaczenie słowa *weda* brzmi „święta wiedza”, a już pierwszy hymn *Rigwedy* zaczyna się od inwokacji do boskiego arcykapłana Agni. Agni jest też znany jako Deva, słowo *deva* zaś wywodzi się z sanskryckiego rdzenia *div*. *Div* z kolei — i nie zaprzeczy temu żaden sanskrytolog — znaczy „świecenie, blask, lśnienie, niebo”. *Deva* to „lśniąca istota niebieska”, poruszająca się w „powietrznym kręgu”. W *Rigwedzie* można przeczytać, jak zbudowano niezwykle komfortowy statek niebieski, który mógł dotrzeć wszędzie, nawet „na firmament oraz na sklepienie niebieskie”.

Ten statek niebieski był trójkątny, wielki, miał trzy piętra a prowadziło go co najmniej trzech pilotów. Ogromny ów pojazd powietrzny miał trzy koła, które można było chować. Napisano też, że statek niebieski miał ponad trzy kolumny. To latające monstrum było skonstruowane nie tylko do lotów w atmosferze ziemskiej. Poruszało się w Kosmosie i odbywało podróże na Księżyc.

Pasażerom było tam znacznie wygodniej niż astronautom w ciasnych puszkach dzisiejszych statków kosmicznych. Dysponowali różnymi możliwościami żywienia, a pomieszczenia wewnętrzne były przyozdobione. W *Rigwedzie* podkreślono wyraźnie, że pojazd niebieski poruszał się bez „rumaka bojowego”, a gdy pojazd wracał z podróży, na Ziemi zbierały się tłumy, aby podziwiać to widowisko. Tak samo jak dziś!

We fragmentach *Rigwedy* opisano pojazd mogący zarówno latać jak pogrążyć się w wodzie. Przy zniżaniu lotu aparat wydawał przeraźliwy

68

hałas, a poruszał się z tak wielką prędkością, że w jednej chwili przelatywał trzy światy.

Praca prof. dr. Kandziłala zawiera wielką ilość materiału porównawczego — dostępnego dla każdego indologa Zachodu, który nie upiera się przy przedwczorajszych wyjaśnieniach. Niestety — a mówię to moim stałym czytelnikom — nie na wiele się zdaje czytanie staroindyjskich tekstów w jakichkolwiek przekładach, i tak bardzo nielicznych. Tłumaczenie pani Julii Zimmermann jest wyjątkiem. Wcześniejsze przekłady oferują niestrawną papkę nie zrozumianych religii, zachodniej fantazji i wiary w psychologiczne cuda.

Chociaż indyjscy uczeni znają sanskryt lepiej od naukowców reszty świata, są z natury znacznie skromniejsi od nas, ludzi Zachodu. Wiedzą wprawdzie dokładnie, że staroindyjskie teksty opowiadają bez wątplenia o różnych konstrukcjach latających — nie zamierzają jednak indoktrynować swoją wiedzą naukowców Zachodu. Kiedy w którejś z indyjskich szkół wyższych rozmawiam z fachowcami, ci potwierdzają mi zdecydowanie nowoczesność opisów zawartych w starych przekazach.

U nas jest inaczej. Nasi indolodzy nie chcą w ogóle słyszeć o maszynach latających. Ich uczniowie, zarażeni zachodnim wirusem besserwisserstwa, idą w ślady swoich „skromnych” nauczycieli. Jest to inny rodzaj psychologicznego szoku spowodowanego przybyciem bogów, który nam nie pozwoli na uporanie się ze starymi prawdami.

W V w. po Chr. na dworze króla Guptów żył największy poeta i dramaturg Indii — Kalidasa. Inspirację czerpał z literatury staroindyjskiej, której dzieła miał pod ręką na królewskim dworze. I tak na przykład w epopei *Raghuwansia* opowiada o historii dawnych władców z rodu Raghów. W pieśni 13.1-79 przedstawia ze wszystkimi szczegółami i z pedanterią lot z Lanki do Ajodhaja.

Opisuje panoramę oceanu, a opis ów uwzględnia różnice głębokości, barwę wody i podmorskie wzniesienia. Wybrzeża są porównywane do „ostrza cienkiego żelaznego koła, a ląd i lasy wydają się wychodzić z morza” [92]. Latający pojazd Ramy poruszał się często wśród przerażonych ptaków, później w chmurach a w końcu nawet drogami, „którymi jeździli bogowie”.

Właśnie w tym stwierdzeniu zawiera się najistotniejsza różnica. Choć wybrane grupy ludzi konstruowały dla swoich władców *wimana* służące różnym celom, to istniały też pojazdy budowane przez bogów — bardziej wyrafinowane niż ich ziemskie naśladownictwa. Tajemniczy lud Chi-Kung, wytwarzający „latające wozy” dla założycieli dynastii Szang, działał na Ziemi. Także indyjski król Rumanawat, który z hałasem

wzniósł się w powietrze wraz z harem i dostojnikami, posługiwał się aparatem latającym zbudowanym przez ludzi. Tak samo król Salomon i bóg mórz południowych Rongamai. Sądzę, że środkowoamerykański Quetzalcoatl poruszał się ziemskim aparatem latającym. Myślę też, że i „ptak Anzu” z eposu o Lugalbandzie wyszedł z ziemskich warsztatów. Ludzie nie mogli się poruszać własnoręcznie zbudowanymi pojazdami tylko w Kosmosie. Wszechświat był zastrzeżony dla bogów. Kiedy ludzie chcieli się do nich zbliżyć, ci zniszczyli wieżę Babel! *Zbliżyć się do „bogów”?* Do jakich bogów?

W księdze „Wanaparwa”, części staroindyjskiej *Mahabharaty* (168-173 r.), jako siedziby bogów wymienia się kosmiczne miasta, krążące po orbicie wokółziemskiej. Tak samo jest w wierszach 6-10 rozdziału 3. „Sabhaparwy”. Te ogromne twory nazywały się: *waihajasu*, *gaganacara* i *khecara*. Były tak wielkie, że statki transportowe wlatywały do ich wnętrza przez potężne luki.

Takie same twory kosmiczne opisano też (w. 62 mn.) w *Drona Parwa* [93]. Istnieje doskonałe angielskie tłumaczenie tego utworu — jest w każdej dobrej bibliotece. (Znalazłem je w Bibliotece Uniwersyteckiej w Bazylei.) Dalszy ciąg *Drona Parwa* opisuje walkę niebieskich miast, które spadają na Ziemię „niczym tysiąc gwiazd”.

Na podstawie pewnej publikacji [94] zwróciłem uwagę na fakt, że wszyscy, którzy nie opanowali jeszcze szoku po przybyciu bogów, spróbują przeflancować te kosmiczne miasta w złowrózne „niebo” religii — jest to podobno miejsce „szczęśliwości”, a jeśli jakichś „bogów” sprowadza się z „nieba” na ziemię, oznacza to zniweczenie religijnego szczęścia. To zgniłe jajo nie trafi do celu. Kiedy najslawniejszy w minionym stuleciu badacz sanskrytu, profesor Protap Czandra Roy, tłumaczył *Mahabharatę* na angielski, nie miał zielonego pojęcia o kosmicznych miastach. Kosmos był wówczas nieosiągalny. Mimo to jednak zwrócił uwagę na niewielką, lecz istotną różnicę między niebem religii a firmamentem nad Ziemią. Możliwe było tylko jedno tłumaczenie wiersza 50.: „The three cities came together in the firmament”— trzy miasta zeszyły się na firmamencie.

Wszelkie spekulacje polegające na przerzucaniu problemu niewygodnych kosmicznych miast do religijnego nieba nie sprawdzą się i z innego powodu. Bo jak w „niebie szczęśliwości” mogą się toczyć walki z użyciem broni powszechnej zagłady? Nie chciałbym mieszkać w takim „niebie”. Bardzo dziękuję!

Różnice między „bogami z Kosmosu” a ziemskimi królami, między pojazdami powietrznymi zbudowanymi przez ludzi a „tworami niebieskimi” są w dawnych tekstach wyraźne. Typowym przykładem może tu

być *Podróż Ardżuny do nieba*. Ardżuna jest boskim bohaterem tej historii, a w Kosmos lata z pilotem Matali. Jeszcze przed startem Ardżuna widzi niesprawne pojazdy leżące na ziemi i sprawne — unoszące się nad polem startowym:

„Ardżuna pragnął, aby przypadł mu niebiański wóz Indry. Wraz z Matalim dotarł nagle, w lśnieniu wozu, płosząc mroki powietrza i rozświetlając chmury, wypełniając strony świata hukiem, równym grzmotom [...]. Wzlatywał radośnie czarodziejskim tworem, wozem słońcu podobnym. Gdy zbliżył się do okolic niewidzialnych dla śmiertelników, dla chodzących po ziemi, ujrzał tysiące cudownych wozów niebieskich. Tam nie świeci słońce, tam nie płonie ogień, lecz we własnym blasku lśni to, co na dole, na ziemi widać w gwiazdnej postaci. Czy to niczem lampy w wielkim oddaleniu, czy to wielkie twory [...]" [94]

Fragment ten można by zakończyć pytaniem: czego chceć więcej? To i tak aż nadto! W wierszach 1.-4. rozdziału 11. „Sabhaparwy” możemy przeczytać, że w owych odległych czasach na Ziemię przybyli z odległego miejsca bogowie, aby studiować ludzi! Bogowie poruszali się swobodnie nad Ziemią. Informacja ta jest uzupełniona w wielu rozdziałach *Wanaparwy*, gdzie mówi się bez wątpienia o latających salach zebrań, które — podobnie jak stacje kosmiczne — okrążają Ziemię.

Te stacje orbitalne określa się mianem *sabha* — a mają one na pokładzie nie tylko żywność i napoje wszelkiego rodzaju, lecz również straszliwą broń i amunicję.

Twierdzenie to można poprzeć fragmentem *Rigwedy* (5.6.1-4) mówiącym, że obiekty te przybyły do nas z dali Kosmosu, a bogowie obdarzyli ludzi wiedzą. Technika gości z Kosmosu musiała zatem stać na poziomie, o jakim my możemy tylko marzyć — wymieńmy choćby miasta niebieskie, które „stawały się niewidzialne”.

Niekiedy zadaję sobie pytanie, dlaczego Galileusz narobił tyle hałasu w 1610 roku swoim *Posłannictwem planet* i dlaczego angielski fizyk Izaak Newton w XVII w. musiał odkryć prawo powszechnego ciężenia. Bogowie przekazali ludziom tę wiedzę na długo przedtem! *Kiranawali* z Udajana, tekst pochodzący z X w. po Chr., roztrząsa problem, czy „powietrze ma ciężar” [92] i twierdzi, że balon napełniony dymem lub parą będzie się wznosił, gdy tymczasem wypełniony powietrzem opadał. Już w *Mahabharacie* można przeczytać, że para składa się z maleńkich

cząsteczek wody, unoszących się w formie mgły w atmosferze. Drobinka żwiru czy grudka ziemi, wzniesiona w powietrze siłą wiatru, wraca na ziemię na skutek jej przyciągania. Bhaskaracarya w swoim dziele *Siddantasiromani* (ok. VI w. po Chr.) pisze o obrotach Ziemi wokół

71

Słońca. W *Prasastapada Bhasya* z III w. spadanie liścia poruszanego wiatrem jest wyjaśniane jako ruch podwójny: „jako ruch oscylacyjny i ruch opadania” [92]. Już rzymski historyk Pliniusz Starszy (61-113) zna przyczyny zaćmień Słońca i Księżyca, wie oczywiście o tym, że Ziemia ma kształt kuli:

„[...] Zachodzi tu wielka sprzeczka między uczonymi a pospółstwem: czy ziemię wszędzie ludzie zamieszkują, czy stoją nogami naprzeciw siebie i czy wszyscy to samo niebo nad wierzchołkami głów mają [...] zapytuje pospółstwo: dla czego przeciwnożnicy nie spadną? jakoby przyczyny na pogotowiu nie było i oni dziwić się nie mogli, dla czego my nie spadniemy [...]. Dziwna atoli rzecz, że mimo tak wielkiej płaszczyzny mórz i pól, kulę przecież tworzy. [...] Ztąd też dzień i noc na całej ziemi nie wszędzie są razem; bo gdy ziemia naprzeciw słońca stanie, jest noc, a na drugiej stronie dzień”. [95]

400 lat wcześniej grecki filozof Epikur (341-270 prz. Chr.) pisał w XII Księdze fizyki o kulistym kształcie światów i rozprężaniu się Wszechświata. Twierdził on mianowicie, że Słońce, Księżyc i inne gwiazdy nie powstały osobno, lecz zostały stworzone razem z całością i rozwijają się razem. [96]

Jak można było zagubić tę starą wiedzę o gościach z Kosmosu, szczegółowe instrukcje budowy aparatów latających, opisy tras lotu, stref klimatycznych czy praw astronomii i fizyki? Dlaczego ludzie muszą to wszystko odnajdywać na nowo, na nowo odkrywać wiedzę przyrodniczą? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w świętych księgach Indii: „Użycie danej techniki ograniczało się do elity i nie rozpowszechniano jej wśród ogółu” [92]. Prehistoryczne techniki były ściśle tajne. A na pytanie, kiedy to wszystko się działo, nie potrafią odpowiedzieć nawet indyjscy specjaliści. Różne szkoły mówią o różnych datach. Bitwę z Kuruksetra opisywaną w *Mahabharacie* indyjscy astronomowie datują na 3102 r. prz. Chr. Ortodoksyjni sanskrytolodzy umiejscawiają najstarsze *Wedy* około 6000 r. prz. Chr., Się zaś — według innej szkoły — porwano drogą powietrzną dokładnie 23 grudnia 4396 r. prz. Chr.

Wciąż trafiam na uczonych, argumentujących, że opisy zawarte w staroindyjskich tekstach — i gdzie indziej! — mówiące o bogach, pojazdach niebiańskich, walkach istot dobrych ze złymi, to tylko

fantazja literacka, że zdarzyło się to tylko w wyobraźni pisarzy. Dobrych bogów trzeba rozumieć jako „dobre duchy”, a ich przeciwników jako „złe demony”. Dokładnie w ten sposób wyklada się i tłumaczy wszystko z uporem maniaka w wielu ośrodkach naukowych. Akademicka wyobraźnia zamienia dawną rzeczywistość w mit.

72

Nie zwraca się przy tym uwagi na fakt, że nawet *Mahabharata* opiera się na fizycznej obecności bogów, że owi bogowie „nie pocą się”, wyglądają młodo, są szczupli i wysocy. Fantasmagoryczne duchy nie robią hałasu odrywając się od ziemi, poza tym nie jadają i nie udzielają informacji. Sytuacja zakrawa na schizofrenię: gdy słyszymy, że w starożytnych Indiach jakiś człowiek wzlatywał w „niebo” wozem ognistym — co przydarzyło się też Lugalbandzie, Enkidu, Entanie i innym — marszczymy nos i wkładamy wszystko między bajki. Ale upieramy się przy prawdziwości takiej relacji:

„A gdy oni szli dalej wciąż rozmawiając, oto rydwan ognisty i konie ogniste oddzieliły ich od siebie i Eliasza wśród burzy wstąpił do nieba.

Elizeusz widząc to zawołał: -Ojczy mój, ojczy mój [...]! I już go nie zobaczył”.*

Dotąd analizowaliśmy teksty staroindyjskie — teraz mamy do czytania z biblijną relacją proroka Eliasza z wniebowstąpienia, zawartą w Drugiej Księdze Królewskiej, rozdział 2., wersety 11-12.

Faktem jest, że prawie identyczne „wniebowstąpienie” „proroka” czy „wielkiego nauczyciela” przekazuje tybetański buddyzm. Tyle że chrześcijaństwo, żydzi i mahometanie nie wierzą w ani jedno słowo tej relacji. W Tybecie „wielki nauczyciel” Padmasambhawa (albo U-Rgyan Pad-Ma) naucza ukochanych uczniów. Podczas pożegnania pojawia się na niebie „koń ze złota i srebra”. Wszyscy widzą, jak leci. „Wielki nauczyciel” odwraca się jeszcze raz i mówi do obecnych: „Nie będzie końca szukaniu mnie”. Potem odlatuje:

„Spojrżeli i ujrzeli, że Padmasambhawa jest wielkości kruka; spojrzeli powtórnie i ujrzeli, że jest wielkości drozda, a zaraz był jak mucha, a chwilę potem prawie nie było go widać, był znikający jak gnida.

A gdy spojrzeli jeszcze raz, nic nie ujrzeli”. [98]

Etana? Bep-Kororoti? Eliasz? Ardżuna? Padmasambhava? Henoch?

Do wyboru, do koloru. „Nie ma rzeczy bardziej niewiarygodnej od rzeczywistości!” Fiodor Dostojewski (1821-1881).

Fantastyczna rzeczywistość

A rzeczywistość ta musiała być przed tysiącami lat bardziej fantastyczna, „niż może sobie nasza szkolna mądrość zamarzyć” (Szekspir). W XI w. po Chr. Maharszi Bharadwadża, „jasnowidz”, jak by go dziś

* Wszystkie cytaty biblijne według: *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa 1975 (przyp. red.).

73

określono, zebrał wiele zapisów, traktujących o lataniu bogów i ludzi. Określił nawet trzy odległe światy, skąd przybywali bogowie i dokąd odlatywali. Są to planety Mahaloka, Brahmałoka i Swetadwipa [99]. Maharszi Bharadwadża wylicza cechy aparatów latających — cechy te przyporządkowują o gęsią skórę nawet nas, arcymądrych ludzi XX wieku. Proszę bardzo:

- Tajemnica budowy aparatów latających, które się nie rozpadają, nie palą się i są niezniszczalne.

1. Tajemnica unieruchamiania aparatów latających.

2. Tajemnica czynienia aparatów latających niewidzialnymi.

1. Tajemnica podsłuchiwania rozmów oraz innych odgłosów w nieprzyjacielskich aparatach latających.

2. Tajemnica odbierania obrazów z wnętrza nieprzyjacielskich aparatów latających.

3. Tajemnica uniemożliwiania zbliżania się nieprzyjacielskich aparatów latających do własnych.

4. Tajemnica czynienia bezsilnymi osób w nieprzyjacielskich aparatach latających.

5. Tajemnica niszczenia nieprzyjacielskich aparatów latających.

Fachowcy twierdzą, że to właśnie z powodu antycypacji techniki

- o wojskowej przyszłości przekaz staje się niewiarygodny. Łatwiej spodziewać się po „jasnowidzu” Maharszi Bharadwadży fenomenalnej *prascience fiction* niż zająć się tymi tekstami poważnie, ze współczesnego nam punktu widzenia. Ofiarą pada tak wychwalana logika. Albo bogowie byli duchami, a wówczas nie była im potrzebna technika, albo były to istoty z krwi i kości, a wówczas mogli dysponować techniką. Metafizyka sprawia — jak mówi się w epoce komputerów — że *hardware*, czyli sprzęt komputerowy, staje się zbędny. Ale owego *hardware'u* nie można się tak od razu pozbyć. Podobnie jak aparatów

latających, które „nie palą się i są niezniszczalne” i które podczas startu i lądowania powodują piekielny hałas.

- Wyobraźmy sobie zresztą grupę kapłanów, żyjących najpóźniej w XI w. naszej ery, ale najprawdopodobniej tysiące lat wcześniej, zbierających się przy szklaneczce ryżowego wina i wynajdujących aparaty latające przyszłości. I proszę, co za przypadek — jak bliska odległej rzeczywistości jest ich „pra-science fiction”! To trochę tak, jakby kilku średniowiecznych mnichów zebrało się w oświetlonej świecami celi dla omówienia problemu: w jaki sposób Jezus wstąpił do nieba? Ponieważ zdarzenie to można wyjaśnić tylko zjawiskami nadnaturalnymi, mnisi wymyślają raketę kosmiczną Saturn V, którą opisują w protokole z narady — wraz z jej cechami, użytymi do budowy
- 74
 - metalami i hałaśliwym silnikiem. I hokus-pokus, parę wieków później NASA buduje coś takiego.
 - Każdy wierzący i każdy egzegeta biblijny zawoła: Bzdury! Do Wniebowstąpienia nie była potrzebna Jezusowi rakietka! To bluźnierstwo! A gdyby mimo to istniały teksty średniowiecznych mnichów opisujące pojazd niebieski podobny do rakiety Saturn V? Co z tym fantem zrobić? Czy zaklasyfikować takich mnichów jako „mędrców przepowiadających przyszłość”? Niemożliwe, przewidzieli oni przecież coś odwrotnego — Jezus bowiem wstąpił do nieba n i e w rakiecie Saturn V.
 - Jeśli zaś idzie o bogów dawnych Indii, to na dwoje babka wróżyła. W końcu my, chrześcijanie, stoimy na stanowisku, że bogowie ci byli zwykłymi śmiertelnikami. Nie można ich w żaden sposób porównywać z Jezusem, który uosabiał jednocześnie człowieka i Boga — materię i ducha. W przypadku staroindyjskich bogów nie może być więc mowy o „wniebowstąpieniu duchowym”. Dobrze, ale jeśli nie wniebowstąpienie „duchowe”, to „materialne”. W żadnym razie! Bo takich pojazdów nigdy nie było. Tym samym widzimy, jak pseudologika pożera własny ogon. „Kogo drażni krytyka, przyznaje, że na nią zasłużył” (Tacyt, historyk rzymski, 55-120 r.).

Gry słowami

- Bogowie byli materialni — i nie zmieni tego żadna modlitwa. Ich przybycie zaszokowało ludzi. Później, po próbach zrozumienia, zaczęto się bogów obawiać, zaczęto ich podziwiać — byli bowiem owiani mgłą tajemnicy, zawsze gotowi czynić cuda. Cuda jednak nie pojawiają się same z siebie, cuda ktoś sprawia! Dla tubylców z Nowej Gwinei cudem był błysk magnezji wrzucowej przez Franka Hurleya do ognia. Również wyleczenie chorego antybiotykami musiało być dla ludzi z epoki kamiennej cudowne. Zależnie od reprezentowanego poziomu techniki cudem będzie żarówka, radio, obraz na ekranie telewizora, śmigłowiec czy laser. A ponieważ cud nie jest postrzegany jako produkt natury technicznej, opisuje się jego

oddziaływanie. I w ten sposób rozpoczyna się zgadywanka „wygląda jak”, „działa jak”. Tysiące lat później tłumacze mozolą się, o co, na Boga, chodziło naszym przodkom. Jako przykład niech posłuży łacina, język martwy.

- Kolegę po piórze, filologa klasycznego i profesora łaciny dr. Lorenza Stagera, poprosiłem o przetłumaczenie takiego oto tekstu:
-

75

- „Przy kierownicy siedział android. Skierował wielotonowy ciągnik wprost ku płycie startowej, na której stała rakieta z dwoma satelitami telewizyjnymi. Natychmiast po uruchomieniu czterech silników u ich wylotu ukazał się ogień, który jednak nie spalił tytanowego stopu dysz. Na górze, w kabinie, komputery wyczarowywały na ekranach kolumny liczb, odczytywane przez astronautów i przekazywane przez radio stacji naziemnej [...]”.
- Po łacinie wygląda to tak:
- „*Monstrum forma hominis indutum rotam tenens in machina ingenti sedebat. Quae directo ad machinationem vastam, ex qua turris rotunda altissimaque et duas sphaeras continens surgebat, mota est. Inopinato in ima turri quattuor incendia strepitum aures obtudentem edentia visa sunt; neque tamen turris flammis consumebatur. In summa turri multa et exigua sigilla ex compluribus tabulis emicabant. Homines peregrino ornatu militari secum murmurabant*”. Dr Stager przedstawił ten tekst uczniom swojej klasy maturalnej i poprosił zaciekawionych młodych ludzi o przetłumaczenie go na niemiecki. Miało to być „ćwiczenie stylu”. Oto efekt próby:
- „*Monstrum w ludzkiej postaci trzymało koło siedząc w przerażającej maszynie. Ta poruszała się wprost na potężny pomost, z którego wznosiła się okrągła, nadzwyczaj wysoka wieża, zwieńczona dwiema kulami. Niespodzianie w dolnej części wieży z ogłuszającym hałasem ukazały się cztery pożary; lecz płomienie nie pochłonęły wieży. Na jej szczycie było widać pełno drobniutkich figurek na wielu tablicach. Ludzie w nieznanej wojskowej zbroi mamrotali coś do siebie*”.
- Trudno o dobitniejszy przykład zmiany wymowy tekstu napisanego w dawnym języku. „Android” z wersji pierwotnej przeobraził się w „monstrum w ludzkiej postaci”. „Ciągnik” — w „przerażającą maszynę”. „Płyta startowa” stała się „potężnym pomostem”, a satelity „kulami”. „Rakieta” — „okrągłą, nadzwyczaj wysoką wieżą”, a cztery silniki zamieniły się w „cztery pożary, powodujące ogłuszający hałas”. Tytanowy stop zniknął, za to kabina pilotów zamieniła się w „szczyt wieży”, a ekrany monitorów w „wiele tablic”. Kolumny liczb przeobraziły się z kolei w „małe figurki”, astronauty zaś w „ludzi w nieznanej wojskowej zbroi”, a łączność radiowa w „mamrotanie”.
- Tekstu nie udało się przełożyć dokładnie, bo w łacinie po prostu wielu pojęć nie ma. Wiele rzeczy można przedstawić tylko metodą opisową.

Dziękuję dr. Stagerowi i jego uczniom za tak wspaniały dowód! Facta loquuntur — fakty mówią same za siebie!

- o Bogów realnych, istoty pozaziemskie, opisano w staroindyjskich tekstach w sposób niezwykle wyczerpujący. Można o nich również
- o 76
- o przeczytać w przekazach innych ludów starożytności. Sumeryjczycy określali „sprawiedliwych z niebiańskiego statku” mianem Din-Gir, a w żydowskiej *Księdze Jubileuszów* istoty „zstępujące na ziemię” zwano Nefilim. Nauczały one ludzi dokładnie tak samo jak kuriozalna istota
- o o imieniu Oannes, który wyszła z Morza Erytrejskiego „w pierwszym roku”, nie przyjmowała pożywienia, za to nauczała ludzi umiejętności „znaków pisarskich i nauk”. Nadto ów jakże pomocny Oannes pokazał ludziom, „jak budować miasta i wznosić świątynie, jak wprowadzać prawa i mierzyć grunty. Pokazał im, jak siać i zbierać owoce” i dał nawet ludziom księgę. Od tego czasu, jak mówi prastara legenda, „nie wymyślono nic ponadto”.
- o Tę babilońską legendę utrwalił jako pierwszy kapłan Baala Berossos w swoim dziele *Babyloniaka*. (Aleksander Polihistor z Miletu spisał ją w I w. prz. Chr.) W naszych oświeconych czasach włożono ją oczywiście między bajki. A przecież tego dziwnego krzewiciela kultury trudno byłoby zaklasyfikować jako ducha czy zjawę. Duchy nie bardzo nadają się do przekazywania ludziom „znajomości znaków pisarskich
- o i nauk” i do pozostawiania gościńca w formie ksiąg. Tak dla zachowania *status quo* naszego urojonego obrazu świata oszukujemy się sami. „Niewiarygodność pozbawia prawdę poznania” (Heraklit, ok. 500 r. prz. Chr.).
- o Czy Oannes był ziemskim lotnikiem? To chyba niemożliwe! Nigdy nie zdejmował „rybiego ubrania” (był wężem?), nie jadł, nie zachowywał się w sposób egoistyczny. Nie był żądny sławy ani nie domagał się terytoriów. Ludzie byli chciwi i żądni władzy. To samo dotyczy istot zwanych Nommo, ośmiu (tworzących cztery pary) niebiańskich nauczycieli Dogonów, żyjących do dziś w republice Mali. Nommo mają „faliste kończyny pozbawione przegubów”, zielone hełmy, z ich głów zaś zwieszają się niebiańskie rośliny [101]. Również Nommo zstępują z chmur w swoim pojeździe, zwanym przez Dogonów „koszem”. Balon na gorące powietrze? To prawie niemożliwe, bo „kosz” opuszczał się przy akompaniamencie grzmotów, wzbijał kurz, „siła uderzenia rozrzucała grunt [...]”. To jak płomień, gasnący, skoro tylko dotknął ziemi. Nommo robi się „czerwony jak ogień” [102]. Dziesięciostopniowe schody prowadzą z „kosza” na ziemię, na szóstym stopniu są drzwi do ośmiu pomieszczeń dwupiętrowego wnętrza. Nommo są uczynni, lecz wcale nie są żądni władzy. Nauczyli Dogonów wielu rzeczy, między innymi przekazali im dokładne informacje o Syriuszu. Podobnie jak Indianie Kayapo w odległej Brazylii, Dogoni czczą swoich niebiańskich nauczycieli do dziś. Maski obrzędowe

-
- Bep-Kororotiego, jak ubrania Kaczynów. (Kaczynowie byli niebiańskimi nauczycielami przodków Indian Hopi.)
- Zdumieni tą zagadką — zaszokowani przybyciem bogów! — etnografowie wchodzą na bagniste ścieżki, żeby „cud Nommo” schować do kapelusza. Jeżeli Dogoni przedstawiają przybycie istot Nommo za pomocą wizerunku dwóch geometrycznych postaci, oznacza to — *sim-salabiml* — „dualizm stworzenia świata”. Dziesięciostopniowe schody oznaczają element istoty męskiej (pion) i żeńskiej (poziom). Opisane pomieszczenia są więc symboliczną istotą, a ściany spichrza żebrami. Wszystko razem przedstawia „kobietę leżącą na plecach, która rękoma i nogami trzyma niebo, jej srom zaś jest drzwiami na północnych schodach” [102]. Jak to się mówi? „Ze zdziwienia opadła mi szczęka!” Konieczna jest alternatywna dziedzina wiedzy — coś pośredniego między entografią a porównawczymi naukami „religijnymi”. Rozumiem, że teo- i inni -lodzy nie muszą się znać na astronomii, inaczej wiedzieliby, że znajomość Syriusza, jaką dysponują Nommo, nie ma nic wspólnego z „symboliczną istotą”, a tym bardziej z „kobietą leżącą na plecach”. A Nommo przekazali swoim uczniom, że jasnego Syriusza obiega towarzysz, biały karzeł. Dogoni znają wielkość, siłę grawitacji i orbitę, po której porusza się niewidzialny satelita Syriusza. (Napisałem o tym wyczerpująco w innej mojej książce [103].) Niezaprzeczalna wiedza Dogonów jest tu dowodem. Dlaczego dowód ten nie wystarcza do zakończenia naszego religijnego lotu na oślep? Ach, my ludzie jesteśmy tak przywiązani do naszej wiary! Wierzmy we wszystko, co tylko sobie wmówimy. Od lat sześćdziesiątych naszego stulecia ulicami europejskich miast przeciągają bezustannie młodzi wyznawcy Hare Kryszny. Kto nie widział tych zapaleńców z wygolonymi głowami, w pomarańczowych ubraniach, wzywających przy wtórze śpiewu do nowego oświecenia? Biblią jest dla nich *Srimad Bhagawatam*, dwunastotomowe dzieło ich boskiego mistrza Bhaktivedanta Swami Prabhupada [104], Ten „boski nauczyciel”, obdarzony przez swoich zwolenników tytułem „His Divine Grace”, ani nie odkrył *Srimad Bhagawatam*, ani teorii tej nie wymyślił. Te pouczające teksty istnieją już od XV w., a spisał je Sri Caitandza Mahaprabhu, urodzony w 1486 r. w bengalskim mieście Navadvipa. Ale i on nie uważa się za autora świętych tekstów, te religijne przekazy są bowiem znacznie starsze — a nikt nie potrafi podać ich wieku! Wywodzą się z literatury sanskryckiej a spisał je pierwotnie Srila Wjasadetam — ten sam, któremu przypisuje się autorstwo *Mahabharaty*. Zbiór *Srimad Bhagawatam* jest uważany za najważniejszy
- 78 .
 - z 18 głównych *puran* i zalicza się w Indiach do pradawnych dzieł historycznych. Zawiera 18 000 wierszy, dostępnych również od 1984

roku po niemieckiu.

- Z trudem przedarłem się przez tomy „Towarzystwa Świadomości Kryszny”. Z trudem, bo do każdego wiersza dodano długie wyjaśnienia, uświadamiające adeptowi tej nauki, o co chodzi. Poza tym lektura jest wypełniona po brzegi filozoficznymi stwierdzeniami, wskazującymi jak osiągnąć spokój ducha, i naszpikowana religijną ideologią i historiami z dawnych czasów. To wcale nie takie proste (zażalenia składamy bogom) przedrzeć się przez całość. Ale jakoś mi się udało, bo tekst miał w sobie różne smaczki, które mnie — jak innym woda — rozplływały się w ustach. Liczby po cytatach oznaczają kolejno: pierwsza — canto (pieśń, księgę), druga — rozdział, trzecia — wiersz.
 - „O, wielcy mędrzy, przybyliście ze wszystkich rejonów Wszechświata i zebraliście się tu w swej wielkiej dobroci [...]” (1, 19, 23)
„[...] i mieszkańcy różnych systemów planetarnych, Gandharwowie, Apsarowie, Jaksowie, Raksowie, Bhutaganasowie, Uragasowie, Pasuowie, Pitowie, Siddhowie, Widjadharowie i Caranowie i wszyscy inni najróżniejszych rodzajów życia [...]” (2, 6, 13-16)
„Mój drogi synu Narado, dowiedz się ode mnie, że wśród 14 systemów planetarnych istnieje siedem niższych [...]” (2, 5, 40)
„Na planecie Waikuntha jest wiele lasów, dających wielkie szczęście. W lasach tych drzewa są drzewami życzeń, o każdej porze roku są pełne kwiatów i owoców [...]” (3, 15, 16)
 - „Mieszkańcy planety Waikuntha latają samolotami w towarzystwie swoich małżonków i małżonek wciąż opiewając charakter i czyny pana [...]” (3, 15, 17)
 - „Na owych siedmiu systemach planetarnych [...] są cudowne domy, ogrody oraz miejsca rozkoszy zmysłowej, co są nawet wspanialsze niż na planetach wyższych [...]. Większość mieszkańców tej planety, znanych jako Daityci, Danawaci i Nagowie, prowadzi życie domowe. Ich żony, dzieci, przyjaciele i znajomi są całkowicie zatopieni w złudnym szczęściu materialnym.” (5, 24, 8)
„Ponieważ mieszkańcy tej planety pijają i kąpią się w wywarach i eliksirach z cudownych ziół, nie dotykają ich troski i choroby cielesne. Nie znają siwizny, zmarszczek czy niedołęstwa, piękno ich ciała nie przemija, ich pot nie ma nieprzyjemnej woni [...]”
:”; (5, 24, 23)
 - „Na planecie Satjaloka nie ma starości ni trosk [...]” (2, 2, 27)
„Podróżował w ten sposób po różnych planetach, tak samo jak powietrze, co się bez przeszkód we wszystkie strony porusza. Gdy
 -

- podróżował przez przestworza w swym wspaniałym i znakomitym pałacu, który fruwał wedle jego woli, prześcignął nawet półbogów.” (3, 23, 41)
- „[...] tak samo jak półbogowie podróżują po Wszechświecie, gdy

natomiast zwykli ludzie podróżują po powierzchni ziemi." (4, 4, 19)

„Mój drogi Ksatto, Widuro, niebiańskie kobiety wraz z mężami

zniżają się swoimi samolotami ku tym rzekom [...]" (4, 6, 25)

„Samoloty mieszkańców nieba są wysadzone perłami, złotem i wieloma kosztownymi klejnotami. Mieszkańcy nieba są porównywani do chmur na niebie, zdobionych błyskającymi niekiedy piorunami." (4, 6,27)

- „Gdy tylko widoczne się stały znamiona jego uwolnienia, ujrzał bardzo piękny samolot zniżający się z nieba, rozświetlający wszystkie dziesięć stron świata, a zdawało się, że to się zniża lśniący księżyc w pełni." (4, 12, 19)
 - „Indrę, króla nieba, otaczali półbogowie siedzący w różnych rodzajach pojazdów, a przystrojeni sztandarami i bronią. Pośród nich byli Waju, Agni, Waruna i inni władcy różnych planet wraz ze swymi towarzyszami." (8, 10, 26)
 - „Brahma, Siwa, Karttikeja, wielki mędrzec Bhrgu, inne święte osobistości, mieszkańcy Pitrloka i wszystkie inne obecne żywe istoty, łącznie z mieszkańcami Siddhaloka i żywe istoty, które podróżowały samolotami po Kosmosie — wszyscy wychwalali niezwykle czyny Sri Wamanadewasa." (8, 23, 26-27)
 - „Na to Indra, król nieba, razem z innymi przywódcami niebiańskich planet, zaproponował Sri Wamanadewasowi miejsce przed sobą w niebiańskim samolocie [...]" (8, 23, 25)
 - „Kopuły pałaców miejskich lśniły tak samo jak kopuły pięknych samolotów, unoszących się nad miastem." (4, 9, 56)
- „Rozbrzmiwały muszle, rogi, bębny i kotły. Wielcy mędrcy, przodkowie i osoby z niebiańskich planet — wszyscy przybyli na ziemię z różnych systemów planetarnych." (4, 15, 8)

To wstrząsające, z jaką oczywistością przedstawia się w tekstach wedyjskich zdarzenia, które nam wydają się rodem z science fiction.

Opisuje się tam nieznanne planety i „światliste statki kosmiczne",

w których „podróżują sobie" bogowie o zdumiewających imionach.

Bogowie ci przybyli z różnych systemów słonecznych, studiowali życie ludzi, uczyli ich a poza tym prowadzili wesołe życie na Ziemi i w pobliskich rejonach Kosmosu.

- Na pewno teksty te spróbuje się usunąć z pola widzenia nauki zwyczajowymi argumentami. To urojenia! Naprawdę?
- 80
- „[...] jeżeli z punktu, w którym słońce osiągnęło południe, pociągnie się linię, to ludzie w krajach na drugim końcu tej linii będą mieli północ. Podobnie ludzie mieszkający tam, gdzie słońce zachodzi, nie zobaczą słońca tak samo, jeżeli pojedą do krajów, które leżą po diametralnej." (5, 21, 8-9) „Nigdy nie zaznający spokoju, niepewny, nader potężny czynnik czasu sprawia, że gwiazdy krążą nieprzerwanie wokół Gwiazdy Polarnej." (5, 23, 2)

- „Ostatnia cząstka objawienia materialnego, niepodzielna i nie ukształtowana w ciało, jest określana jako atom. Istnieje ona zawsze, nawet po rozpadzie wszystkich form, jako niewidzialna jedność. Ciało materialne nie jest niczym innym jak strukturą złożoną z takich atomów, ale prosty człowiek rozumieją niewłaściwie." (3, 11, 1)
- „Atomy są ostatecznym stanem objawionego Wszechświata. Kiedy pozostają we własnych formach, nie tworząc różnych ciał, określa się je jako nieograniczoną jedność." (3, 11, 2)
- „Można mierzyć czas, mierząc ruch struktury atomowej ciał [...]. Czas atomowy jest mierzony na podstawie trwania pomiaru określonej przestrzeni atomowej. Czas ów, pokrywający nieobjawioną całość atomów, jest określany mianem wielkiego czasu." (3, 11, 3-4)

o Słowo prawdy

- o To wcale nie urojenia — to nowoczesna wiedza, zawarta w prastarych tekstach! Możemy ją odrzucić, zanegować w dyskusji, wyśmiać, odwrócić od niej oczy albo zacząć opukiwać w poszukiwaniu sprzeczności. Ale w ten sposób usatysfakcjonujemy wyłącznie naszą zarozumiałość.
- o To samo dotyczy ostrzeżeń przed „wysłannikami różnych sekt”, padających ze strony wielkich kościołów, które grożąc paluszkami przestrzegają, że młodzież wpadnie w „duchową zależność”, będzie poddana „praniu mózgow” a na dobitkę wykorzystana materialnie. Ostrzeżenia takie są zapewne uzasadnione w niektórych przypadkach — w innych wszakże zakrawają na nieuczciwość. Nie chcę rozstrzygać, które z podejrzanych wspólnot religijnych stanowią niebezpieczeństwo dla ciała i duszy, chciałbym jednak przypomnieć, że i uznane religie inkasują gotówkę i wpędzają swoje owieczki w „zależność duchową”. Słowo „moralność” nie ma liczby mnogiej! A groźna jest każda wiara pachnąca fanatyzmem. Staroindyjskie mądrości, *Wedy*, nie wyciągną od nas ani grosza, nie będą też wymagać duchowego oddania.
- o
- Z jednej wiec strony odważnie twierdzimy, że staroindyjskie (i inne!) przekazy są wyłącznie fantazją literacką, z drugiej wszakże, iż Święte Pismo — jest „słowem Bożym”. Możemy co najwyżej uznać wspaniałością, że „boskim tchnieniem” nacechowane są jeszcze niektóre teksty żydowskie. Ale jak — bardzo proszę! — mamy oceniać i wyjaśnić elementy wspólne? W *Srimad Bhagawatam* (2, 5, 40 i 5, 24, 8) mówi się o mieszkańcach „siedmiu systemów planetarnych”. Niestety, o łatwiwni, to samo można przeczytać w *Kabale*. *Kabale* zaczęto utrwalać na piśmie około 1200 r. po Chr., ale mianem tym określa się ezoteryczne nauki dawnego Izraela. Pojęcie to wywodzi się z hebrajskiego *qblh*, co znaczy „to, co jest przyjmowane”. *Kabala* wyjaśnia zagadkowe relacje Starego Testamentu i komentuje gronu wtajemniczonych zaszyfrowane informacje starożydowskiej wiedzy.

- Wyznawcy *Kabały* są przekonani, że spisano ją na rozkaz Boga. Część tego kompendium tradycyjnej mistyki można znaleźć w trzech tomach *Księgi Zohar* (Księga Blasku), które spisał podobno już w 11 w. rabbi Szymon ben Jochai (130-170 r.). Okrągłe tysiąc lat później hiszpański Żyd Mojżesz Ben Szemtob de Leon [105] spisał pełniejszą wersję *Kabały*. Wyszła ona drukiem w 1558 r. w Cremonie. Na pierwotnych źródłach opierają się też łacińska *Kabbala Denudata* z 1644 r. [106] oraz angielska *Kabbala Unveiled* z 1892 r. We Francji pod koniec minionego stulecia prof. dr Lambert Mayer przedstawił wyśmienite tłumaczenie *Kabały* [107], w języku niemieckim zaś istnieje, o ile wiem, tylko jeden niepełny przekład uczonego mistrza Papusa [108]. Dokładnie tak samo jak w *Wedach* również w *Kabale* wymienia się różne systemy planetarne, Wszechświat zaś jest porównywany do „żywego ciała”. Istnieją światy „niższe” i „wyższe”, bliższe Bogu, oraz istoty, które przechodząc z jednego życia planetarnego do drugiego muszą przejść do coraz wyższego etapu rozwoju. W *Kabale* wylicza się nawet siedem planet, opisanych w *Srimad Bhagawatam*:
 - „Mieszkańcy świata Gej
 - sieją i sadzą drzewa. Jedzą
 - wszystko, co pochodzi z drzewa, nie znają
 - jednak żadnych zbóż. Ich
 - świat jest cienisty i jest tam mnóstwo
 - wielkich zwierząt. Mieszkańcy świata Nescija
 - jedzą krzewy i rośliny, których nie muszą
 - siać. Są niewielkiego
 - wzrostu i zamiast nosów
 - 82
 - mają tylko dwie dziurki w głowie, przez które
 - oddychają. Są bardzo roztargnieni
 - i wykonując jakąś pracę często nie wiedzą, po co ją zaczęli. W ich
 - świecie widać czerwone słońce.
 - Mieszkańcy świata Cija nie muszą
 - jeść tego, co jedzą inne istoty. Zawsze
 - szukają żył wodnych. Mają bardzo piękne twarze i znacznie więcej
 - wiary niż wszystkie inne istoty. W ich
 - świecie są wielkie bogactwa .
 - i mnóstwo pięknych budowli. Ziemia
 - jest i widać dwa słońca.
 - Mieszkańcy świata Tewel
 - jedzą wszystko co pochodzi z wody. Przewyższają
 - wszystkie inne istoty, a ich
 - świat jest podzielony na strefy, których
 - mieszkańcy różnią się kolorami rysami twarzy. Wskrzeszają swoich zmarłych. Ich świat jest
 - bardzo oddalony od słońca.
 - Mieszkańcami świata Erec są

- potomkowie Adama.
 - Mieszkańcy świata Adama są również potomkami Adama, ponieważ Adam
 - uskarżał się na beznadziejność życia w świecie
 - Erec. Uprawiają ziemię i
 - jedzą rośliny, zwierzęta oraz chleb. Są
 - przeważnie smutni i często toczą ze sobą wojny. W świecie tym są dni i widoczne są konstelacje
 - gwiazd. Dawniej często odwiedzali ich mieszkańcy świata Thebel, lecz przybysze zostali porażeni niepamięcią w świecie
 - Adama i już nie wiedzieli,
 - skąd przybyli. Mieszkańcy świata Arka
 - sięją i zbierają. Ich twarze są
 - inne od naszych twarzy.
 - Odwiedzają wszystkie światy i mówią
 - wszystkimi językami."
 - 83
- Nie jestem ani materialistą, ani spirytystą — nie niewoli mnie też żadna sekta. Po prostu nie umiem odwracać oczu i wyłączać umysłu, gdy w starych tekstach znajduję rzeczy tak fantastyczne. Współczesna logika, zagmatwana i poprzekręcana przez religie i ideologie, zna tylko dwa rodzaje faktów: prawdziwe i pozostałe. „Prawdziwymi” nikt się nie przejmuje. Ja wyciągam je na widok publiczny, bo wiele wczorajszych odpowiedzi kryje się za welonem hipokryzji. Na stos!
 - Nie można przeoczyć faktów, jakimi już dysponujemy. Tysiące lat przed Galileuszem ludzie dobrze wiedzieli o istnieniu innych systemów planetarnych! Tak naprawdę to niektórzy wielcy uczeni minionego stulecia wyważali otwarte drzwi, zamknięte świadomie przez panujących w dawnych tysiącleciach. W *Księdze Zohar* przekazano nawet krótką rozmowę, jaką przybysz z planety Arka przeprowadził z Ziemiąninem. Obcy wyszedł niespodziewanie ze skalnej szczeliny z „inną twarzą”. Rabbi Josse zapytał nieznanego, skąd przybywa:
 1. Jestem mieszkańcem planety Arka.
 2. A więc na Arka są istoty żywe?
 Obcy odparł:
 - — Tak. Gdy ujrzałem, że nadchodzicie, wyszedłem z jaskini dowiedzieć się od was, jak nazywa się świat, do którego przybyłem.
 - Na koniec obcy opowiedział, że w jego świecie pory roku są inne, siew i zbiory następują dopiero po kilku latach, także układ gwiazd różni się od widzianego z Ziemi.
 - **Mieć rację za wszelką cenę?**
 - Nawet jeżeli fragmenty tego tekstu uzna się za „fantazję literacką”, to mimo wszystko trzeba będzie skapitulować przed treścią przekazywanej informacji. Patrząc z perspektywy odległego systemu słonecznego,

„układ gwiazd” będzie oczywiście inny niż „miejscowy”. Tajemne przekazy, coraz częściej wyciągane na światło dzienne, sprawiają na mnie wrażenie kiepskich żartów historii. Nasi astronomowie i biolodzy kosmiczni odkrywają pracowicie różne planety — a w dawnych tekstach opisano nawet ich roślinność!

- o *Kabalajest* uważana za tekst „święty”, „inspirowany przez Boga”. Jej treść była przechowywana przez najwyższych kapłanów, przez wtajemniczonych. Przypadkowy literat nie zdołałby wcisnąć tam swojej „pra-science fiction”, zmieniając zawartą w niej wiedzę wedle własnego widzimisię. Szkoła religijna podniosłaby hałas i przywróciła wersję pierwotną.
- o 84
- o Jak więc powstały fragmenty, w których możemy przeczytać, że mieszkańcy świata Necija „są niewielkiego wzrostu” i „zamiast nosów mają tylko dwie dziurki w głowie”? Czy autorzy mieli na myśli Pigmejów z samego serca Afryki? Niemożliwe, bo w świecie nieznanymi przybyszy „widać czerwone słońce”. No tak, ozwie się zaraz sceptyk, w końcu z Ziemi też widać czasem „czerwone słońce”. Na przykład w mglisty wieczór albo wczesnym rankiem nad morzem. Autorzy *Kabały* mieli na myśli ziemskie słońce, a w przypadku istot, które „mają tylko dwie dziurki w głowie”, chciano porównać brzydotę nieznanymi stworzeń z własną pięknoscią. Ale i to jest fałszywa karta. Bo niby to dlaczego mieszkańcy świata Cija „mają ładne oblicza”, i dlaczego świecą tam naraz „dwa słońca”? Świat Tewel natomiast „jest bardzo oddalony od słońca”.
- o Na pewno nie mogę wyciągnąć mojej boskiej karty — zewnętrznego wpływu na wczesne kultury Ziemi — muszę się oprzeć na jedynym, a do tego niepewnym źródle. Odniesienia do istot pozaziemskich są w *Kabale* za skąpe. Ale mamy przecież jeszcze takie teksty jak *Yymaanika-Shaashtra*, opisy lotów Lugalbandy i Etany, mamy indyjskie *Wedy* i epepeje, mamy pięciu chińskich „pracesarzy”, którzy zstąpili z nieba, mamy istoty Nommo i *Srimad Bhagawatam*. Dopiero te i wiele innych świętych tekstów dopełniają całości.
- o Tylko dlaczego wiedza ta krążyła dotąd w podziemnych kręgach tajnych stowarzyszeń? Dlaczego była dostępna jedynie wtajemniczonym? Społeczeństwa zachodnie i muzułmańskie stoją przed psychologiczną barierą! Mur postawiony myśleniu wzniesiono ze starych, źle zrozumianych przekazów religijnych i mieszaniny ideologii nowożytnych. Nierzadko dzieje się tak, że wiele odpowiedzialnych osób w dobrej wierze kurczowo podtrzymuje iluzję, że człowiek musi trwać w mrokach niewiedzy.
- o Dla udowodnienia zasadności tej decyzji jedni nadużywają argumentu mówiącego o „zbawieniu duszy ludzkiej”, która jakoby tak bardzo leży im na sercu, inni zaś posługują się pseudoodpowiedzialnością głoszonej przez siebie „ideologii”. W obu przypadkach na końcu jest

nieprawda. Mając do wyboru wiedzę i inteligencję oraz niewiedzę i głupotę, większość ludzi wybierze wiedzę oraz inteligencję. Społeczeństwo nie mające alternatywy dla wiary i ideologii, nie mogące czytać tego, czego nie dopuszcza dany monopol, nie mogące oddać się swobodnej dyskusji, zeskorupieje w religijnych (i ideologicznych) schematach myślowych. Za świętokradztwo uważane będzie już przypuszczenie, że może istnieć coś, co mogłoby w najmniejszym stopniu naruszyć istniejącą wiarę. „Temu, kogo opanuje myśl o końcu świata, z trudem

85

- - przyjdzie zachwycać się postępem technicznym i społecznym tego świata" — powiedział prof. dr Karl Steinbuch [109]. A o kimś, komu nie będzie wolno myśleć, porównywać, dyskutować, czytać i czerpać dla potrzeb logiki z bogactwa nowoczesnej wiedzy, można będzie powiedzieć, że jest rozmyślnie utrzymywany w niewiedzy. Zachowujemy się jak globalny ser, którego proces dojrzewania i zapaszek ciągnie się od przeszłości do terażniejszości. Postęp naszej cywilizacji jest bajeczny i ograł wiele dziedzin techniki, ale w głowach nadal kisi się nam stara breja.

○ Nawet w Tybecie i w Japonii

- Pozostanę jeszcze przez małą chwilę na wyżynnym powietrzu tych niebiańskich przestrzeni, którym my, ludzie, zawdzięczamy prainteligencję. (Bogowie stworzyli człowieka na obraz i podobieństwo swoje.) W *Gjelrap*, czyli genealogii tybetańskich królów, jest mowa o 27 legendarnych królach, z których siedmiu przybyło z Kosmosu i „zstąpiło po niebiańskiej drabinie do ludzi" [110]. Określa się ich mianem bogów światła. Bogowie ci, po wypełnieniu misji na Ziemi, zniknęli z powrotem we Wszechświecie. Z pewnością można wysunąć argument, że siedmiu niebiańskich nauczycieli Tybetańczyków jest tożsamyh z pięcioma pracesarzami Chińczyków czy ośmioma istotami Nommo Dogonów. Nasi niezbyt rozzarnięci przodkowie pomieszali różne teksty.
- To nie pasuje, bo Tybetańczycy od swoich „niebiańskich nauczycieli" otrzymali od razu „skrzyneczkę z tekstami pierwotnymi", ukrywaną do dziś w jakimś klasztorze jako relikwia. A jeszcze w XVII w. tybetański historyk Lama Taranatha napisał, że niebiańscy nauczyciele osobiście zalecili kapłanom udokumentowanie wizerunkami swojej wizyty [111].
- Coś podobnego zdarzyło się też w starożytnej Japonii. Wnuk bogini Słońca Amaterasu zstąpił na wierzchołek góry Takachido (Kiusiu). Miał ze sobą nie tylko trzy insygnia władcy — zwierciadło, miecz i klejnoty koronne — lecz również boskie przyrzeczenie: „Ten kraj [...] będzie regionem, który moi potomkowie opanują jako władcy [...] Niech rozkwit i szczęście dynastii trwa bez końca jak niebo i ziemia" [...]. Istotnie w Japonii panuje po dziś dzień dynastia cesarska wywodząca się od bogów. Przetrwały tysiąclecia również „boskie"

podarunki. Do świątyni bogini Słońca Amaterasu w mieście Ise na wyspie Honsiu pielgrzymują corocznie miliony Japończyków, aby oddać cześć świętemu zwierciadłu. Święte klejnoty przechowuje się

- 86
- w cesarskim pałacu w Tokio, miecz zaś leży w świątyni Atsuta koło Nagoya (centralna Honsiu).
- Z wysp japońskich pochodzą również dwa rodzaje figurek, wyobrażających potężne istoty niebieskie. Jeden rodzaj to *kappa*, z rękoma przypominającymi rybie płetwy, trójkątnymi oczyma, wielkimi uszami i dziwnie wysokim kapeluszu. Istotną jednak cechą tych postaci jest „nos przypominający trąbę a biegnący aż do skrzynki na plecach” [113]. Podobne istoty z trąbami można znaleźć na kamiennych reliefach zarówno w Indiach, jak i w Ameryce Środkowej. W Indiach i w Indonezji są to wcielenia bożą Ganeśi, boskie postacie z węzami biegnącymi do ust. W Ameryce Środkowej fotografowałem istoty z trąbami na Monte Alban (Meksyk), w Copan (Honduras), w Tuli (Meksyk) oraz w El Baul i w Tikal (Gwatemala).
- Tam, w muzeum przed ruinami potężnych budowli Majów, stoi zapewne najwyrazistszy „bóg z trąbą”, a moi przyjaciele-archeolodzy zupełnie nie wiedzą, co z nim począć. A ponieważ nie wiedzą, nazwali tę prawie trzymetrową kamienną rzeźbę „preklasyczną stelą z Tikal”. Ja zaliczam to dzieło sztuki do najwspanialszych kamiennych wizerunków niebiańskiego nauczyciela. Olbrzymia figura nie ma głowy, od szerokich pleców odchodzą dwie ręce, jakby zgięte w łokciach. Na przegubach widać jakby „mankiety”, same zaś ręce tkwią w ciężkich rękawicach z jednym palcem. Boski nauczyciel ma skomplikowane buty, z których wychodzą wygięte przewody. Ubranie jest zamknięte, u pasa bujają się jakieś nieokreślone „woreczki”. Ze środka piersi wybiega rura przypominająca trąbę — jakby złożona z wielu wsuniętych w siebie elementów. Nad podbrzuszem rura skręca, kończąc się w pudełku z lewej strony ciała.
- „Preklasyczną stela z Tikal” jest szkolnym przykładem „zapisu” technologii, nie rozumianej przez człowieka. Tyle że tym razem nie są to słowa, jak w świętych tekstach, tylko wizerunek uwieczniony w kamieniu. Przedstawię tu dla porównania dwa wizerunki steli. Pierwszy to oryginał, drugi — artystyczny rysunek, na którym kolorami wyróżniono niezrozumiałe części techniczne. Fachowcy widzą tu tylko nieznaną bóstwo, obwieszoną obrzędowymi kłopotami, przewód zaś, który nawet dla ślepego kończy się w pudełku, ma sugerować „stylizowany kręgosłup”. O, święty Kukulcanie, miej mnie w swojej opiece!
- Drugim japońskim dziełem sztuki inspirowanym światem bogów są posążki *dogu*. Te figurki z brązu, mające do 20 cm wysokości, pochodzą z ok. 600 r. prz. Chr. Znajdowano je na wielu japońskich wyspach, a o istotach, które przedstawiają, wiadomo tylko tyle, że były „pomoc-

-
- nikami bogów". Istoty te tkwią w „napompowanych” ubraniach, zamiast rąk mają mechaniczne chwytaki, w które łatwo wkładać różne specjalistyczne narzędzia. Oczy są ukryte za ogromnymi wizjerami wyglądającymi jak okulary — cała głowa wraz z „okularami” znajduje się w zamkniętym hełmie. (Porównania: Bep-Kororoti z Brazylii, maski Dogonów z Afryki Zachodniej i maski Kaczynów u Indian Hopi z Arizony.) Tak jak „Preklasyczna stela z Tikal”, również posąжки *dogu* nie pasują do archeologicznych schematów. Wypadają z ram. Podobnie jak przedwczorajsze ideały.
- Na pamiątkę niezwykle czczonych nauczycieli z Kosmosu w Japonii po dziś dzień celebryje się corocznie pewien rytuał. W noc z 31 lipca na 1 sierpnia na wybrzeżach Kumamoto wypuszcza się na morze wiele czerwonych woskowych lampek. Symbolizują one nieznaną ogień, w którym „bogowie przybyli niegdyś z gwiazd na ziemię” [113].
- Trzeba też wspomnieć piramidę Kukulcana w Chichen-Itza. Po dziś dzień schodzi z niej co roku 21 marca niebiański nauczyciel w cudownym spektaklu światłocieni, podziwianym przez tysiące widzów.

Kto tu blaguje?

-
-
- Ani zabytki piśmiennictwa, ani maski, posąжки, stele czy świątynne wizerunki bogów, nie mówią już o wciąż żywych i praktykowanych obrzędach ludów pierwotnych — nic nie działa na gwardię wczorajszych interpretatorów historii. Szok spowodowany przybyciem bogów nie ustępuje. Wszystkich krzewicieli kultury, którzy zstąpili niegdyś z firmamentu, uznaje się za „uczłowieczone żywioły przyrody”. Czytam, że kompleks wyobrażeń Słońca i Księżyca odegrał znaczącą rolę w szalonych głowach naszych przodków. Bez wątpienia istoty, które przekazały ludziom rośliny uprawne i narzędzia, miały „księżycową naturę” — bo „rosły, były zabijane albo kawałkowane” równie szybko jak fazy Księżyca [114].
- Zrozumiałe, że z tego punktu widzenia nawet włosy w brodzie i na głowie zamieniają się w „promienie słoneczne”, a niebiańskie postacie w gwiazdy, które w końcu też pojawiają się i znikają. Człowiek czuje się zrobiony w konia! Rozumiem, że tak kończyły się próby interpretacji mitów w minionych stuleciach — ale dziś? Czy naprawdę trzeba kultywować takie nonsensy? A z jakich „boskich ust” wyszły, jeśli uwzględnimy „kompleks wyobrażeń Słońca i Księżyca”, informacje o odległych planetach? O budowie materii (atomy)? Ó stopach metali, o różnych rodzajach napędu i broni?
- Na pewno w każdej epoce żyli literaci, artyści-plastycy i fantaści, wysysający wszystko z palca. Czegóż to nie zmyślano w każdej epoce? Ale w przypadku tekstów i postaci poddawanych tu pod dyskusję nie może to stanowić argumentu. Fantaści odtwarzają i przetwarzają tylko

to, czego się dowiedzieli, a zmyślona „literatura pra-science fiction” na pewno nie weszła do świętych ksiąg. Fikcja byłaby godna uwagi tylko wtedy, gdyby utrwalono ją na piśmie i umieszczono w bibliotekach.

- Wiemy, jak szczęśliwi bywają odkrywcy, kiedy w trakcie prac archeologicznych wpadną im w ręce pieczęcie, umowy handlowe, dokumenty historyczne czy orędzia królewskie. Możemy z grubsza ocenić, co zawierały stare archiwa. Nie było tam „pra-science fiction”! Coś takiego wywołałoby protesty arcykapłanów, strażników pierwotnej wiedzy. Literatura jarmarczna nie miała czego szukać w świętych tekstach. Utrwalano na piśmie i przechowywano wyłącznie dokumenty ważne — umowy handlowe itp. — albo wielkie prawdy religijne. Gdyby nasza ponura cywilizacja miała wrócić do kaganka oliwnego, a za kolejne tysiąc lat wyciągnięto by na światło dzienne jakieś archiwum prasowe, to etnografowie przyszłości uznaliby lądowanie na Księżycu razem z pojazdem księżycowym za urojenie, za fikcję literacką. Przeczytaliby, że Apollo wyruszył w kierunku Księżyca — ale Apollo jest przecież bogiem starożytności. A kto wylądował na Księżycu? Orzeł! „Eagle has landed!”

- Jednostronna edukacja nie pozwala nam spojrzeć na rzeczywistość z drugiej strony — skłania do przyjmowania postaw życzeniowych. Dzieci, którym od najwcześniejszych lat wpajano wiarę w Chrystusa krwawiącego na krzyżu, mieszkają w kraju, gdzie taka religia panuje. Dzieci w innych częściach świata dorastają wierząc w jedyne proroka — Mahometa. Jednym i drugim wpaja się ich religię jako jedyną prawdę o świecie, i nikt nie pomyśli, że dzieci chrześcijańskie znajdowały się czasem w społeczeństwie muzułmańskim — i odwrotnie.

- Nasze myślenie warunkuje indoktrynacja, prowadzona od najwcześniejszego dzieciństwa. W przypadku pradawnych przekazów i wizualnych świadectw z prehistorycznych czasów zachowujemy się równie jednostronnie. Struktury myślowe są utrwalane przez szkołę i wychowanie religijne, później przez szkoły wyższe i literaturę o odpowiednim nastawieniu. Żyjemy złudzeniami bezpieczeństwa. Z oburzeniem odrzucamy inne przekonania i dowody.

- Wzorzec naszych psychologicznych zachowań świadczy o zupełnym zacofaniu. Odrzucamy każdą świadomość kosmiczną, sięgającą dalej własnego nosa. Nasze dzieci uczą się liczyć na liczydłach, a pojęcie cyfr uzmysławia się im przy pomocy dziesięciu palców. Dzieci indyjskie kojarzą cyfry z pojęciami:

- jeden — Księżyc

- dwa — kwadry Księżycatrzy — oczy (!)

- cztery — *Wedypięć* — strzały

- sześć — pory roku

- siedem — dniosiem — Bosu (istota z przestrzeni)

- dziewięć — planety.

- Nasza wiedza jest zamknięta w szczelnym pojemniku, pozbawionym

receptorów reagujących na inne przekonania. Wszystko, czego nie upakowano nam w trakcie indoktrynacji do szarych komórek, jest uważane za śmieszne lub niemożliwe — reakcją na coś takiego jest natychmiastowe wciągnięcie czulek. Wyrrywamy peryskopy i krzyczymy, że brak nam dowodów — właśnie je rozdeptujemy. Gdzie przedmioty, pozostałości po niebiańskich nauczycielach? No, gdzie?!

- Kiedy dzisiejsi etnografowie udają się na badania odległych plemion, nie zostawiają tam ani śmigłowców, ani kamer, instrumentów pomiarowych i wyposażenia. Wizyta naukowców wchodzi do historii plemienia. Być może kamera jest opisywana jako „oko boga”, rewolwer jako „grzmot zabijający zwierzęta”, a śmigłowiec jako „statek z hałaśliwymi skrzydłami”. Ale pozostałości po wizycie naukowców nie ma.
- Słyszę, że metale i tworzywa sztuczne przetrwają! Naprawdę? Gdzież więc części samolotów rozbitych w latach trzydziestych? Gdzie płyty pancerne z I wojny światowej? Gdzie, proszę?! A za tysiąc lat nie będzie można nawet eksponować tych nielicznych resztek znajdujących się obecnie w muzeach. W przypadku „bogów” z Kosmosu nie chodzi jednak o jakieś tam tysiąc lat — tych lat minęło wiele tysięcy. Byłoby absurdem oczekiwanie, że po takim czasie uda się znaleźć jakiegokolwiek przedmioty używane przez istoty pozaziemskie. A rzeczy wartościowe na pewno wzięły ze sobą.

Architektura sakralna

naśladuje statki kosmiczne

- Nauczyciele z Kosmosu pozostawili ślady nie tylko w literaturze i sztukach pięknych, nakłonili też ludzi do naśladowania wyglądu statków kosmicznych. Nie na papierze czy pergaminie, co byłoby dość nietrwałe, lecz w formie monumentalnych budowli. Plan i budowa wielu dawnych świątyń przypominają „niebiańskie miasta” istot pozaziemskich.

■ 90

- „Syn Pridżawraty, wspaniałomyślny król Sakadwipa, to on polecił mi wówczas zbudować w moim kraju dom boży, równy pojazdom boskim. Boski był, wzniesiony z kamienia i wielki.” [115]
Takich świątyń, będących w istocie naśladownictwem boskich pojazdów, jest w Indiach pełno. Są to m.in. świątynie:

1. Rathamandira w Mahabalipuram koło Madras;
2. Wrhatdiswar z Tandżore;
3. Kandradża z Khadżuraho;
4. Wirupaksa w Bombaju;
5. Telika w Gwaliorze;
6. Mahabodhi w Bodhadża;
7. Kailasanath (nr 16) w Elura;
8. Laksmana w Khadżuraho;
9. Dżagannatha w Puri;
10. Lingaradża z Bhubaneswar;

11. świątynia z Kanćipuram w południowych Indiach;

12. góra świątynna Borobudur na środkowej Jawie.

Wymienione świątynie powstały nie tylko w różnych okresach — są

- poświęcone różnym bogom. Mimo to mają jedną cechę wspólną: ich plan i budowa odpowiadają jednemu z typów *wimana*. Wznosząc nowe budowle architekci-kapłani starali się zawsze dochować wierności tradycji. Na szczycie każdej świątyni znajduje się albo boski pojazd, albo boskie koło. Wyjątkiem jest góra świątynna Borobudur na środkowej Jawie. Wyobraża ona gigantyczną stupę, składającą się z 1472 mniejszych stup. Stupy te wyglądają jak dzwony albo półkule z ostrymi wieżyczkami. Mają wiele znaczeń. Są:
 1. symbolem końca drogi życiowej;
 2. grobem;
 3. ośrodkiem sił twórczych;
 4. trójpodziałem buddyjskiej trójcy: bazą, kopułą, wieżą;
 5. wymiarem przestrzeni;
 6. środkiem transportu do świata bogów;
 7. pojazdem bogów, w którym wykonywano obrzędowe ruchy.

Tu religie odpowiadają pierwotnemu założeniu: „dają dowód”.

W trakcie tysiącleci świątynie wznoszono, odnawiano i budowano na nowo. Kapłani jednak pilnowali, aby kamieniom powierzano starodawne przesłanie. Podobnie było z kościołami chrześcijańskimi budowanymi w stylu romańskim — powstawały na planie krzyża. Tak samo muzułmańskie meczety, stare i nowe — wszystkie są zwrócone ku Mekce. No tak, z układów świątyń można wprawdzie odczytać przesłanie — nie można niestety odczytać daty lądowania istot pozazie-

91

niskich na naszej planecie. Pewne jest tylko to, że goście z Kosmosu przybywali na Ziemię bardzo dawno temu.

A to ze zrozumiałego powodu. Gdyby istoty pozaziemskie wpłynęły na rozwój ludzkości w czasach dostępnych metodami historycznymi, w czasach, gdy wszystkie ludy spisywały swoją historię, to ludy te na pewno zrelacjonowałyby w grubych księgach wizytę bogów. Nie przemilczano by takiej sensacji. Wszystkie istniejące przekazy o istotach pozaziemskich pochodzą zatem nie ze źródeł historycznych, lecz religijnych. Ale w najbardziej zamierzchłej przeszłości księgi religijne były w istocie zapisem historii. Kiedy to było?

Powiedz mi *quando*, powiedz, kiedy?

Diodor Sycylijski pisał przed 2 000 lat:

„Kapłani egipscy obliczają czas od panowania boga Słońca po przejście Aleksandra do Azji na około 23 000 lat". [19]

W drugiej księdze swojego dzieła Diodor pisze wyczerpująco o wiedzy astronomicznej chaldejskich kapłanów w Babilonie. Chwali ich wiadomości uznając je za bardzo gruntowne i podaje przykłady astronomicznych mądrości. Możemy tam znaleźć dane, które odkryto na powrót dopiero po tysiącach lat i które gwałtownie przeobraziły zarówno religijny, jak i naukowy obraz świata. Zadaję sobie pytanie, dlaczego? Chaldejscy kapłani wiedzieli o tym od dawna:

„O planetach powiadają, że każda ma bieg własny i porusza się z nierównymi i też zmieniającymi się prędkościami i okresami [...]. Poniżej wymienionych gwiazd jednak porusza się, jak twierdzą, Księżyc, który ze względu na ciężar swój unosi się najbliżej Ziemi i obiega ją w czasie najkrótszym, a to nie ze względu na chyżość ruchu, lecz na małość swojego okręgu. A jego światło jest światłem odbitym, a zaćmienia są spowodowane cieniem Ziemi [...]". [116]

Diodor pisze z respektem, że Chaldejczycy „posiadają największe doświadczenie w astronomii" na świecie. A cóż — na wszystkie ciała niebieskie! — mówią ci fachowcy o wieku ludzkości?

„Co mówią o liczbie lat, od kiedy kasta Chaldejczyków zajmuje się badaniem kosmosu, to z trudem udaje im się znaleźć kogoś, kto w to uwierzy, bo wedle ich wyliczenia do wyprawy Aleksandra upłynęło lat czterysta siedemdziesiąt trzy tysiące [...]". [116]

Podam liczbę lat cyframi: 473 000!

92

Nie zamierzam przyjmować tej gigantycznej wartości za dobrą monetę, choć chaldejskich kapłanów wymienia babilońska lista królów. Lista owa, odkryta w irackim mieście Khorsabad w dolinie Tygrysu, jest w istocie czarnym, wielokątnym blokiem kamienia. Na każdej ze ścian bloku wyryto imiona królów oraz daty. Nauka zaklasyfikowała to jedyne w swoim rodzaju znalezisko jako WB 444. Można je dziś podziwiać w Muzeum Ashmolean w Oxfordzie. Co napisano na bloku?

„Kiedy królestwo zstępowało z nieba, królestwo było w Eridu.

W Eridu królem był Alulim, 28 800 lat rządził.

Alalgar rządził 36 000 lat. Dwaj królowie, 64 800 lat rządzili.

W Bad-tibira rządził En-men-lu-ana 43 200 lat.

En-men-gal-anna rządził 28 800 lat.

Bóg Dumuzi, pasterz, rządził 36 000 lat. Trzej królowie, swoje 108 000 lat rządzili.

W Larak rządził En-zib-zi-anna 28 800 lat. Jeden król, swoje 28 800 lat rządził.

W Sippar królem był En-men-dur-anna, 21 000 lat rządził. Jeden król, swoje 21 000 lat rządził.

W Suruppak królem był Ubar-tutu, swoje 18 600 lat rządził. Pięć miast, ośmiu królów, 241 200 lat rządziło.

Przemiął potop. Kiedy potop przemiął, królestwo po raz wtóry zstąpiło z nieba. W Kiś było królestwo.

W Kiś królem był Ga-ur. 1 200 lat rządził.

Gulla-Nidaba-anna-pad rządził 960 lat.

Zukakip rządził 900 lat. '

Atap rządził 600 lat.

Syn Atapa rządził 840 lat.

Etana, pasterz, który wstąpił do nieba, był królem, 1 560 lat rządził.

Balih, syn Etany, rządził 400 lat.

Tizkar, syn Samuga, rządził 305 lat [...]"

Według WB 444 dziesięciu prakrółów sprzed potopu rządziło w sumie 456 000 lat. Po potopie „królestwo po raz wtóry zstąpiło z nieba”. 23 królów, którzy przewinęli się potem przez tron, rządziło 24 510 lat, 3 miesiące i trzy i pół dnia.

Chciałbym przypomnieć na marginesie, że zdumiewająco sędziwego

wieku dożyło dziesięciu patriarchów biblijnych sprzed potopu. Adam dożył 900 lat, Henoch został fizycznie „wzięty do nieba” w wieku 365 lat, jego zaś syn Metuszalech zasnął w Panu mając lat 969.

Wierzący żydzi i wierzący chrześcijanie biorą te dane dosłownie. Nie dotyczy to jednak ani okresów rządów podanych w starobabilońskiej liście królów, ani danych chaldejskich astronomów. „Wszyscy się

93

mylimy, ale każdy inaczej!” — twierdził Georg Christoph Lindenberg (1742-1799).

Udało nam się wyprzeć ze świadomości, pokomplikować i zafałszować dane o dawnych wizytach istot pozaziemskich i ich wpływie na rozwój ludzkości. Czy dziś będziemy rozsądniejsi?

IV. Rzeczywistość czy utrata poczucia rzeczywistości

Najpiękniejszym, co możemy
odkryć, jest tajemniczość.

Albert Einstein (1879-1954)

Wyobraźmy sobie wielkie mrowisko. Założmy, że owady mogą się ze sobą porozumiewać (co zresztą robią). Teraz wsadźmy kij w mrowisko i zakręmy nim z całych sił. Efekt? Klęska żywiołowa na skalę mrowiska. Mrówki potraciły głowy i biegają jak oszalałe. Pracowite owady nie wiedzą, jaka zewnętrzna siła spowodowała ów zamęt, nie wiedzą, co to „człowiek” i dlaczego robi to, co robi. Wsadzenie kija w mrowisko, będące dla mrówek trzęsieniem ziemi, powoduje zniszczenie miejsc lęgu a poza tym jest pozamrowiskowym napadem na najświętszą królową.

Podejźmy do drugiego mrowiska i poruszmy cienką gałązką trochę igieł. Mrówki znajdujące się w rejonie „działań agresora” zaczną biegać jak szalone, ale reszta pozostanie spokojna. Być może inteligentne owady poinformują o wypadku instancję wyższą i szkody zostaną wkrótce naprawione. W państwie mrówek zapanuje spokój. Powtórzmy tę czynność jeszcze kilka razy. Ani jedna mrówka nie będzie ranna, tylko w wielu miejscach owadzia budowla ulegnie niewielkim uszkodzeniom. Gdyby mrówki miały prasę, ta napisałaby o ogniskach niepokoju. Mrówki, które widziały zdarzenie, przysięgną na swoje żuchwy i sosnowe igły: — Tak, właśnie tak było! — Mrówki z nie zaatakowanych

regionów uśmiechną się z wyższością. Zdeprecjonują informacje o pozamrowiskowym ataku twierdzeniem, że to tylko głupie gadanie. Może kilka mądrych mrówek osobiście oceni szkody. Może

mrówki te stwierdzą, że zdarzenie było skutkiem upadku złamanej gałęzi albo wdepnięcia w mrowisko jakiegoś niezdarne zwierzęcia. Nie przyznają, że mogłaby tam działać „pozamrowiskowa inteligencja”, w skrócie PI.

Powtórzmy jeszcze kilkakrotnie takie „ingerencje”. Od czasu do czasu złapmy kilka owadów do probówki, zbadajmy je w laboratorium i wpuśćmy z powrotem do mrowiska. Przerażone mrówki pobiegą zaraz do mrówczych mediów, opiszą swoje przeżycia i — zostaną wyśmiane. Do mrówek, które miały „pozamrowiskowe spotkanie”, dołączą zaraz inne, skłonne do wywyższania się w oczach współobywatelek, i jeszcze inne — ze skłonnościami psychopatycznymi, wierzące i zabobonne, które będą wymyślać różne „pozamrowiskowe spotkania”.

Wszystkie pogłoski: prawdziwe i fałszywe, przyczynią się do podtrzymania dyskusji o „pozamrowiskowych spotkaniach”. Mrówcze media, na początku niepewne i złośliwe, *zaczną* się wahać. Wkrótce powoła się pierwszą komisję do wyświetlenia sprawy „ingerencji pozamrowiskowych”.

Od tej chwili mrówki będą miały dwie możliwości:

1. Będą się wzbraniać przed uznaniem „pozamrowiskowych ingerencji” jako czegoś kierowanego przez obcą inteligencję. Odizolują się. To zaprowadzi je w ślepy zaułek, bo:

1. przegapią szansę poszerzenia swoich horyzontów i nadal będą wierzyć, że żyją w systemie zamkniętym;
2. zaryzykują zniszczenie przez PI (pozamrowiskowa inteligencję), która zaklasyfikuje je jako istoty „nieinteligentne” i „moralnie bez znaczenia”;
3. mrówki, które przeżyły „spotkania pozamrowiskowe” albo były badane przez PI, nie będą milczeć. Nawiążą kontakt z mrówkami, które doznały tego samego. Będą chciały się zorientować, czy nie są przez kogoś nadzorowane albo czy ktoś nie wywiera na nie wpływu. W końcu znikną resztki respektu przed

mrówczymi przywódcami, którzy nie będą chcieli przyjąć prawdy do wiadomości. Wielce prawdopodobna stanie się mrówcza

rewolucja.

2. Mrówcza społeczność zdecyduje się nawiązać kontakt z PI. Zechce się dowiedzieć, co było przyczyną doznanych przykrości. Starsze mrówki będą nawet uważać, że od PI można się wiele nauczyć. Można sobie wyobrazić następującą kolej rzeczy:

a) mrówcza społeczność ułoży kilka tysięcy sosnowych igieł w trójkąt równoramienny, aby zasygnalizować obecność inteligencji;

96

1. z resztek liści mrówki ułożą koło jako symbol atomu (najmniejsza cząstka), a zaraz obok drugie. Koła połączą linią. Połączone atomy symbolizują cząsteczkę;
2. przeszukają czułkami kilka wybranych częstotliwości, mając nadzieję natrafić na częstotliwość używaną przez PI.

Ostatnia czynność jest niezbyt sensowna, bo mrówki nie mogą wiedzieć, czy PI nadaje w ich zakresie częstotliwości.

Jaki wniosek można wyciągnąć z mojej historyjki o mrówkach? Społeczność ludzka zachowuje się dokładnie tak samo!

Śmierdząca sprawa

Osoby zajmujące się problematyką ufologiczną są po prostu „głupie” [117]. Poważni ludzie nie zajmują się takimi rzeczami. Koniec! A jeśli mimo wszystko ktoś się do tego zabiera, zostaje wyśmiany. Wyklucza się go z hukiem ze społeczności ludzi poważnych. Jaki wydział trzeba ukończyć, aby zostać badaczem UFO? Ten, na który wstępują hodowcy królików, sprzedawcy jaj i producenci pędzli do golenia? Żadnego! Jaki wydział trzeba ukończyć, aby prowadzić studia przeciw badaczom UFO? Ten sam!

Tak więc naprzeciw siebie stają za każdym razem osoby równouprawione — różnica polega na tym, że lobby antyufologiczne zawsze wygrywa. Jeśli ktoś widział UFO albo miał pecha wziąć udział w spotkaniu „trzeciego stopnia”, to tak jakby bez obiektywnych dowodów wpadł z deszczu pod rynnę. A jeśli do tego może przedstawić jakościowo dobre zdjęcia czy nagranie wideo, to i tak przeciwnicy nie zaakceptują takich dowodów. Jeśli to samo zdarzenie z UFO opisz 50, 100 czy 1000 osób, to osoby te zostaną uznane za „ofiary sugestii zbiorowej” albo za świadków zjawiska określanego mianem „fata

morgana". Mogły też widzieć spadające przez 365 dni w roku „części rakiet i stacji kosmicznych”. Bezustanne bombardowanie ziemskim śmieciem z Kosmosu!

A jeśli mimo wszystko zjawiska nie da się uznać za kosmiczne śmieci, wtedy domniemane UFO okażą się „niewielkimi samolotami”, „latawcami”, „balonami na gorące powietrze”, „odbiciami”, „halucynacjami”, „wymysłami” i „fantazjami”, „chmurami komarów”, „balonami meteorologicznymi lecącymi na wielkiej wysokości”, a jak kto woli, to i „jasnymi planetami”, które w momencie obserwacji okrążały właśnie Ziemię z szaleńczą prędkością. Lobby antyufologiczne, pseudonaukowe do szpiku kości, chętnie przywdziewa strój „prawdziwej nauki”,

97

posługuje się też zniesławieniem i metodami izolowania niewygodnych osób, a w każdej niekorzystnej dla siebie sytuacji zasłania się swoją „powagą”.

Żaden komputer na świecie nie zawiera wykazu osób, które — pojedynczo czy w niewielkich grupach — nawiązały kontakt z istotami pozaziemskimi po 24 czerwca 1947. Tego bowiem dnia, około 14³⁰, Kenneth Arnold ujrział pierwsze UFO w czasach nowożytnych. Arnold odbywał lot w nad Górami Kaskadowymi w stanie Waszyngton w poszukiwaniu transportowca C-46, który spadł na ziemię. Nagle z lewej strony zobaczył dziewięć jasno świecących tarcz. Arnold obserwował zdumiewające manewry eskadry UFO przez prawie trzy minuty. Później napisał, że obiekty wyglądały „jak talerze sunące nad wodą” [118]. Tak narodziło się pojęcie „latające talerze”.

Szkoda, że nikt nie zrobił takiego wykazu. Byłaby to dobra podstawa programu badań dla młodych socjologów. A statystyków zdumiałaby zapewne ilość zaistniałych kontaktów. Człowiek w końcu nie biega po ciemku z siatką na motyle. Literatura ufologiczna mówiąca o kontaktach dowiedzionych obejmuje dużo ponad 1000 pozycji. Tylko w strefie języka angielskiego doliczyłem się 500 książek na ten temat. Do przypadków zaświadczonych na piśmie dochodzą przypadki nieujawnione. Ogromna liczba cichych, zastraszonej ludzi, którzy przeżyli kontakt z UFO, chce pozostać anonimowa. Ludzie ci obawiają się reakcji otoczenia, myślą, że nie są przy zdrowych zmysłach, albo milczą ze względu na swoją pozycję zawodową.

Nauka badała fenomen UFO w różnych okresach z różnymi rezultatami. O ile osławiony Raport Condon, finansowany częściowo przez lotnictwo wojskowe USA, dał raczej negatywne efekty, o tyle prof. dr

Allen Hynek uważa, że sytuacja jest znacznie bardziej zróżnicowana [120]. Zmarły już prof. Hynek był astronomem w Lindheimer Astronomical Research Center Northwestern University w Chicago, uważano go za wyrocznię w sprawach UFO. Jacques Yaltee, matematyk i astronom, po gruntownej analizie tego problemu doszedł do wniosku, że „[zagadka UFO] istnieje i nie możemy nadal unikać jej badania. Z naszych analiz może nawet wynikać, że od intensywności tych badań zależy nawet nasza egzystencja”. [121]

Zmianę nastawienia do tej kwestii można wykazać statystycznie. W maju 1985 roku amerykańskie czasopismo „Industrial Research Development”, czytane przede wszystkim przez naukowców i managerów przemysłu, przeprowadził ankietę, z której wynikało, że:

27% pytanych wierzy w istnienie UFO;

34% uważa istnienie UFO za prawdopodobne;

98

12% nie ma zdania;

19% uważa, że UFO prawdopodobnie nie istnieje;

8% definitywnie zanegowało istnienie UFO.

61% osób wierzących bądź uważających istnienie UFO za prawdopodobne świadczy niewątpliwie o istotnej zmianie sposobu myślenia.

Latem 1990 roku powołano nawet w USA do życia nową naukę — ufologię — mającą też własne czasopismo. Prasa pisała: „Przez dziesięciolecia 'niezidentyfikowane obiekty latające' były tematem zastrzeżonym dla łgarzy i autorów bestsellerów obdarzonych fantazją. Teraz odezwała się nauka: fenomen latających talerzy trzeba zbadać bez uprzedzeń. W tym celu w Ameryce powstało czasopismo fachowe 'Journal of UFO Studies'. Młode jeszcze wydawnictwo będzie publikować przede wszystkim osiągnięcia badaczy, którzy milczeli dotąd, obawiając się drwin kolegów. (Adres: 2457 West Peterson Avenue, Chicago.)” [122]

A kto jeszcze uważał, że wyznawcy UFO rekrutują się przeważnie spośród pań w podeszłym wieku i stetryczalnych staruszków lub co najwyżej spośród gorzej wykształconych od ludności Europy Zachodniej mieszkańców krajów rozwijających się, został w styczniu 1991 roku wyprowadzony z błędu. We Francji obok popularnego czasopisma naukowego „Science et Vie” ukazuje się też jego mutacja dla młodzieży. Wśród młodzieży w wieku 8-16 lat „Science et Vie - Junior” przeprowadziło ankietę na temat parapsychologii i UFO. Całe 45%

Każda wymówka jest dobra, jeśli tylko doprowadza ona do porządku nasze poczucie własnej wartości. Nastawienie w rodzaju „nie wierzymy w UFO, bo nie istnieje”, jest warte tyle samo co wypowiedź szanowanego niegdyś przyrodnika, dr. Lee Foresta, który jeszcze w 1957 roku twierdził: „Człowiek nigdy nie dotrze na Księżyc, niezależnie od postępu nauki w przyszłości” [124]. Dwanaście lat później, 20 lipca 1969 roku, na Księżycu wylądował Apollo 11. (Na marginesie: dr Lee Forest nie był osamotniony w nieżyciowych poglądach. To samo mówił Sir Harold Spencer Jones, dyrektor Obserwatorium Astronomicznego Greenwich, w 1957 roku.)

Historia zna przykłady świadczące o tym, że nawet powszechnie szanowani naukowcy reprezentowali czasem bezsensowne poglądy [125]. W II w. prz. Chr. słynny aleksandryjski astronom Ptolemeusz nauczał: „Pragnę jednoznacznie oświadczyć: Ziemia jest środkiem świata, a ciała niebieskie obracają się wokół niej”. [126]

Gdzie rodzi się kłamstwo?

Kiedy idzie o UFO, życzliwi podnoszą ostrzegawczo paluszek. Kto ustrzeże nas przed życzliwymi?

Cytowany już prof. dr Allen Hynek, doradca lotnictwa wojskowego USA w sprawach UFO, pisał:

„Muszę zaznaczyć, że lotnictwo wojskowe w każdym przypadku podejmowało własne decyzje [...]. Wkrótce było powszechnie wiadomo, że wojskowi są skłonni do fałszowania interpretacji przeprowadzanych z okazji corocznych zestawień opisów UFO: Z 'być może samolot' robiono 'najprawdopodobniej samolot'. Przypomina mi to grecką legendę o rozbójniku Prokruście, który schwytanych podróżnych dopasowywał do rozmiarów swojego łoża — przez rozciąganie ciała albo przycinanie nóg”. [127]

W latach 1947-1965 lotnictwo wojskowe USA zbadało w sumie 10 147 przypadków UFO. Z tego — działając według własnowolnych kryteriów Air Force — w Programie Błękitna Księga odfajkowano 9 501. Pozostało (już wtedy!) 600 relacji o nie wyjaśnialnych zdarzeniach z UFO. Co się z tym stało? Oto typowy przykład:

Pułkownik lotnictwa USA William Colemann, jako młody pilot

wojskowy, przeżył w 1955 roku dramatyczne spotkanie z UFO. Wraz z dwoma kolegami ścigali nieznany obiekt wykonujący w powietrzu manewry, od których włos się jeżył na głowie, w końcu obiekt zniknął z niewiarygodną prędkością w czerni Kosmosu. Na temat tego zdarzenia Colemann napisał wiele relacji dla różnych władz. Po latach ten sam William Colemann został członkiem rządowego Programu Błękitna Księga. *Zaczai* szukać akt ze swoimi ówczesnymi wypowiedziami. „Zniknęły z obszernego materiału dowodowego” [128].

Zachowujemy się jak słynna małpia trójca: jedna małpka zasłania sobie oczy, druga uszy, trzecia usta. Przez całe dziesięciolecia wszystkie oficjalne struktury USA — Air Force, Navy, Ministerstwo Obrony, CIA i NSA (National Security Agency) — zapewniały, że nic im nie wiadomo na temat UFO, że nie gromadzi się żadnych danych z tego zakresu. Opierając się na *Freedom of Information Act*, ustawie gwarantującej swobodę przepływu informacji, obywatele USA dotarli do dokumentów świadczących niezbicie, że wszystkie oficjalne komunikaty były kłamstwem. Największy brukowiec USA, „National Enquirer”, wydał w 1985 r. książkę, na którą złożyły się wyciągi z utajnionych dotąd akt. [129]

Teraz okazało się, na czym stoimy — lecz mimo to żaden z dziennikarzy wielkich magazynów, którzy polują na każdą sensację, nie

100

wszedł na barykady, ani jedno czasopismo nie zrobiło „afery Watergate”. Dlaczego? Nasze zachowanie społeczne pozwala na okazywanie tylko tyle odwagi, na ile pozwala „stado”. Dlaczego astronom mający dobrą opinię miałby zajmować się problematyką UFO za darmo? Dlaczego wydział astronomii albo podobny miałby oferować środki na badania UFO, skoro besserwisserzy i tak wiedzą z góry, że będą to wyrzucone pieniądze? Dlaczego uczciwi ludzie mają się oficjalnie ośmieszać tylko dlatego, że zechcieli wziąć pod lupę wszystkie aspekty paru historyjek o UFO?

Nic się nie zmieni, dopóki politycy i równie ciężko myślący ludzie ze środków masowego przekazu zamiast nabrać wiatru w żagle będą się zachowywać jak kurek na dachu. Gdzież wychwalana odwaga cywilna, która nie poddaje się mocnemu w gębie lobby antyufologicznemu? Chwała wydawnictwom, które przynajmniej poddają pod dyskusję książki o UFO.

Ale mojej krytyki jednostronnego traktowania tematyki UFO przez media nie należy uogólniać. Byli i są ludzie odpowiedzialni, wśród nich nawet najwybitniejsi naukowcy, piszący w ostatnich latach w czasopis-

mach fachowych o możliwościach kolonizacji galaktycznej i wpływie istot pozaziemskich na ludzi. Czasopisma te są oczywiście trudno dostępne, poza tym teksty w nich zawarte są — jak należy — pisane językiem naukowym. Wydawnictw tych nie czytują ani laicy, ani dziennikarze.

Pierwszy problem, na jaki natykają się odważni myśliciele, dotyczy inteligentnego życia w Kosmosie. Jak duże jest prawdopodobieństwo, że wokół innych gwiazd krążą planety? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że planety znajdują się w odpowiedniej odległości od słońca, że temperatura na ich powierzchni pozwala na powstanie życia? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że będą spełnione warunki prebiotyczne? Że będzie mogło rozwinąć się życie? Że rozwiną się człekopodobne formy życia? Że takie formy życia poprzedziły nas o tysiąclecia w procesie ewolucji, nie zabijając się wzajem? Że takie formy życia rozsiały po Galaktyce swoje genetyczne „klocki” (Fred Hoyle [130])?

Prawdopodobieństwo, że w pobliżu gwiazdy będą się znajdować planety, jest takie samo jak to, że w pobliżu kotki będą kocięta. Nie trzeba być statystykiem ani biologiem kosmicznym, aby zrozumieć, że w przypadku ponad 400 miliardów gwiazd znajdujących się tylko w obrębie Drogi Mlecznej jest bardzo prawdopodobne, że zaludniają ją bardzo duża liczba inteligentnych form życia.

Teorii twierdzącej, że jesteśmy sami w Kosmosie, teorii mile łechcącej naszą próżność, nie da się obronić. Ale jak istoty pozaziemskie pokonały

101

odległości dzielące je od siebie i od Ziemi? Co interesuje je na Ziemi? Skąd wiedzą — ogromna odległość! — że ludzie w ogóle istnieją?

Na wszystkie te pytania już dawno udzielono odpowiedzi rozsądnych i wiarygodnych. To rozumiałe, że laik o tym nie wie — to zawstydzające, że nie wie o tym lobby antyufologiczne.

Już w 1982 roku Międzynarodowa Unia Astronomiczna, grupująca najtęższe głowy w dziedzinie astronomii, astrofizyki i biologii kosmicznej, założyła tak zwaną Komisję 51 [131]. Komisja ta miała zbadać możliwość istnienia pozaziemskich kultur i wariantów kontaktu. Działała ona w ramach większego projektu, SETI (Search for Extraterrestrial Intelligence — Poszukiwanie Inteligencji Pozaziemskiej) [132,133].

Odrobina teorii

Astronom prof. dr M. Papagiannis, przewodniczący Komisji 51, przedstawił wyliczenia — jak to w wyższej matematyce — nie do odparcia. Odległości między gwiazdami, uważane niegdyś za nie do pokonania, da się przebyć w rozsądnym czasie dzięki możliwej już dziś do przewidzenia i wyliczenia technice. Nawet w przypadku prędkości wynoszących tylko jeden procent prędkości światła Drogę Mleczną można skolonizować z jednego punktu w ciągu dziesięciu milionów lat [134]. Jeszcze krócej trwałoby to przy szybkości równej dwa procent prędkości światła albo przy eskalacji „kuli śnieżnej”. Co należy przez to rozumieć?

Statek kosmiczny porusza się z prędkością równą 2% prędkości światła, pokonując odległość dziesięciu lat świetlnych w czasie 500 lat ziemskich. Następnie załoga ma kolejne 500 lat na zbudowanie drugiego statku kosmicznego. Na ile prawdopodobne jest takie założenie? W ciągu minionych stu lat ludziom udało się przebyć drogę od dorożki do rakiety na Księżyc, od liczydeł do komputera. Do tego musieliśmy wszystko od początku wynajdywać, doskonalić, testować. *Załoga* statku kosmicznego nie musi zaczynać od zera — projekty i technologie są gotowe. Zakładając, że załoga dysponuje odpowiednimi zapasami, na nieznanym planecie konieczna industrializacja będzie trwała sto czy dwieście lat. Statek kosmiczny będzie budowany na wzór pierwszego przez 30-50 lat. Teraz do przeciwległych celów wyruszą z prędkością równą 2% prędkości światła dwa statki kosmiczne. I znowu — po pięćsetletniej podróży załoga ma czas na budowę dwóch kolejnych statków kosmicznych. Ping-pong. Kula śnieżna.

102

Jak wyglądałyby silniki? Pisał o tym już przed 9 laty prof. dr H. Ruppe z Politechniki Monachijskiej. A jego kolega, prof. dr Gerard O'Neill z Princeton University przedstawił wspaniałe wyliczenia rozprzestrzeniania się inteligentnego życia w „pokoleniowych statkach kosmicznych” [136]. W przeciwieństwie do przedstawicieli przedwczorajskich poglądów wcale nie jest tak, że fachowcy nie wiedzą, jak pokonywać kosmiczne odległości. Problemy te można rozwiązać, jeśli się tylko chce. Istoty pozaziemskie zrobiły to już dawno.

Tęgie naukowe głowy zastanawiają się nad dziwnym zachowaniem istot pozaziemskich w stosunku do nas. W strefie języka niemieckiego problemem tym zajmuje się przede wszystkim Johannes Fiebag [137, 138, 139]. W strefie języka angielskiego rozprawy o strategii istot pozaziemskich zdominowali profesorowie Bracewell [140] i Deardorff [141, 142, 143]. Ja sam w jednej z moich wcześniejszych książek [144] przedstawiłem kilka przemyśleń, które dziś należałoby zaktualizować.

Istnieje hipoteza, wedle której Ziemia uważana jest przez istoty pozaziemskie za *refugium*, za „ogród zoologiczny”. Założeniem niezakłóconego funkcjonowania tego ZOO jest życzliwość strażników i zwiedzających. Zabrania się na przykład zwiedzającym naruszania miejsc lęgowych rzadkich ptaków, karmienia krokodyli żywymi psami, drażnienia lwów i zbierania jadowitych węży. Strażnicy zwracają baczną uwagę na zachowanie reguł gry.

Strażnicy wiedzą, że jeden gatunek zwierząt jest inteligentniejszy od innych. Gatunek ten — człowiek — ma dar myślenia filozoficznego, abstrakcyjnego, matematycznego, umie rozwijać różnorodne formy kultury i techniki. Wartownicy wiedzą również, że próba wyrwania się człowieka z ZOO jest tylko kwestią czasu. Czy można mu na to pozwolić? Czy będzie stanowił niebezpieczeństwo dla strażników i zwiedzających?

Nie wiemy (jeszcze), ile jest cywilizacji galaktycznych. Niewykluczone, że znajdują się wśród nich cywilizacje agresywne. Może istnieją cywilizacje mające inną przemianę materii od nas albo przypominające budową ciała i funkcjami owady. Bardzo możliwe, że taka forma życia nie zaakceptuje naszej. A może istnieją cywilizacje człekopodobne, agresywne dlatego, że odniosły zwycięstwo w wojnie międzyplanetarnej a teraz rozprzestrzeniają w Kosmosie agresję. Można sobie też wyobrazić gatunek agresywny, który będzie działał dla dobra ojczyzostego świata powodowany egoistycznym pragnieniem powiększenia swojej sfery wpływów. Dla przeciwdziałania temu i wielu innym wariantom istoty pozaziemskie założą Klub Galaktyczny, kosmiczną ONZ, w której karcie byłoby zapisane m.in., że żadna cywilizacja nie

103

może się mieszać w rozwój innej cywilizacji do momentu, aż ta osiągnie pułap pozwalający wstąpić do galaktycznego klubu. Strażnicy i „zwierzęta” będą koegzystować.

Ale nie na zawsze. Jak dziecku nie można zabronić dorastania, grupie istot ludzkich nie można zabronić zdobywania samodzielności w Kosmosie. Wszystkie inteligentne formy życia we Wszechświecie mają te same prawa. Mimo to istnieje bariera, nie pozwalająca zwierzęciu zwanemu „człowiek” wyrwać się przed czasem z ZOO. Musi udowodnić, że jest nastawiony pokojowo. Jak ma to zrobić, skoro nie wie nawet, czy i przez kogo jest obserwowany i egzaminowany?

Zadajmy sobie kilka pytań: Czy miłujemy pokój? Czy jesteśmy gotowi odrzucić wszelkie formy agresji? Czy potrafimy żyć w zgodzie z innymi inteligentnymi formami życia? Odpowiedzi nasuwają się same. Ziemia

to „ZOO”, w którym egzystują obok siebie najróżniejsze rasy, religie, najróżniejsze charaktery i typy — a nawet inne gatunki zwierząt i roślin. Ale „ZOO” jest też jakby szkołą. Jeśli przetrwamy tę próbę, to znaczy, że dojrzeliliśmy do nawiązania kontaktu z Kosmosem — jeżeli jej nie przetrwamy, unicestwimy siebie — a może i całe „ZOO”. Selekcja ma kosmiczne wymiary. Ludzie muszą w sposób pokojowy przejść „próbę ZOO” — dopiero wtedy Klub Galaktyczny wyciągnie do nas rękę.

Stąd „embargo” i milczenie „strażników”. Służy to obserwacji gatunku „człowiek” i ochronie „strażników” przed ludźmi.

Ale „embargo” ustanowione na „ZOO-Ziemia” nie jest całkowite. Można oferować nam pomoc w maleńkich dawkach — o ile przyjmujemy ją dobrowolnie i okazemy się jej godni. Ale jak możliwa jest pomoc „w maleńkich dawkach” z jednej strony, skoro z drugiej przemawia przeciw niej „embargo”, poza tym co to znaczy „okazać się godnym”? Cała sprawa wygląda tak:

Spółeczeństwo a istoty pozaziemskie

Słynny radioastronom, prof. dr Ronald Bracewell ze Stanford University w USA, reprezentuje pogląd, że każdy rząd utajni informacje radiowe otrzymane od pozaziemskich form życia. Dotyczy to oczywiście również lądowań UFO i bezpośrednich kontaktów z istotami z Kosmosu [140]. Powody tego zdumiewającego zachowania będą bardzo proste. Rząd, który odbierze i odkoduje sygnały albo zetknie się z istotami pozaziemskimi, będzie żywił nadzieję, że dzięki „wiedzy z zewnątrz” naród, na którego czele stoi, zdobędzie przewagę nad pozostałymi. Dotyczy to nie tylko sfery wojskowości, lecz również socjologii,

104

ekonomii, techniki, religii i kultury. Nawet jeśli pozaziemskie posłannictwa zostaną odebrane, zdekodowane i rozpowszechnione przez prywatne zespoły badawcze — nawet jeśli istoty pozaziemskie udzielały audiencji pojedynczym osobom, rządy i uniwersytety zdeprecjonują te informacje jako „głupi żart”, „manię wielkości” albo „pomyłkę” i „natychmiast wezmą pod klosz całą sprawę” [140]. Jak więc istoty pozaziemskie mogłyby nam przekazywać posłania „w maleńkich dawkach”, żeby nie zostały one zatrzymane na wyższym szczeblu?

Życzliwe nam, nie agresywne cywilizacje galaktyczne wiedzą, jak to zrobić. Wiedzą, że na szczeblu rządowym pochodzące od nich informacje wykorzysta tylko jedna grupa. Ich psychologowie i etnologowie rozumieją, jak katastrofalne skutki przyniosłoby ziemskiej cywilizacji nagłe

pojawienie się istot pozaziemskich przed tłumami ludzi. Postępują ostrożnie i globalnie.

Jak rozwiązać ten problem? Indoktrynację prowadzoną „małymi dawkami” trzeba prowadzić delikatnie, ale zarazem na całej Ziemi, żeby ani rządy, ani szkoły wyższe nie miały najmniejszej szansy zastosowania jakichkolwiek represji. Poślanie z zewnątrz musi być zrozumiałe dla opinii publicznej, wojsku i nauce musi się wydawać wszakże „niewiarygodne i nie do zaakceptowania”. Jeśli coś nie jest „wiarygodne”, zostaje wedle starego ludzkiego zwyczaju wystawione na śmieszność, a czymś, co jest śmieszne, nie zajmują się ani rządy, ani szkoły wyższe. W ten sposób „embargo” nie będzie naruszone, a ludzkość otrzyma „w maleńkich dawkach” pomoc, ponieważ bardzo długo będziemy sobie uświadamiać, co w rzeczywistości dzieje się wokół nas. „W każdym razie nie pędź, aż ludzkość będzie wewnętrznie przygotowana do zaakceptowania pozaziemskiego przesłania” [143].

Jakież to „katastrofalne skutki” przyniosłby fakt pojawienia się delikatnego i maleńkiego UFO przed zdumionymi tłumami?

Zadajmy to pytanie inaczej: Jak zareagują ludzie, kiedy nad wypełnionym po brzegi stadionem futbolowym pojawi się UFO? A kiedy pojawi się nad wielkim miastem? Nad ośrodkiem pielgrzymek? Nad meczetami islamskimi, nad katedrami chrześcijańskimi, nad świątyniami buddyjskimi? Co poczują wierni ujrawszy przedstawicieli istot pozaziemskich zstępujących z obłoków? Na przykład podczas ceremonii wielkanocnych na placu Świętego Piotra w Rzymie? Co wykrztuszą z siebie uznani naukowcy, kiedy będą musieli stwierdzić, że przez dziesięciolecia rozpowszechniali kłamliwe informacje na temat życia pozaziemskiego, pokonywania odległości międzygwiazdnych i UFO? Co pomyślą sobie wojskowi, którzy zainwestowali astronomiczne sumy pochodzące z podatków

. 105

w rakiety defensywne, myśliwce przechwytyjące i urządzenia radarowe *high-tech*, kiedy istoty pozaziemskie zatańczą im przed nosem? Jak poczują się setki tysięcy antropologów i miliony ich zwolenników, gdy nagle okaże się, że człowiek wcale nie jest koroną stworzenia? Każde niespodziewane pojawienie się UFO przed wielkimi skupiskami ludzkimi, każde dłuższe ujęcie istot pozaziemskich na ekranach telewizorów narazi nas na szok kulturowy i religijny. Powtarza się szok po przybyciu bogów z czasów antycznych. Wówczas też nie byliśmy wewnętrznie przygotowani na ich przybycie. Masowe pojawienie się UFO na firmamencie ziemskim zaklasyfikowalibyśmy jako agresję. Wszyscy obawiają się agresorów, którzy zamierzają niszczyć to, co dla nas

najdroższe, a zaszczepić coś obcego. Z agresorami nikt się nie brata, nikt nie wierzy w ich słodkie słówka.

Bez wyczucia sytuacji przez istoty z Kosmosu zmiana świadomości ludzi nie będzie możliwa.

Nie ma inwazji z zewnątrz

Załogi UFO — zakładamy, że istnieją, ale jeszcze do tego dojdę — postępują wobec ludzkości bardzo taktownie. Każdy, kto obawia się brutalnego mieszania się istot pozaziemskich w swoje sprawy, musi sobie uświadomić, że inwazja tego rodzaju nigdy nie miała miejsca w historii ludzkości. „Czarodziejska technika” umożliwiłaby przecież istotom pozaziemskich opanowanie Ziemi i w przeszłości, i teraz. Kiedy sławny radioastronom prof. Frank Drake rozpoczął w 1960 roku realizację programu OZMA, mającego na celu odbieranie sygnałów radiowych od cywilizacji pozaziemskich i nadawanie własnych [145], osoby o zastraszonych rozumkach podniosły zaraz ostrzegawczo paluszki. Głosy krytyczne wyrażały opinię, że w ten sposób wyda się, zdradzi” nasze miejsce w Galaktyce, a nie wiadomo, czy istoty pozaziemskie będą nastawione do nas przychylnie. Może wykorzystają nasze sygnały jako drogowskaz i napadną na nas. Potem umieszczą nas w swoim jadłospisie jako specyficzny smakołyk albo zamkną w klatkach swoich ogrodów zoologicznych jako egzotyczny gatunek.

Od dziesięcioleci cywilizacja ziemska wysyła sygnały radiowe i telewizyjne na wszystkich zakresach fal. Sygnały te mogą być bez trudu odebrane przez istoty pozaziemskie. Nawet oddalone od nas o całe lata świetlne. Na smakołyki dla pozaziemskich smakoszy raczej się nie nadajemy. Przed 17 laty pisałem:

106

„Naprawdę nie grozi nam niebezpieczeństwo, że znajdziemy się w jadłospisach istot pozaziemskich, bo — byłoby to za kosztowne. Zbyt wielki byłby koszt energii koniecznej do przetransportowania nas do innego systemu słonecznego, a energii nigdzie nie ma za darmo. Gdyby istoty pozaziemskie rzeczywiście odczuwały rozkosz przy jedzeniu ludzi, nie odlatywałyby do domu po zapakowaniu nas do konserw. Hodowałyby nas jako delikates na miejscu. Byłoby to tańsze i prostsze, bo wystarczyłoby wrzucić do zamrażarki parę kompletnych komórek ludzkich. My także nie zbieramy pieczarek w lasach i na łąkach — uprawia się je w pieczarkarniach. Homarów i łososi nie łowi się na pełnym morzu — hoduje się je w morskich

fermach. Co to znaczy? Że istoty inteligentne na wysokim poziomie rozwoju na pewno nie są ludojadami" [103].

Agresja na świat zamieszkały przez inteligentne formy życia czyjego aneksja jest tabu. Istoty pozaziemskie nie będą się mieszały nietaktownie w rozwój obcych inteligencji. Inteligencje te będą „prowadzone” delikatnie, ostrożnie i stosownie do epoki. „Prowadzeni” będą inspirowani, ich proces myślenia będzie odpowiednio nakierowywany — nikt nie będzie ich walił po głowie. A kto myśli, że istoty pozaziemskie zechcą zaksięgować Ziemię jako zdobycze terytorium, niech pomyśli o nieskończonych przestrzeniach Wszechświata, w których krążą miliardy planet.

Międzygalaktyczne wyprawy zbójckie nie będą na dłuższą metę korzystne nawet dla najdzikszych istot pozaziemskich. W każdym świecie powstają specyficzne formy życia. Są one wprawdzie spokrewnione, ale nie takie same. Zdobywcy mieliby problemy z osiedleniem się na dobrej, starej Ziemi, nie mogliby się cieszyć sukcesem. Nie mogliby mieszkać u „Ritza” w Paryżu ani pluskać się w luksusowych basenach na Hawajach. Nawet gdyby istoty pozaziemskie były człokokształtne (jeszcze do tego wróć), to przecież w ich ojczystym świecie istniałyby bakterie i wirusy inne od naszych. Pozwolę sobie przypomnieć, że pierwsi lunonauki byli poddani po powrocie kwarantannie — z obawy przed zarażeniem ludzkości niebezpieczną, nieznaną księżycową bakterią.

Nawet sceptycy rozumieją, dlaczego załogi UFO nie organizują (jeszcze) masowych przelotów nad obszarami gęsto zaludnionymi. Jak zachowywalibyśmy się my sami badając zwyczaje rzadkich zwierząt? Życie ptaków rejestrujemy przy pomocy mikrofonów kierunkowych i teleobiektywów. Nie straszymy ani nie płoszymy zwierząt. Z odległości obserwujemy zachowania godowe i lęgowe ptaków, nagrywamy ich swiergot na taśmę i dopiero później, w laboratorium próbujemy to zrozumieć.

107

Barney stał kilka metrów od samochodu. Betty, siedząca w środku, zawołała przez otwarte drzwiczki: „Wracaj!”. UFO było tak blisko, że wypełniało całe pole widzenia lornetki. Po drugiej stronie „okna” Barney ujrzał postać patrzącą mu prosto w oczy i kierującą nań nieokreślony przedmiot. Poczł instynktownie, że to dowódca. Ogromne oczy i dziwna twarz obcego tak go przerażyły, że opuścił lornetkę. Obiekt znajdował się w odległości 25 m, postacię po drugiej stronie „okna” było widać wyraźnie gołym okiem.

W końcu Barney zrozumiał, że nie ma to nic wspólnego z lotnictwem USA. Wpadł w panikę. Krzycząc „Chcą nas złapać! Chcą nas porwać!”

rzucił się szczupakiem do samochodu. Betty, zaniepokojona niebezpieczeństwem grożącym mężowi, nie przyjmowała do wiadomości istnienia UFO. Barney wrzucił jedynekę i ruszył jak szalony. Gestykulując gwałtownie i śmiejąc się histerycznie powtarzał bez przerwy: „Chcą nas porwać!”.

Około 45 km na południe od Indian Head, na wysokości Ashland Betty Hill po raz pierwszy zapytała męża: „Wierzysz w UFO?”. Barney trochę się już uspokoił, odparł więc: „Nie rozśmieszaj mnie! To było UFO!”. Prawie w tej samej chwili oboje usłyszeli dziwny dźwięk, nakładający się na wibrację samochodu. Dźwięk zdawał się dobiegać z bagażnika. Było to ciągle „piiip, piiip”. Potem dźwięk ucichł, aby zabrzmieć znowu, ale już w innym rytmie: „p-i-i-p~p-i-i-p, pip, pip, pip, pip”. Siedzący za kierownicą Barney próbował dojrzeć UFO. Potem poprosił żonę, żeby wyjrzała przez okno. Betty nie zobaczyła nic. Barney zawołał, żeby spojrzeła jeszcze raz, czy nic nie ma nad samochodem. Ale Betty nic nie dostrzegła — nawet gwiazd, które przed chwilą było jeszcze widać. Barney zaczął histeryzować: „Na pewno są nad nami!”. Betty jeszcze raz wychyliła się przez okno i powiedziała: „Nic nie ma. Nad nami jest całkiem ciemno!”. „Pip” dochodziło z dachu samochodu, auto wpadło w dziwne drgania...

Chwilę później w samochodzie zrobiło się cicho. Barney zaczął się zastanawiać, gdzie są? W pamięci coś mu kołatało. Zdawało mu się, że spał, że był gdzie indziej. Ale przecież cały czas siedział za kierownicą. W światłach samochodu pojawił się drogowskaz „Concord — 17 mil”. „Przynajmniej wiemy, gdzie jesteśmy” — westchnęła Betty. Uspokoił się. Przeżyli spotkanie z UFO, ale nie chcieli o tym mówić. Wszystko było tak nieprawdopodobne, nierealne i abstrakcyjne. Betty poczuła chęć na filiżankę kawy, ale wszystkie przydrożne knajpki były pozamykane. Zdziwiła się, bo знаła kilka otwartych zawsze do drugiej w nocy.

110

Minęli Concord, mówili niewiele, pogrążeni w rozmyślaniach. Barney skręcił na drogę nr 4 do Portsmouth. Gdy jechali przez miasteczko, zaczynały ćwierkać ptaki, brzask rozświetlał domy. Podczas jazdy małżonkowie spoglądali oczywiście co pewien czas na zegarki. Zdziwiło ich, że były zepsute. Przyjechawszy do domu spojrzeli na zegar w kuchni.

Dopiero teraz zrozumieli, że po drodze zgubili okrągłe dwie godziny życia. I 35 mil.

Pijąc w kuchni kawę zaczęli sobie w końcu opowiadać, co każde

widziało, myślało i czuło. Po zetknięciu z UFO na drodze i usłyszeniu „pip-pip” przez następne 45 km nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Ale oboje zgadzają się co do jednego — że widzieli znak drogi nr 93 i drogowskaz „Concord — 17 mil”. Nie wiadomo dlaczego Barney poczuł, że musi obejrzeć sobie podbrzusze. Poszedł do łazienki, ale nie zauważył nic niezwykłego. Betty zaś czuła się „nieczysta”, ona również stanęła przed lustrem w łazience i obejrzała dokładnie całe ciało. Co się zmieniło — tylko co?

Małżonkowie postanowili nie mówić nikomu o zdarzeniu. Ich myśli i odczucia za bardzo się od siebie różniły. Barney, pracujący na poczcie, obawiał się, że ludzie będą się z niego śmiać. Może w ciągu kilku tygodni uda się znaleźć jakieś wytłumaczenie dla tego szczególnego pojazdu niebiańskiego i sami się będą śmiać ze wszystkiego w gronie przyjaciół.

Przez kilka następnych dni nie rozmawiali o zdarzeniu. Zmienili się. Barney popatrywał tępo przed siebie, miał trudności z koncentracją, coś go gryzło, wciąż kazało myśleć o nocnej przygodzie. Betty nie czuła się lepiej, nocą często spoglądała z obawą w niebo, w domu zamykała wszystkie drzwi. Jej pogodny dotąd nastrój ustąpił miejsca niepewności. Do tego oboje dręczyły koszmarne sny. Kiedy Barneya coraz częściej zaczął boleć żołądek, zgłosili się na badania do kliniki w Exeter, do swojego domowego lekarza. Ten po kilku wizytach skierował ich do specjalisty, dr. Duncana Stephensa. Dopiero jemu małżonkowie opowiedzieli o nocnej przygodzie. Kiedy po roku nie było żadnej poprawy, dr Stephens zaproponował ściągnięcie na konsultację swojego kolegi, znanego bostońskiego psychiatry dr. Benjamina Simona. Dr Simon był autorem nowej, specjalistycznej terapii, która uczyniła go sławnym. Dzięki zastosowaniu hipnozy udało mu się uwolnić większość swoich pacjentów od myśli natrętnych.

Terapia u dr. Simona trwała w sumie pół roku — niejako przy okazji wyszły na jaw sprawy wręcz niewiarygodne. Lekarz zapytał pacjentów, czy zgadzają się poddać hipnozie. Przyjmował Betty i Barneya osobno, a ich wypowiedzi nagrywał na magnetofon. Już porównanie pierwszych nagrań potwierdziło prawdziwość tego samego przeżycia z dwóch

różnych punktów widzenia. Dr Simon puszczał też małżeństwu nagrane już taśmy. Hillom powoli wracała pamięć. Opisy przekazane w stanie hipnozy zaczęły pasować do łamigłówki.

Wiosną 1967 roku, wkrótce po wydaniu książki Johna G. Fullera *The Interrupted Journey* [145], w której opublikowano opis przygody Hillów, w ich domu wraz z dr. Simonem pojawił się prof. dr Allen Hynek. Po

kolacji dr Simon zapytał małżonków, czy zechcą poddać się hipnozie, bo prof. Hynek — wyrocznia w sprawach UFO — chce zadać im parę pytań, gdy będą w transie. Małżonkowie wyrazili zgodę. Ale podchwytliwe pytania Hynka potwierdziły tylko prawdziwość ich relacji.

Dziesięć lat później, 23 lutego 1977 roku, byłem gościem Betty Hill. (Barney zmarł 25 lutego 1969.) Ujrzałem uprzejmą i skromną panią w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, która z głębokim przekonaniem przedstawiła mi swoje przeżycia z 19 września 1961 roku. Po tak wielu latach nie udało się jej jeszcze uporać z tym problemem. Zdarzenie pozostawiło głębokie blizny w jej psychice, która zmieniła się w widoczny sposób. Od tamtej pory Betty Hill zaczęła wszędzie widzieć UFO. Wydawało się jej, że za wzgórzem znajduje się baza niezidentyfikowanych obiektów latających. Za UFO brała widoczne z oddali światła samochodów. Psychologizujący przeciwnicy UFO wykorzystali anomalie w jej zachowaniu, argumentując, iż dowodzą one tylko tego, że żona Barneya nigdy nie miała dobrze w głowie. Pomieszano skutek i przyczynę. Podczas spotkania Betty Hill podarowała mi książkę z wielką mową, mądrą dedykacją: „Niechaj bogowie pozwolą panu dowiedzieć się wszystkiego, czego chce się pan dowiedzieć!”.

Co działo się przez te zaginione dwie godziny? Czego wypierali się wobec siebie małżonkowie? O czym — na rozkaz nieznanych przybyszów — mieli zapomnieć?

Niesamowita prawda

W hipnozie Barney powiedział, że UFO zmieniło kolor, z pojazdu wysunęła się jakby „rampa”. Dwie nieznane istoty o ogromnych oczach, niewielkich otworach nosowych i małych ustach pomogły mu wysiąść z samochodu. Barney bał się, lecz mimo to był odprężony. Obcy poprowadzili go przez „rampę” do drzwi o dziwnym wyglądzie. Kiedy zamknął oczy, jedna z nieznanych istot mówiąca z silnym angielskim akcentem powiedziała, że nie ma się czego obawiać, bo nic mu się nie stanie. Wewnątrz UFO nadal miał zamknięte oczy. Czuł, że obce istoty go obmacują, czyjś palec przejechał mu po kręgosłupie. Położono go na

stole (desce?) i przewracano. Słyszał, że do pomieszczenia weszło wiele istot, które rozmawiały posługując się nieznanymi głoskami. Ktoś dotknął jego ust, rozwarło mu szczękę, wyjęto protezę. Czyjaś ręka złapała Barneya za ramię i ścierała czymś skórę. Rozburzono mu włosy na głowie, obmacano uszy, oczy i czubki palców. Dotykano pępka, genitaliów. Barney poczuł, że w podbrzusze wbito mu delikat-

nie igłę.

Potem ktoś próbował założyć mu z powrotem buty. Barney zszedł ze stołu, na którym go badano. „Było mi lekko, bo wiedziałem, że wszystko mam już za sobą” [l 18]. Dwie obce istoty sprowadziły go po rampie, gdzie — na świeżym powietrzu — Barney otworzył oczy. Na końcu uliczki ujrzał samochód. Światła były zgaszone, choć pamiętał, że ich nie wyłączał. Zbulwersowany otworzył drzwiczki i usiadł na kluczu do zmiany kół, którego tam przedtem nie było. Zdziwił się i położył go na podłodze. Potem przez przednią szybę zobaczył idącą Betty. Betty podeszła i usiadła obok Barneya.

Pod działaniem hipnozy Betty Hill przypomniała sobie, że odzywała się tylko jedna z istot. Mówiła z obcym akcentem, ostro i zdecydowanie. „Tam była rampa, poprowadzili Barneya obok mnie po rampie. Powiedziałam: 'Co z nim robicie, przyprowadźcie go do mnie z powrotem'." Istota z obcym akcentem odpowiedziała pytaniem: „On ma na imię Barney?”. Potem wyjaśniła, że nie mogą wejść razem do środka, bo wszystko trwałoby za długo. Barney czuje się dobrze, a jak badanie się skończy, oboje wrócą do samochodu. Betty powiedziała, że widziała, jak Barneya z zamkniętymi oczami wprowadzono do środka. Później i ją zaprowadzono do środka i posadzono na wygodnym, białym krześle. Do pomieszczenia weszło wiele nieznanymi istot, które oglądały ją ze wszystkich stron. Skóra istot była szarawa, ich dowódca miał na sobie ubranie z materiału przypominającego czarną, lśniącą skórę i czarne nakrycie głowy. Betty bała się oczu obcych istot. Oczy te były wielkie i czarne jak smoła. Oto nagrana przeze mnie wypowiedź Betty Hill:

„Pomieszczenie było okrągłe, przywodziło na myśl naleśnik albo tort weselny. Miało potężny filar nośny w centrum. Do środka weszła istota mówiąca po angielsku oraz jeszcze jedna, niosąca jakieś dziwne urządzenie. Myślałam, że jest to aparat fotograficzny z obiektywem o wielkich soczewkach. Myślałam nawet, że będą mnie fotografować. Potem ten, którego nazywam 'lekarzem', wziął coś przypominającego nóż do listów i zaczął mnie tym drapać po ręku. Potem kawałeczki mojej skóry zapakowali w coś — jakby w przezroczysty celofan”.

Betty pamiętała, że położono ją na stole diagnostycznym, a „lekarz” wbił jej w pępek bardzo cienką igłę. Poczowała ból, zaczęła płakać. Wtedy dowódca przyłożył jej rękę do oczu i ból natychmiast ustąpił. Istoty rozmawiały ze sobą, ale Betty nie potrafi określić, jak długo.

Na koniec nieznanne istoty opuściły pomieszczenie — pozostała tylko jedna, mówiąca po angielsku. Betty zrozumiała, że badanie już się skończyło, poczuła się lżej i nieco pewniej — powiedziała do istoty, że w domu na pewno nikt nie uwierzy w to, co tu przeżyli, jeżeli nie będzie miała czegoś na dowód. Obcy zapytał ze śmiechem, co chciałyby wziąć? Betty wskazała na niewielką płytkę, wyglądającą jak okładka książki pokryta znakami dziwnego pisma. W tym momencie znowu wszedł „lekarz” trzymając w palcach protezę Barneya. Próbował też wyjąć zęby Betty, ale mu się to nie udało, bo nie miała protezy.

Później Betty zapytała istotę mówiącą po angielsku, skąd przybyła — istota pokazała jej trójwymiarową mapę nieba z wieloma punktami i świecącymi kulami. Niektóre były połączone liniami różnej grubości. Obcy powiedział Betty, że częścią tego systemu jest również Słońce. Betty nie miała zielonego pojęcia, gdzie go szukać. Istota stwierdziła nieco sarkastycznie, że nie warto nawet mówić Betty, skąd przybywają, skoro nie potrafi określić pozycji Słońca. Widząc masę punkcików na mapie nieba Betty zapytała, co oznaczają większe i mniejsze kule, połączone liniami. Obcy odpowiedział nieco zarozumiale, że grubsze linie to drogi handlowe, cieńsze oznaczają trasy doświadczone.

Potem obcy znów *zaczęli* o czymś rozmawiać, po czym istota mówiąca po angielsku stwierdziła lakonicznie, że Betty musi koniecznie o wszystkim zapomnieć. Betty upierała się, krzyczała, w końcu powiedziała, że zrobi wszystko, żeby nie zapomnieć o niczym, co tu widziała. Poza tym jest przecież wielu ludzi znacznie ważniejszych od niej. Ofiarowała się nawiązać z nimi kontakt. Ale obcy nie zgodzili się na to. W końcu Betty wyprowadzono z UFO. Poszła do samochodu stojącego w świetle księżyca.

To były najważniejsze elementy przygody Barneya i Betty Hillów. W latach sześćdziesiątych i z początkiem siedemdziesiątych sprawa narobiła wiele hałasu, na jej tle powstało wiele kontrowersji. Po wydaniu książki Johna Fullera [145] małżonkowie Hill występowali w licznych *talk-shows*. Wielokrotnie poddawani hipnozcie i brani w krzyżowy ogień pytań, powtarzali jednak stale to samo.

Analiza

Gdy spojrzeć na to zdarzenie z perspektywy trzydziestu lat, wydaje się

na zdrowy rozum, że przeciw opowieściom małżonków Hill przemawia więcej niż za. Oto rozsądne argumenty przeciw:

1. To po prostu szwindel ukartowany przez Hillów dla osiągnięcia popularności. Motyw: chęć zdobycia rozgłosu, wyrwania się z szarej codzienności i znalezienia na pierwszych stronach gazet.
2. Betty dręczyły koszmarne sny. Tak długo opowiadała je Barneyowi, aż stały się dla obojga rzeczywistością.
3. Domniemane istoty pozaziemskie przypominały swoim wyglądem ludzi, mogły też przebywać w atmosferze ziemskiej bez masek. Nie obawiały się ziemskich bakterii i wirusów.
4. Obce istoty miały na sobie jakby mundury. Świadczy to — też mi argument! — o załodze ziemskiej.
5. Medycyna pozaziemska była bardzo niedoskonała. Prawdziwe istoty pozaziemskie zastosowałyby na pewno aparaturę diagnostyczną znacznie nowocześniejszą od igły i jakichś skrobaczek do skóry.
6. W nocy z 19 na 20 września nie zaobserwowano w tym rejonie innych UFO.
7. Opis UFO i jego pasażerów nie pokrywa się z opisami naocznych świadków innych przypadków UFO.
8. Małżonkowie Hill nie przedstawili żadnych obiektywnych dowodów zdarzenia.

A więc humbug? Oszustwo, kłamstwo lub co najwyżej złuda?

Wzorek haftowany przez antyufologiczne lobby jest zawsze taki sam. Znajduje się dwie, trzy sprzeczności lub niepewne punkty, wzdycha i zostawia wszystko w spokoju. Ach, jacyż jesteśmy inteligentni! Ani śladu głębi i niekłamanej chęci spojrzenia na takie fenomeny z różnych perspektyw. Pierwszoklasista mówi do nauczyciela: „Wiem, że dwa a dwa jest cztery! Ale dlaczego?”.

Też chciałbym wiedzieć dlaczego. Jak to się dzieje, że para małżeńska

1. nieposzlakowanej reputacji zaczyna nagle łąć tak głupio? Małżonkowie zauważyliby na pewno, że ich zachowanie nie da się niczym usprawiedliwić. Że ich oszustwo wyjdzie na jaw najpóźniej z chwilą rozpoczęcia terapii hipnotycznych. Jak udało im się kontynuować wymyśloną historyjkę nawet wtedy, gdy do zbierania materiałów o ich przygodzie zabrał się tak krytycznie nastawiony dziennikarz jak John G. Fuller? Gdy w krzyżowy ogień pytań wziął ich prof. dr Allen Hynek
2. inne tęgie głowy? Najpóźniej w tym momencie małżonkowie Hill musieliby sobie uświadomić, że uporczywymi kłamstwami świadomie

wprowadzają w błąd opinię publiczną. Gdyby jednak przygoda małżonków Hill *zdarzyła się* dziś, patrzylibyśmy na nią zupełnie inaczej. Ale po kolei:

Ad 1. Zmyślona historia. Barney Hill był zażartym przeciwnikiem UFO, jednym z tych, którzy nie chcą nawet słyszeć o idiotyzmach tego rodzaju. Poza pracą na poczcie był członkiem gubernatorskiej komisji praw obywatelskich w New Hampshire. Betty również pracowała w służbie państwowej — była pracownicą opieki społecznej. Posiadała *master's degree*. Małżonkowie nie byli samotnikami. Nie pragnęli rozgłosu. Tak misterne i rozbudowane kłamstwo było nie do pogodzenia z ich skromnością i charakterem.

Ad 2. Koszmarne sny. Dręczyły i Betty, i Barneya — ale dopiero po spotkaniu z UFO. Dr Simon, który przez wiele miesięcy badał i poddawał hipnozie małżonków, wykluczył możliwość kłamstwa, halucynacji czy koszmarów sennych.

Ad 3. Podobieństwo nieznanym istotom do ludzi. Najpierw kilka istotnych uwag: Prawie nikt nie wątpi już w duże prawdopodobieństwo istnienia inteligentnego życia we Wszechświecie. Wielu laików jest jednak zdania, że pozaziemskie życie musiało ewoluować w inny sposób niż nasze. „Ewolucja nie gra dwa razy tej samej gry” [149]. Twierdzenie to jest prawdziwe i nieprawdziwe *zarazem*. We Wszechświecie mogą istnieć formy życia, których nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić w najśmielszej fantazji. Mogą być na przykład formy życia mające strukturę gazu albo kryształu. Gatunki inteligentne wydające się nam duchami, nie mające nic wspólnego z naszą budową biologiczną.

Za to na planetach, gdzie istnieją umożliwiające powstanie życia warunki podobne do tych, jakie istniały niegdyś na Ziemi, po długim procesie ewolucji powstaną istoty człekopodobne, bo ewolucja dopuszcza całe sekwencje form koniecznych. Tak więc rozwój form życia od wodnych do lądowych nie jest przypadkowy. Aby wyjść na ląd, trzeba tylko mieć inne kończyny niż ryby. Prawa dotyczące „zmiany podwozia” obowiązują nie tylko na Ziemi. Wszystkie ziemskie zwierzęta mają „aparaturę” służącą do jedzenia z przodu a do wydalania z tyłu. Najważniejsze zmysły i narządy chwytne są z przodu — trzeba wszak móc wyczuć to, co się chwytą. Także siedziba szarych komórek, którym podobnie jak zwierzęta zawdzięczamy możliwość myślenia, znajduje się bardzo blisko oczu.

Prof. dr Roland Puccetti, który przez lata zajmował się tą tematyką i zgromadził setki przykładów ewolucji, doszedł w zakończeniu swojej emocjonującej książki do następującego ustalenia:

„Wnioskuje więc, że inteligentne, pozaziemskie istoty w całym

Kosmosie muszą być w większości podobne do *Homo sapiens*”, [1 50]

Nie jest to pogląd osamotniony. Współcześni myśliciele zajmujący się problematyką SETI coraz częściej dochodzą do takiego samego wniosku [151, 152]. (SETI jest pojęciem z dziedziny nauki, skrótem od *Search for Ex.traterrestrial Intelligence* — poszukiwanie inteligencji pozaziemskiej.)

Nieważne jest przy tym, czy życie na Ziemi rozwinęło się samo z siebie, czy dotarło tu w kosmicznym pyłe, jak twierdzi laureat nagrody Nobla Francis Crick [153]. W obu przypadkach na planetach podobnych do Ziemi powstaje istota człekopodobna. Sir Fred Hoyle, angielski astrofizyk światowej sławy, twierdził nawet, że człowiek jest tylko powtórny pojawieniem się formy życia istniejącej już kiedyś we Wszechświecie. Ta nieznana forma życia rozłożyła swój materiał genetyczny na „klocki” [129, 154], a te „cegiełki” albo kompletny materiał genetyczny mogą w ustalony wcześniej sposób zapoczątkować życie na planecie podobnej do Ziemi. Autorzy prac naukowych, Yiktor Farkas i Peter Krassa, poszli o krok dalej. W popularnonaukowej książce *Uczyńmy człowieka* udowodnili na podstawie kombinacji przekazów mitologicznych i nowoczesnej techniki genetycznej, że istoty pozaziemskie mogły zmienić kod genetyczny prymitywnego praczłowieka „na obraz i podobieństwo swoje” [155].

Tym samym istoty pozaziemskie podobne do ludzi przestają być czymś nadzwyczajnym — stają się normą.

Ad 4. Czy nieznane istoty były ziemskiego pochodzenia? Od 20 lat jak widma pojawiają się w piśmiennictwie ufologicznym broszury i traktaciki, w których różni cwaniacy starają się wmówić naiwnej klienteli, że UFO są ziemskiego pochodzenia i że początkowo były produkowane przez nazistów. Oczywiście jako projekt supertajny [156]. Ta pseudoliteratura jest tak bezsensowna, że nie będę się nią w ogóle zajmował. Gdyby zespół badający małżonków Hill składał się z ludzi, badanie byłoby zbędne. Bo ludzie zazwyczaj wiedzą, jak wyglądają ludzie.

Ad 5. Czy pozaziemska medycyna jest niedoskonała? Skąd możemy o tym wiedzieć? Nie mamy pojęcia, przy pomocy jakich urządzeń badano Barneya i Betty. Igła, którą jej wkłuto w pępek, mogła mieć zupełnie inne funkcje niż nasze igły. „Dowódca” w relacji Betty Hill przysunął rękę przed jej oczy — to wystarczyło, aby

ją znieczulić. Czy potrafimy zrobić coś takiego?

Ad 6. Tej nocy nie zaobserwowano innych UFO.

A czy ktoś w ogóle prowadził obserwacje? Czy przekazał wiadomość,

117

jeśli nawet ujrzał UFO? Poza tym, w czasach prehistorycznych opisywano statki kosmiczne, które „stawały się niewidzialne”. Nawet nasza technika wojskowa zna już „niewidziany bombowiec”.

Ad 7. Opis UFO i jego załogi nie pokrywa się z innymi wypowiedziami na ten temat. Komu to przeszkadza? Wśród załogi i pasażerów transatlantyka znajdują się przedstawiciele różnych ras. Ludzie o czarnej barwie skóry, białej, żółtej, a może i potomkowie Siuksów. Wśród załogi „rozrywkowej” może być liliput, a dyrygent orkiestry ma 2,1 m wzrostu. Jedni członkowie załogi są grubi, inni chudzi, pasażerowie zaś ubierają się wedle najbardziej zwariowanej mody. Wyobraźmy sobie teraz prawdziwego Aborygena z Australii — takiego, który żył jeszcze przed stu laty — i zaprośmy go na pokład. Jak opíše współplemioncom zdumiewające istoty ujrzane na pokładzie czarodziejskiego statku? Jasne? „Wielu ludziom wydaje się, że myślą, a tymczasem układają tylko na nowo swoje uprzedzenia” — napisał niegdyś amerykański filozof William James (1842-1910). Mam przed sobą najświeższy numer francuskiego czasopisma ufologicznego [157]. Przedstawiono w nim rysunki i dokładne opisy 122

— słownie: stu dwudziestu dwóch! — różnych typów UFO. Kto ograniczy się do jednego typu? Ziemska technika wojskowa też zna różne typy samolotów.

Ad 8. Brak obiektywnych dowodów. Małżonkowie Hill nie wzięli nic z UFO. A więc wszystko to tylko kłamstwo i urojenia, chęć wywyższenia się w oczach innych i szarlataneria ludzi próbujących wykorzystać każdą okazję do wymyślania bzdur o jakichś kosmitach? A może przeoczyliśmy w tej historii coś istotnego? Proszę uważać

— teraz się zacznie!

Skarb ukryty w ludzkiej pamięci

Betty utrzymywała w swojej relacji, że jedna z istot pokazała jej „mapę nieba” z wieloma punktami. Wśród gwiazdozbiorów Betty ujrzała 15 większych i mniejszych kuł, połączonych liniami. W hipnotycznym transie sprecyzowała, że mapa była „trójwymiarowa” i że

wydawało się jej, że „patrzy przez okno” [120]. Kule były „czerwone i świeciły”. Mimo trójwymiarowości mapa nieba była „płaska”. Kto widział hologram, wie, o co chodzi.

Betty, która stała nieruchomo mniej więcej 90 cm od mapy, ocenia, że miała ona „trzy stopy szerokości i dwie wysokości” [158]. Gdyby się

118

poruszyła, ujrzałaby holograficzny wycinek mapy z innej perspektywy. Uważna obserwatorka nie spostrzegła na mapie żadnych skupisk materii gwiazdnej, jak na przykład nasza Droga Mleczna. Zapamiętała za to czerwone kule połączone liniami. W pamięci utkwily jej dwa obrazy: trzy kule tworzące trójkąt równoramienny w lewym dolnym rogu mapy i dwie większe kule znajdujące się jedna za drugą i połączone wieloma liniami. Betty: „Nie było współrzędnych ani siatki” [159]. Jedna z istot powiedziała Betty, że Słońce jest „częścią składową układu ciał niebieskich połączonych liniami”, ale Betty nie wiedziała, która z kul symbolizuje Słońce.

Później Betty w stanie posthipnotycznym wielokrotnie rysowała wspomnianą mapę nieba — za każdym razem mapa wyglądała tak samo. Działo się to wiosną 1964 roku. Zapamiętajmy tę datę.

Czy skąpe wypowiedzi i niepewny szkic mogą być podstawą jakichkolwiek analiz? Od czego zacząć?

Piszę te słowa przy hotelowym basenie. W okręgu o średnicy 500 metrów jest około 80 parasoli plażowych. Słońca nie widać, więc parasole są poskładane. Nie stoją one w równej odległości od siebie. Raz tworzą skupiska, raz stoją samotnie, a potem znów kilka parasoli tworzy szereg. Każdy z nich ma na szczycie kolorową chorągiewkę. Z miejsca, gdzie siedzę, widać, że chorągiewki tworzą nieregularny wzór, który wszakże po dłuższej obserwacji zaczyna się nawet wydawać znajomy. Kiedy przeniosę się kilka metrów dalej, wzór się zmieni. Każda zmiana położenia unaoczni nowe układy. Parasole pozostają na swoim miejscu — poruszam się tylko ja. A kiedy stanę w środku barwnej kolekcji, to otaczająca mnie kompozycja znów będzie wyglądała zupełnie inaczej.

Podobnie rzecz się ma z trójwymiarową mapą widzianą przez Betty Hill. Wraz ze zmianą miejsca prowadzenia obserwacji, zmieniał się obserwowany wzór. Czy układ przypadkowych miejsc, w jakich stały parasole, można przyrównać do mapy nieba Betty Hill?

Eksperyment może by się udał, gdybym spośród 80 parasoli usunął 65

— pozostawiając tylko te, które odpowiadają przedstawionej konstelacji gwiazdnej. Byłoby to oczywiście nieuczciwe. Chyba że owe 65 parasoli usunęłyby się wedle wcześniej ustalonych kryteriów. Ale jakie kryteria zastosować? Dlaczego miałbym usuwać na przykład parasole z zielonymi albo z żółtymi chorągiewkami?

Ale nie zapominajmy o trzech istotnych wskazówkach, jakie dała nam Betty Hill:

1. Słońce jest częścią składową układu ciał niebieskich połączonych liniami.

1. Liczne linie łączące dwie kule leżące na mapie jedna za drugą są — wedle słów istoty pozaziemskiej — drogami handlowymi.
2. Istoty pozaziemskie były „podobne do ludzi”.

Przypomina to równanie algebraiczne z trzema niewiadomymi. Mimo skąpej ilości danych można przy odrobinie przenikliwości dojść do rozwiązania. Na mapie nieba narysowanej przez Betty Hill jeden z punktów połączonych liniami symbolizuje Słońce. Znajdźmy największą odległość dzielącą dwa punkty na mapie. Odległość ta musi być — co najmniej! — tak duża jak odległość od Słońca do najbliższej gwiazdy stałej. Dlaczego?

Gwiazdą najbliższą Słońca jest Proxima Centauri, czerwony karzeł, towarzysz Alpha Centauri, znajdujący się w odległości 4,28 roku świetlnego od nas (Alpha Centauri o 4,34 roku świetlnego). Jest osiem gwiazd, oddalonych od Ziemi o mniej niż 10 lat świetlnych. Gdyby Słońce było częścią składową układu widzianego przez Betty Hill, to najbliższy mu punkt znajdowałby się w odległości nie mniejszej niż 4,28 roku świetlnego, bo nie ma bliższej gwiazdy.

Tak znajdujemy pierwszą niewiadomą: najmniejsza odległość na mapie naszkicowanej przez Betty Hill wynosi 4,28 roku świetlnego. Teraz tę „najmniejszą odległość” trzeba odnieść do skali mapy nieba, aby się zorientować, że największa odległość, dzieląca punkt z lewej strony od punktu z prawej, wynosi w najlepszym razie 55 lat świetlnych. Wycinek mapy nieba widziany przez Betty Hill przedstawia obszar obejmujący 55 lat świetlnych od Słońca. Jasne?

W okręgu o średnicy 55 lat świetlnych świeci około tysiąca gwiazd. Jeden procent to olbrzymy, osiem procent — karły. Olbrzymy i karły możemy wykluczyć, bo nie mogą one być ani częściami składowy-

mi „dróg handlowych”, ani „planetami badawczymi”. Które z pozostałych gwiazd znajdujących się w tym okręgu nie wchodzi jeszcze w rachubę?

Astronomowie klasyfikują gwiazdy według jasności, wielkości, masy, trwania etc., przydzielając im określone litery i liczby. Lista rozpoczyna się od A-0, A-1, A-2 itd., potem jest grupa B, aż do klasyfikacji M. Nasze Słońce jest typem G-2 o okresie trwania jedenaście bilionów lat. Przypomnijmy sobie: istoty widziane przez państwa Hillów były podobne do ludzi. Znaczący to, że ich słońce nie powinno się zbyt różnić od naszego — inaczej nie powstałyby takie właśnie formy życia. Ziemska forma życia nie przeżyłaby na hipotetycznej planecie krążącej wokół czerwonego olbrzyma, białego karła czy gwiazdy podwójnej.

120

Załóżmy, że ludzie mogą dolecieć do każdej planety Układu Słonecznego. Dokąd polecilibyśmy? Na Merkurego? Bez sensu! Merkury krąży w średniej odległości 58 mln km od Słońca, Ziemia zaś — 149,5 mln km. Ze względu na niewielką odległość od Słońca Merkury jest planetą gorącą. Jego masa jest równa 0,056 masy Ziemi, średnica — śmieszne 4 878 km. Czego mielibyśmy tam szukać? Temperatura na powierzchni Merkurego wynosi w południe około 600°C, na stronie odwróconej od Słońca około -180°C. Merkurego można skreślić z listy wypraw w obrębie Układu Słonecznego.

A Wenus? Choć radzieckie sondy kosmiczne odkryły tam góry, a planeta jest ukryta pod nieprzenikloną warstwą chmur, to na jej powierzchni panują temperatury przekraczające 400°C. Cóż mielibyśmy tam robić? Wyparować?

Kolejny kandydat to Mars. Okrąży Słońce w średniej odległości 228 mln km. Dzień marsjański trwa 24 godziny, 37 minut i 23 sekundy. Rok — 687 dni. Według informacji przekazanych przez amerykańskie sondy Mariner, ciśnienie na powierzchni Marsa wynosi 6 mb [160]. Odpowiada to ciśnieniu atmosfery ziemskiej na wysokości 30,5 km.

Mimo to warunki marsjańskie są najbardziej zbliżone do ziemskich i warto byłoby tam polecieć. Na Marsie musielibyśmy się wprawdzie poruszać w skafandrach kosmicznych, moglibyśmy jednak wznieść szczelne kopuły i mieszkać w marsjańskich kraterach w sztucznej atmosferze. Obliczono nawet, że z Marsa można by uczynić planetę nadającą się do zamieszkania dzięki sinicom [161]. Rośliny te mają cudowną cechę — bardzo szybko się rozrastają, a ich produktem

ubocznym jest tlen. Ale przedtem na Marsie trzeba by podnieść temperaturę. Fachowcy sądzą, że to możliwe.

Kolejną „planetą” Układu Słonecznego nie jest wcale planeta, lecz gromada kilkuset tysięcy planetoid tworzących pas między Marsem a Jowiszem. Opłacałoby się tam wyruszać tylko dla pozyskiwania surowców naturalnych.

Następna planeta, Jowisz, jest gigantem odległym od Słońca o 779 mln km. Jego masa jest 318 razy większa od masy Ziemi, atmosfera składa się głównie z wodoru i helu, a najwyższa temperatura na powierzchni wynosi w przybliżeniu 140°C poniżej zera. Na Jowiszu nie udałoby się nam przeżyć nawet w skafandrach kosmicznych. Zostalibyśmy zgniecieni na placek.

Pozostałe planety Układu Słonecznego znajdują się jeszcze dalej od Słońca. Możemy je spokojnie skreślić z naszej listy — już choćby ze względu na panującą tam temperaturę.

121

A więc w całym Układzie Słonecznym mamy tylko dwa cele wypraw załogowych — Księżyc i Mars. A i tak na obu tych ciałach niebieskich konieczne jest stosowanie skafandrów kosmicznych. Ludzie szukają sensownych celów podróży kosmicznych. Powinny tam panować warunki umożliwiające przeżycie i pracę. Istoty pozaziemskie, podobne do ludzi, myślą i analizują sytuację tak samo. Nie mają innego wyboru.

Ile opłacalnych celów podróży jest w okręgu o średnicy 55 lat świetlnych? Ile słońc, które niezbyt różnią się od naszego Słońca? Około 50. Pozostałe „parasole” przy moim basenie mogę odrzucić. Nie nadają się albo ze względu na wielkość, albo na jasność.

Z nieubłaganą logiką

Tak samo myślała latem 1969 roku pani Marjorie Fish, mieszkająca w Columbus w Ohio nauczycielka szkoły średniej, parająca się też amatorsko astronomią. Pani Fish należy do Mensa International — ekskluzywnego klubu, którego członkami są wyłącznie ludzie o ilorazie inteligencji równym co najmniej 140. Pani Fish ujrzała w gazecie szkic mapy nieba zrobiony przez Betty Hill i zaczęła się zastanawiać, przy pomocy jakiego klucza rozwikłać tę zagadkę. Betty Hill i Marjorie Fish spotkały się 4 sierpnia 1969 r. Posługując się wielkim i szczegółowym katalogiem gwiazd, jakich teraz wiele, pani Fish ustaliła kilka „reguł gry”:

1. Na mapie nieba widzianej przez Betty Hill zaznaczono „drogi handlowe” i „badawcze”. Poruszając się tymi drogami po Wszechświecie istoty pozaziemskie przestrzegałyby określonych zasad. Nie leci się od razu o 50 lat świetlnych od domu, a dopiero później bada układy słoneczne leżące znacznie bliżej.
2. Olbrzymy, białe karły i gwiazdy bardzo młode nie są celem podróży.
3. Jeśli ktoś leci do gwiazdy określonego rodzaju, to znaczy, że się nią interesuje. Byłoby nielogicznością omińnięcie czterech czerwonych olbrzymów a zatrzymanie się przy piątym.
4. Ponieważ na mapie Betty Hill znajdowało się tylko 15 punktów, z których jeden symbolizował Słońce, to w najlepszym przypadku cały ten wycinek nieba miał 55 lat świetlnych.
5. Ponieważ istoty pozaziemskie docierały do Układu Słonecznego i były podobne do ludzi, to ich ojczysty układ słoneczny musi leżeć w obrębie pasma, w którym może rozwinąć się forma życia podobna do ludzkiej. Dotyczy to wszystkich typów gwiazd od F-8 do K-5. (Ostatnio specjaliści w dziedzinie biologii kosmicznej skłaniają się ku

122

twierdzeniu, że formy życia podobne do człowieka mogą istnieć najwyżej do typu K-1.) Słońce jest typem G-2 i mieści się w paśmie od F-8 do K-5.

f) Na mapie nieba Betty Hill dwie duże kule znajdowały się jedna za drugą i były połączone wieloma liniami. Można przyjąć, że jedna z tych kul symbolizowała ojczysty układ nieznanych istot. Stosując się do powyższych reguł pani Fish eliminowała kolejne gwiazdy. Z pozostałych punktów zbudowała sześć zmiennych modeli i proszę — twardy orzech pękł! Wszystko zaczęło do siebie pasować: odległości między poszczególnymi gwiazdami, całościowy trójwymiarowy obraz, trzy gwiazdy tworzące w lewym dolnym rogu trójkąt równoramienny i dwie „gwiazdy główne”, leżące jedna za drugą i połączone wieloma liniami. Przypadek był wykluczony. Betty Hill, nie znająca się zupełnie na astronomii, zachowała w pamięci ze swojej straszliwej przygody prawdziwy skarb. Uparłszy się wziąć cokolwiek, co należało do istot pozaziemskich, wbiła sobie w pamięć trójwymiarową mapę nieba, którą naszkicowała bezbłędnie w hipnozie. Oto jednoznacznie zidentyfikowane gwiazdy. (Na liście pojawia się kilkakrotnie termin Gliese. Jest to nazwisko astronoma Wilhelma Glieseego, twórcy słynnego katalogu gwiazd. [163])

Klasyfikacja

G-2

G-5

G-2

G-8

K-1

K-0

G-2

F-6

G-1

G-5

K-2

K-0

K-0

G-5

Nazwa

1. Dżeta 2 Reticuli
2. Dżeta 1 Reticuli
3. 82 Eridani
4. Słońce
5. Tau Ceti
6. 107 Piscium
7. 54 Piscium
8. Gliese 67
9. Tau 1 Eridani

1. Kappa Fornacis
2. Gliese 95
3. Gliese 86.1
4. Gliese 59
5. Gliese 86
6. Alpha Mensae

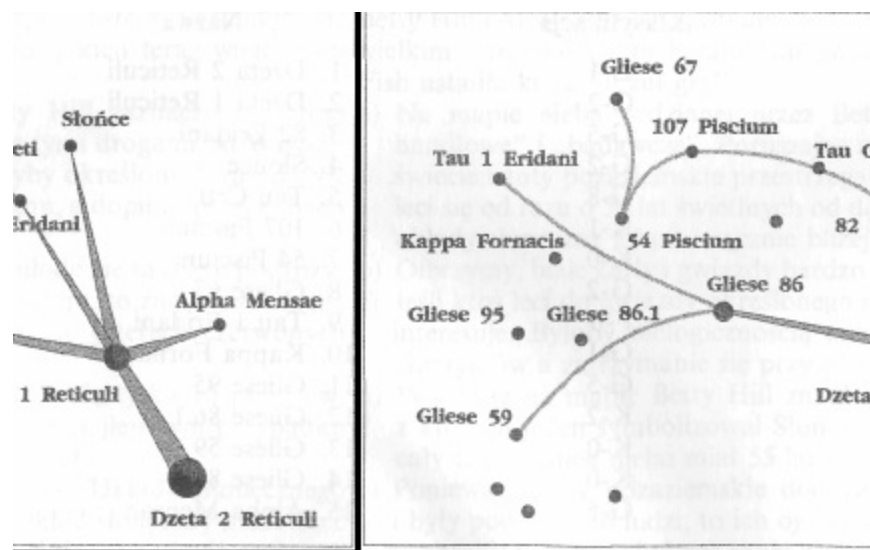
Wszystkie te gwiazdy, mieszczące się w klasyfikacji warunkującej powstanie życia podobnego do ludzkiego, leżą w obszarze o średnicy 55

lat świetlnych. W jego środku znajduje się Ziemia. „Z lewej u dołu” Betty Hill naszkicowała układ gwiazd przypominający trójkąt równoramienny. Gwiazdy te wymieniono pierwszy raz w pracy Gliese’go z 1969 roku. Przedtem poza nim samym i nielicznymi as-

tronomami nikt nie wiedział o tym układzie. Betty Hill — przypomnijmy sobie tę datę — naszkicowała mapę w 1964 roku. Pięć lat przed opublikowaniem katalogu Gliese'go. Co mówi na ten temat prof. dr Allan Hynek:

„To wszystko jest fascynujące i niewyjaśnialne. W latach 1961-1964 żaden astronom na świecie nie wiedział o trójkącie, nakreślonym przez zahipnotyzowaną Betty Hill jako geometryczny układ gwiazd” [164].

Pani Marjorie Fish przedstawiła ostateczną interpretację mapy Betty Hill prof. dr. Walterowi Mitchellowi, astronomowi z Ohio State University w Columbus w USA. Wraz ze swoimi studentami prof. Mitchell wprowadził do komputera dane dostarczone przez panią Fish. Umożliwiło to ogląd modelu na monitorze z najróżniejszych miejsc obserwacji. Ostatnie wątpliwości prysły. Szkic Betty Hill przedstawiał obejmujący 55 lat świetlnych wycinek nieba widziany z planet układu Dzeta 1 i 2 Reticuli. Są to właśnie te dwie duże gwiazdy leżące jedna za



Wycinek mapy nieba, odtworzony na podstawie szkicu sporządzonego z pamięci przez Betty Hill

124

drugą i połączone wieloma liniami. W latach 1973-1974 mapą Betty Hill zajmowali się — niezależnie od siebie — tacy astronomowie, jak Frank B. Salisbury z Uniwersytetu Utah czy David R. Saunders z Uniwersytetu Chicagowskiego. Pomijając drobne różnice, rezultat badań był identyczny z modelem Marjorie Fish.

Znamy więc już ojczyzną bazę istot pozaziemskich, które nocą z 19 na 20 września 1961 roku wzięły Betty i Barneya Hillów do swojego statku kosmicznego. Gwiazda Dzeta 1 Reticuli jest, podobnie jak Słońce, gwiazdą G-2, Dzeta 2 trochę się od niej różni — jest to gwiazda typu

G-1. (W różnych katalogach gwiazd klasyfikacja może być nieco inna.) Układ Dzeta Reticuli jest odległy od Ziemi o 56 lat świetlnych. Współczesna astronomia i biologia kosmiczna już dawno ulokowały obie te gwiazdy na czele listy układów planetarnych, na których mogły się rozwinąć formy życia podobne do ludzkich. Jakież pytania? Ach tak, w wielu broszurkach agitacyjnych przeczytałem, że sprawę dawno już wyjaśniono: UFO widziane przez Betty i Barneya Hillów było po prostu Jowiszem!

Czy wszystkich ogłupiono?

14 października 1990 roku stacja CBS nadała z Waszyngtonu program „UFO-Cover-up-Life” [128]. W trakcie emisji zadawano pytania wielu naocznym świadkom pojawienia się UFO, przedstawiono sfilmowane wcześniej wypowiedzi osób znajdujących się w stanie hipnozy, inni świadkowie opowiadali, jak wzięto ich na pokład UFO i badano. Był to program dramatyczny i wstrząsający -- nie tylko dlatego, że włączyli się doń mieszkańcy Gulf Breeze na Florydzie, z których wielu przysięgało na wszystkie świętości, że nad miasteczkiem widziało wiele UFO [165], lecz również dlatego, że pewien emerytowany pracownik tajnych służb udzielał bez ogródek informacji o *cover-up* - tuszowaniu takich spraw przez czynniki państwowe. Oczywiście osobnik ten nie ujawnił ani twarzy, ani nazwiska — nie mówiąc o głosie. Filmowano go zatem tak, jak filmuje się ludzi, którzy nie chcą zdradzić swojej tożsamości. Zmieniono mu również głos. Prowadzący program zapewnił widzów, że autentyczność tajemniczego mężczyzny, który na czas programu przybrał pseudonim Falcon — jest stuprocentowa.

Falcon twierdził, że najwyższe czynniki rządowe USA od dawna wiedziały o istotach pozaziemskich, zawarto z nimi coś w rodzaju „porozumienia o czasowym zawieszeniu działań” - wy nie będziecie szokować mieszkańców naszej planety, my nie będziemy was ścigać. Na

125

pytanie prowadzącego program, z jakich rejonów Galaktyki przybyły nieznane istoty, Falcon odpowiedział krótko: „Z układu gwiazd, które nazywamy Dzeta 1 i 2 Reticuli”.

W trakcie programu istniało bezpośrednie połączenie z Moskwą. Radziecki naukowiec dr Leonard Nikiszyn ujawnił w duchu *glasnosti*, że w ZSRR utajniano dane o UFO. Najbardziej jednak wstrząsnęły mnie wypowiedzi dr. Jessego Marcela i Paula Shartie. Niezależnie od siebie — panowie się nie znali — obaj potwierdzili fakt rozbicia się UFO. Dr Jesse Marcel jest synem oficera lotnictwa wojskowego, zmarłego przed

kilku laty. Przed kamerami oświadczył, że gdy miał dwanaście lat, jego ojciec przyniósł do domu kilka kawałków UFO, które rozbiło się w pobliżu. Ojciec był bardzo zdenerwowany i opowiadał o katastrofie. Nazajutrz pojawili się ludzie z Air Force i zabrali tajemnicze przedmioty. Nigdy ich już nie widziano.

Paul Shartie potwierdził, że oficerowie lotnictwa wojskowego nakręcili krótki film amatorski na temat zdarzenia. Film ten został od razu skonfiskowany przez Pentagon.

W przypadku tak wstrząsających wypowiedzi nieuchronnie nasuwa się pytanie: kto kłamie? I dlaczego? Wyjaśnienia mówiące o chęci rozreklamowania własnej osoby i zrobienia dobrego interesu są odpowiedzią narzucającą się najbardziej. W trakcie programu wypowiadało się tylu naocznych świadków, wśród których znajdowali się też piloci wojskowi, opisujący własne przeżycia, że w kotle łągarstw i wzajemnych uzgodnień nie ma miejsca na nic innego. Podczas emisji programu działały telefony, z którymi można było połączyć się gratis. Poproszono widzów, aby zatelefonowali, jeśli odpowiedzą twierdząco choć na jedno z poniższych pytań:

1. Czy widzieli Państwo kiedyś UFO? (Określa się to mianem „close encounter of the first kind” — spotkania pierwszego stopnia.)
2. Czy byli Państwo świadkami lądowania UFO oraz zjawisk temu towarzyszących (wygnieciona trawa, połamane drzewa, wypalona ziemia)? (Spotkanie drugiego stopnia.)
3. Czy spotkali się Państwo z istotami pozaziemskimi? Czy widzieli Państwo obce postacie? (Spotkanie trzeciego stopnia.)
4. Czy zostali Państwo wzięci na pokład, uprowadzeni lub badani przez istoty pozaziemskie? (Spotkanie czwartego stopnia.)
5. Czy nie należą Państwo do żadnej z powyższych kategorii?
6. Czy żądają Państwo powołania rządowej komisji śledczej w sprawie UFO?

W trakcie programu zatelefonowało ponad 800 osób, ogromnej liczbie nie udało się dodzwonić. Oto wyniki ankiety:

126

60% telefonujących widziało UFO;
5% przeżyło spotkanie drugiego stopnia;
3% przeżyło spotkanie trzeciego stopnia;
4% przeżyło spotkanie czwartego stopnia;

20% nie zaliczało się do żadnej z powyższych kategorii;
8% nie miało zdania;

87% procent telefonujących żądało powołania rządowej komisji śledczej;

13% było temu przeciwnych.

Do tych wstrząsających wypowiedzi trzeba dołączyć niezliczone dokumenty z pieczętą *Top Secret*, które w trakcie minionych lat przedostawały się z najróżniejszych źródeł do wiadomości opinii publicznej. W krajach niemieckojęzycznych wiele prac na ten temat opublikowali moi koledzy Johannes von Buttlar i Michael Hesemann [166-169], a na obszarze języka angielskiego Timothy Good podsunął zdumionym czytelnikom pod nos górę dokumentów zaklasyfikowanych jako „tajne” [170]. Są wśród nich tak zwane akta „M-12” z 1952 roku („Majestic 12” — pseudonim wojskowego wysokiej rangi), dokumenty „PA” z 1976 roku (skrót od „Projekt Aaquarius”), a nawet wojskowe dokumenty z 1989 roku. Wtedy to, „80 km na południe od granicy Botswany na pustyni Kalahari” [167] miało spaść kolejne UFO, pozostawiając po sobie „krater o głębokości 12 m i średnicy 150 m”. Południowoafrykańskie lotnictwo wojskowe przekazało podobno części tego UFO lotnictwu amerykańskiemu.

Czyśmy wszyscy zgłupieli, a może po prostu sfery rządowe znające istotę problemu okłamują nas? Jeszcze przed siedmiu laty nie poruszałbym tej kwestii. Dziś jest to konieczne, bo dysponujemy zbyt wielką ilością informacji i ponieważ nie zamierzam zatykać uszu i zasłaniać sobie oczu tylko dlatego, że większość szanowanych i rozsądnych ludzi uśmiecha się drwiąco słysząc o istotach pozaziemskich, a udające głuchotę i ślepotę lobby antyufologiczne okleja wszystko swoimi etykietami besserwisterstwa. Czy ściśle tajne dokumenty, które w ubiegłych latach wypłynęły z różnych tajnych archiwów, to fałszywki?

Kto podrabia te papiery opatrując je podpisami najwyższych wojskowych i prezydentów USA? Stosując odpowiednie blankiety i prawdziwe pieczęcie? Dlaczego odnośne urzędy zachowują milczenie, zamiast złożyć dementi? Politycy i wojskowi nie patyczkują się przecież ze sprostowaniami. Dlaczego rzekomych fałszerzy nie pociąga się do odpowiedzialności sądowej? Nie stawia pod pręgierzem opinii publicznej? Dziennikarze i autorzy, publikujący tajne dokumenty, są powszechnie znani. Cóż to za podła gra? Jeżeli odpowiednie urzędy mają

informacje o istotach pozaziemskich i katastrofach UFO i zaciągają nad tym zasłonę milczenia, to zachowanie takie można określić tylko jako największe od tysiącleci świadome, masowe oszustwo.

Zastanówmy się: Najwięksi astronomowie i astrofizycy, specjaliści w dziedzinie biologii kosmicznej i radioastronomowie trują się nad rozwikłaniem problemu, czy jesteśmy sami w Kosmosie. Na całym świecie wydaje się miliony dolarów na teleskopy i radioteleskopy, na wydziały astronomii i projekty SETI. Najtęższe umysły wymyślają eksperymenty, które pozwoliłyby dowieść istnienia pozaziemskiego życia, NASA wysłała w Kosmos odpowiednio wyposażone satelity - tymczasem niewielki krąg mundurowych od dawna zna odpowiedź na te dręczące ludzkość pytania — ale dowody trzyma pod kluczem. Zachowanie tej grupki byłoby zbrodnią przeciwko ludzkości. Dzięki Bogu istnieją umysły nie należące do kręgu wtajemniczonych, które przy pomocy innych metod próbują rozwiązać problem istnienia inteligentnego życia we Wszechświecie.

Up, up and away!

W 1900 roku Akademia Francuska wyznaczyła nagrodę w wysokości 100 tys. franków dla osoby, która pierwsza nawiąże kontakt z obcym światem. Nie dotyczyło to tylko Marsa, bo ówczesni naukowcy myśleli, że nawiązanie kontaktu z mieszkańcami tej planety jest zbyt proste. Tymczasem dowiedziono, że na Marsie nie ma ani zielonych ludzików, ani innych istot rozumnych.

Zapał do poszukiwania pozaziemskiego życia wygasł szybko po wybuchu pierwszej wojny światowej. Dopiero w 1959 r. dwaj amerykańscy naukowcy, dr Philip Morrison i dr Giuseppe Cocconi, wysunęli propozycję podjęcia próby nawiązania kontaktów międzygwiazdnych na falach radiowych w zakresie 1-10 GHz. „Trudno ocenić prawdopodobieństwo powodzenia — twierdził wówczas Philip Morrison — ale jeżeli nie podejmiemy żadnych prób, widoki na sukces będą równe zeru.” Tak narodził się projekt SETI.

Dziesięć lat później, wiosną 1970, młody radioastronom dr Frank Drake z Cornell University podjął pierwszą próbę. Dwudziestopięciometrowy radioteleskop Green Bank w Zachodniej Wirginii nastawiono na częstotliwość 1,420 GHz — jest to tak zwane „pasma wodoru”. Do anten nie dotarł żaden sztuczny sygnał spoza Ziemi. W latach późniejszych podjęto w sumie 48 prób odebrania sygnałów radiowych od istot pozaziemskich. Wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Naukowcy

zajmujący się SETI argumentują, że również inne cywilizacje we Wszechświecie stosują na pewno fale radiowe do emitowania programów radiowych i telewizyjnych albo do porozumiewania się między

statkami kosmicznymi.

Jest to możliwe — ale nie konieczne. Może przed stu laty afrykańscy Buszmeni twierdzili, że wszyscy ludzie porozumiewają się tylko za pomocą tam-tamów. Starsi zaś członkowie plemienia uważali, że nie ma szybszych środków komunikowania się od ognisk rozpalanych na szczytach gór. Mogę sobie wyobrazić, że społeczeństwo dysponujące umiejętnościami telepatycznymi nie będzie stosować komunikacji radiowej albo że ograniczy emisję sygnałów do własnej planety. W technice wojskowej to codzienność.

Problematyczne jest też, czy fale radiowe są medium odpowiednim dla komunikacji międzygwiazdnej. Fale elektromagnetyczne bowiem biegną wolniej od światła i trudno sobie wyobrazić, jak wyglądałaby rozmowa statku kosmicznego z bazą, skoro między pytaniem a odpowiedzią upływałyby 72 lata ziemskie. Jest to czas potrzebny na przebycie drogi na Dzeta Reticuli i z powrotem. Wyobrazenie sobie czegoś szybszego od prędkości światła przychodzi nam z takim samym trudem jak Buszmenom wizja nadajnika telewizyjnego - - mimo że prędkość taka jest możliwa, przynajmniej w teorii. (*Tachiony*, hipotetyczne cząsteczki wyliczone przez prof. dr. Geralda Feinberga, profesora fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Columbia w stanie Nowy Jork, poruszają się wyłącznie z prędkością większą od prędkości światła. [172])

Prawdziwego przełomu w dziedzinie sygnałów napływających z Kosmosu oczekują naukowcy zajmujący się SETI jesienią 1992 roku - - wtedy, Szanowny Czytelniku, będziesz już miał tę książkę w ręku. Po wielu oporach Kongres USA i NASA pokonały wszystkie przeszkody na drodze do rozpoczęcia gigantycznego programu, który pozwoli prowadzić nasłuch sygnałów z Wszechświata. Program nazwano „NASA-SETI Microwave Observing Project” - w skrócie MOP. Już po pierwszych minutach działania program usunie w cień wszystkie podobne próby podejmowane w przeszłości. Na pierwszą fazę projektu przeznaczono 85 mln dolarów. Łańcuch odbiorników radioastronomicznych rozmieszczono na całej kuli ziemskiej. Także i teraz naukowcy stosują zasadę prowadzenia nasłuchu fal z Kosmosu na falach 1-10 GHz. Poniżej 1 GHz zbyt wielkie są naturalne zakłócenia kosmiczne, a powyżej 10 GHz -- ziemskie. Czym różni się MOP od dotychczasowych programów nasłuchu?

Najpierw w promieniu 100 lat świetlnych wybierze się 800 słońc, odpowiadających typowi naszego Słońca. Są to typy od F-8 do K-5.

Będzie prowadzony nasłuch ewentualnych sygnałów z tych gwiazd. Jednocześnie będzie kontynuowany ogólny program przeszukiwania całej Drogi Mlecznej. Programem ogólnym będą kierować astronomowie z Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie w Kalifornii, programem dotyczącym określonych gwiazd — specjaliści z NASA-Ames Research Center w Mountain View, też w Kalifornii. Odpowiedzialnymi za oba programy będą naukowcy Jill Tarter i Bernard Olivier.

Do przetwarzania danych zastosuje się najnowszy model komputera, skonstruowany specjalnie do tego celu przez Silicon Engines z Mountain View. Możliwości tego systemu są dla laika niepojęte — może on jednocześnie analizować 15 min kanałów nasłuchu. Taka moc przetwarzania danych płynących z Kosmosu jest czymś wyjątkowym w całej historii ludzkości. Procesory błyskawicznie przeanalizują napływające sygnały, oceniając od razu, czy są to „naturalne” radioźródła, tło radiowe Drogi Mlecznej, czy świergoty i skrzeki nadbiegające z sąsiednich planet? A może są to sygnały dochodzące z kwazarów czy pulsarów? (Kwazar to skrót od *quasi-stellar radio-source*, co oznacza niby-gwiazdę będącą źródłem promieniowania radiowego, pulsar to gwiazda neutronowa, emitująca pulsujące promieniowanie radiowe.)

Po kilku minutach działania programu uzyska się więcej informacji niż w trakcie wszystkich dotychczasowych badań tego typu. Projekt ma być realizowany od jesieni 1992 do 2001 roku. Dr Seth Shostak z Instytutu SETI napisał: „Nasze pokolenie jest pierwszym mającym możliwość otrzymania odpowiedzi na jedno z pytań najbardziej fundamentalnych dla ludzkości” [173].

W związku z tymi fenomenalnymi poszukiwaniami inteligentnych sygnałów z Wszechświata w prasie amerykańskiej pojawił się problem „szoku kulturowego”. Czy ludzie zdołają pogodzić się z myślą, że nie są sami we Wszechświecie — że nie są „koroną stworzenia” ani „szczytem ewolucji”? Oto co mówi na ten temat kierujący projektem Bernard Olivier: „Nie sądzę, że dojdzie do szoku kulturowego. Wielu ludzi, szczególnie w USA, akceptuje możliwość istnienia inteligencji pozaziemskich”.

Dotyczy to przede wszystkim ludności aglomeracji miejskich USA. Jak to jednak wygląda w przypadku „religijnego pasa” środkowego wschodu i południa Stanów? Jak sobie poradzą z taką informacją konserwatywne teokratyczne systemy w krajach arabskich? A jak

chrześcijanie wszelkiej maści? Jak egocentryczni zwolennicy poglądu, że jesteśmy we Wszechświecie jedyni? Wielu naukowców z trudem pogodzi się zapewne z myślą o istnieniu życia poza Ziemią.

A może gdy tylko zidentyfikuje się jednoznacznie sygnały od istot pozaziemskich, rozpocznie się na powrót ukrywać i tuszować wszelkie informacje — tak jak to się robi obecnie? Czy znów zaciągnie się na wszystko zasłonę hipokryzji? Nieufni naukowcy i ostrożni teolodzy pojawią się nagle — abrakadabra! — w *talk-shows* i zaczną wmawiać wstrząśniętej ludzkości, że sygnały MOP to fałszywki? Że są „niepewne”, że zostały „źle zinterpretowane”? Że chodziło o „nieudany eksperyment”? Czy zbierze się komisja, która uzna, że nigdy nie będzie wolno publikować prawdy? Czy naukowcy uczestniczący w projekcie zostaną zmuszeni do podpisania oświadczeń o poufności ich prac, a gdy któryś zacznie mówić, zostanie wykluczony z elitarnej wspólnoty i wystawiony na pośmiewisko gawiedzi?

Wszystko już było! A za każdym razem tylko dlatego, że paru mnichów jakichś religii czy ideologii twierdzi, że ludzkość nie dojrzała jeszcze, aby powiedzieć jej całą prawdę — stado musi nadal dreptać utartymi ścieżkami.

„Przestałem się już śmiać z ludzi, którzy twierdzą, że widzieli UFO, bo sam je widziałem” (Jimmy Carter, były prezydent USA).

„Często myślę, jak szybko zniknęłyby wszelkie różnice na Ziemi, gdybyśmy stanęli przed wyzwaniem pozaziemskim” [174] (Ronald Reagan, były prezydent USA).

V. Niesamowite spotkania

Nie zamierzam pisać książki o UFO ani rewidować błędnych informacji na ten temat. Nie chcę również dowodzić, że lobby ufologiczne zawsze miało rację, a druga strona popełniała same błędy. Chodzi mi raczej o zademonstrowanie na paru przykładach, w jak nie przystający do rzeczywistości sposób zachowujemy się wobec niesamowitych zjawisk. Jakimi wymówkami i jakimi sztuczkami odganiamy od siebie strach przed nieznanym, nie bojąc się *zarazem* wymyślać na użytek publiczny najbardziej idiotycznych bajeczek. Jak szybko i jak bezkrytycznie połykamy każdy absurd, jeśli tylko pasuje do naszego obrazu świata.

Zachowujemy się mniej dojrzałe niż nasi przodkowie przed tysiącleciami. Oni doszli z „bogami” do porozumienia, zaakceptowali ich, podziwiali, bali się, przyjmowali ich nauki i wskazania. A my negujemy

a priori fakt ich istnienia. Istot pozaziemskich nie ma! UFO może być wszystkim tylko nie pojazdami z Kosmosu, a zresztą i tak człowiek jest koroną stworzenia!

Tylko co się stanie, jeśli istoty pozaziemskie przestaną na nas zważać, przestaną się maskować? Kiedy będą miały dość naszej podwójnej moralności? Kiedy uznają nas za tak prymitywnych, że z ich etycznego punktu widzenia stanie się nieistotne, czy będziemy istnieć, czy nie? Kiedy zrezygnują z „embargo”, wydając Ziemię na pastwę pozaziemskich eksperymentatorów? Co się stanie, kiedy gremium istot pozaziemskich, obradującemu w jakiejś kolonii kosmicznej, straci cierpliwość? Kto będzie winien na Ziemi, kiedy człowiek postrada wszelkie podpory natury religijnej i naukowej? Kiedy zgłupieje do szczytu, nie przygotowany na bombardowanie prawdami, które go przytłoczą?

132

Głupie gadanie! Istot pozaziemskich nie ma, a nawet gdyby były, nie byłyby w stanie przebyć przestrzeni międzygwiazdnych. Bo i my nie jesteśmy w stanie! A dlaczego to niby istoty pozaziemskie mają pojawić się właśnie w „teraźniejszości”? Astronom James R. Werts obliczył, że mogły przybywać do Układu Słonecznego co $7,5 \times 10^5$ lat. Oznacza to, że w trakcie minionych 500 mln lat były tu mniej więcej 635 tysięcy razy [175]! A dr Martyn Fogg z Uniwersytetu Londyńskiego zwrócił uwagę na fakt, że cała Galaktyka była już przypuszczalnie zasiedlona, gdy rodziła się Ziemia [176]. Kraty naszego „ZOO” zaczynają rdzewieć.

Nie od istot pozaziemskich *zależy*, że ich teraz nie widzimy i że nie chcemy nawet zaakceptować faktu, iż pojawiały się w przeszłości — jest to wynikiem złego zaprogramowania nas samych. Jak naprawdę funkcjonują zadziwiające szare komórki, które wciąż mają nas „wiedzą”, nie mającą pokrycia w rzeczywistości, oraz „pewnością”, której nie ma? Kto tak fatalnie programuje nasz mózg?

O przyjemności i nieprzyjemności

Przed 20 laty badacz mózgu prof. dr H. J. Campbell (Uniwersytet Londyński, College de France, Instytut Maxa Plancka) udowodnił, że każdy mózg zawsze i wszędzie wykazuje skłonności do „zdobywania przyjemności” [177]. To proste odkrycie dotyczy już jednokomórkowców, które stoją w istocie tylko przed jedną alternatywą — przeżyją lub nie. Przeżycie oznacza „przyjemność”, nieprzeżycie „nieprzyjemność”. Przyjmowanie pożywienia jest odbierane jako „przyjemność”, głód

— „nieprzyjemność”. Mózg stosuje taki sam system binarny jak komputery — ma dwa stany: tak lub nie, prawda albo fałsz, przyjemność albo nieprzyjemność. Dziecko wychodzi z łona matki i krzyczy

— bo odczuciem dominującym jest dla niego nieprzyjemność. Bliskość ciepłego ciała matki oznacza przyjemność. Pragnienie to nieprzyjemność, tak samo mokre pieluszki czy bycie samym — przeciwieństwem jest przyjemność.

Chłopczyk rośnie, wychowywany przez rodziców i otoczenie — to mu wolno, tamtego nie. Jak to zrobisz, będziesz słodki, jak tamto — będziesz be. To jest niebezpieczne, tamto nieszkodliwe. Każdy sukces w nauce jest rejestrowany jako przyjemność, każde niepowodzenie — jako nieprzyjemność. Chłopiec idzie do szkoły, uczy się czytać i liczyć, pisać i rysować. Wynik $2 \times 2 = 4$ oznacza przyjemność, $4 \times 4 = 9$

— nieprzyjemność. Ta polityka czy religia jest dobra, tamta — zła. Ten obraz jest wartościowy, tamten kiczowaty... W procesie programowa-

133

nią mózgu biorą udział doświadczenia człowieka, rejestrowane w mózgowych „komórkach pamięci” albo jako przyjemność, albo jako nieprzyjemność. Ból, cierpienie, tęsknota, nostalgia, problemy sercowe, szara rzeczywistość, trzeba zrobić coś, na co się nie ma ochoty, przymus i nieciekawe otoczenie — to nieprzyjemności. Przeciwieństwa — to przyjemności. Wzrastamy w okresie popularności danego rodzaju muzyki — innych rodzajów nie lubimy. Przyjemność — nieprzyjemność. Każda radość, od wygranej w totolotka po komplement, jest przyjemnością, każda przykrość — nieprzyjemnością.

Do tego dochodzi wpływ radia, telewizji, książek, gazet. Uwarunkowania określające nasze późniejsze lektury i gusty muzyczne powstają we wczesnej młodości. W zależności od wychowania osiemnastolatek będzie odbierał jako przyjemność koncert rockowy czy symfoniczny, a operetkę jako nieprzyjemność. Niepostrzeżenie zaczynamy czytać zawsze te same gazety, uważając inne — nawet jeśli nie wiemy, co w nich jest — za „głupie”.

Mając dwadzieścia lat jesteśmy już zaprogramowani: próbujemy stale pomnażać swoją „przyjemność”. Pozostańmy przy moim przykładzie: z chłopca wyrasta młodzieniec, który zdaje maturę i zaczyna studiować archeologię. Chodzi na wykłady, zdaje egzaminy (przyjemność), czyta książki — przyswaja sobie osiągnięcia innych uczonych. Nawet jeżeli na tej drodze uczucia nieprzyjemne przesłaniają mu cel zasadniczy, to i tak w dniu zakończenia studiów ma wielką ilość „przyjemności”. Jest

pewny, że wie dużo, czuje się akceptowany przez społeczeństwo (przyjemność!).

A potem, o zgrozo, pedantycznie wzniesiona budowla myślowa zaczyna się chwiać! Ktoś zaczyna się czepiać rezultatów jego mozolnej pracy! To straszne! Pojawia się „nieprzyjemność”, człowiek zaczyna się bronić. Wkrótce jest rozbrojony, zaszokowany, odwraca się i nie zauważa, że to jego jednostronne zaprogramowanie skłania go w istocie do obrony przed „nieprzyjemnością”. Nie ma muzyki „prawdziwej” czy „fałszywej” — jest tylko ta, którą lubimy, i ta, której nie lubimy. „Lubienie” i „odrzućcie” są efektem zaprogramowania szarych komórek, które przestają być „kompatybilne”. „Sądzimy, że robimy doświadczenia, ale to doświadczenia robią nas” (Eugene Ionesco, 1912-1994).

Prawie tak samo zachowuje się nauka. W naukach ścisłych rezultaty badań muszą się *zgodzać*. Można je zawsze sprawdzić i powtórzyć. Cztery razy cztery będzie zawsze szesnaście. Niewzruszalne są również prawa natury, twierdzenia algebraiczne i geometryczne. W naukach ścisłych nie może być mowy o przyjemności czy nieprzyjemności — tu

134

liczy się tylko prawdziwość lub fałszywość. Z efektów badań nauk ścisłych można jednak wyciągnąć fałszywe wnioski. Przed stu laty pewien fizyk obliczył, że trzech ludzi nigdy nie polecą na Księżyc, bo wymagałoby to zbyt wielkiego nakładu energii — wynik obliczeń był „prawidłowy”. Ale po stu latach trzech ludzi poleciało na Księżyc. Błąd nie był błędem matematycznym — polegał na braku fantazji. Fizyk nie potrafił sobie wyobrazić źródeł energii pozwalających w krótkim czasie dotrzeć na Księżyc. „Przyjemność” płynąca z nauki ścisłej była nadużyta dla zablokowania „nieprzyjemności” związanej z fantazją. Do zasady „przyjemności” i „nieprzyjemności” *zalicza* się też „pewność” i „niepewność”. „Bycie pewnym siebie” daje „przyjemność”, „niepewność” budzi zaniepokojenie i peszy, wyzwalając „nieprzyjemność”.

W tych paru zdaniach na pewno nie odkryłem skomplikowanego systemu działającego w naszej głowie, ale mam nadzieję, że stał się on zrozumiały, bo w istocie funkcjonuje właśnie prawie tak.

To, co określamy mianem nauk przyrodniczych, liczy sobie 372 lata. W 1620 roku brytyjski mąż stanu Sir Francis Bacon (1561-1626) opublikował opasłe tomisko pod tytułem *Novum Organum*. Opisał tam w najdrobniejszych szczegółach, jak powinny wyglądać badania naukowe. W swojej epoce Bacon był postacią kontrowersyjną i konfliktową.

Uważano go za człowieka próżnego, odczytanego, ambitnego nad miarę, a na dobitkę nieczułego. Denerwowały go — i słusznie — ciemnota i ówczesne przesady. Aby skierować naukę na właściwe tory, zażądał przeprowadzania doświadczeń powtarzalnych. Postulował, żeby punktem wyjścia każdego odkrycia było doświadczenie i żeby zawierano „małżeństwo” doświadczenia z rozumem. Dla Bacona wiedza była środkiem do celu („wiedza jest potęgą”). Na drodze do odkryć należy unikać mamideł (tak zwanych „idoli”).

Tym maksymom Sir Francisa Bacona są wierni po dziś dzień wszyscy zajmujący się naukami przyrodniczymi. Rezultaty są wspa- niałe — od radia po bombę wodorową. Ale ta metoda naukowa jako taka objawia tylko wiedzę ograniczoną. „Intuicja” czy „fan- tazia” *zaliczają* się tu do sfery „nieprzyjemności” — są to „mami- dła”. Są uważane słusznie za „naukowo nieściste”. Ta zeskoru- piała metoda nie ma czujników. Człowiek poddaje się „ściślej pewności”, która jednak pojutrze zostaje przewrócona do góry no- gami. Jeśli nie istnieją naukowe przyrządy pomiarowe pozwalające wykryć telepatię — to telepatii nie ma. Jeśli nakład energetyczny konieczny na dotarcie do najbliższej gwiazdy stałej byłby za duży — to nie ma mowy o podróży międzygwiazdnej. Jeżeli ani ludzie, ani

135

materiały nie wytrzymają jezących włosy na głowie ewolucji, wykony- wanych przez UFO — to UFO nie ma. Droga do poznania, za- proponowana przez Sir Frań ci są Bacona, okazuje się pod pewnymi względami jednokierunkowa. Skłania nas do przedwczesnego zajęcia stanowisk, z których trudno się potem wycofać. „Przyjemność — nie- przyjemność.” To jest to!

W naukach humanistycznych — a *zalicza* się do nich wszystko, co nie jest „ściśle” — raz przyjęte stanowiska są bądź co bądź podważalne. Przyszłe odkrycia i nowe oceny mogą doprowadzić do runięcia całego „magazynu zbiorów”. „W piekle nawet diabeł jest postacią pozytywną” (Stanisław Jerzy Lec, 1909-1966).

Tak więc niechcący wszyscy staliśmy się „stroną”, lądując w „maga- zynie” wzniesionym przez nas samych. Jesteśmy pro albo kontra UFO — za albo przeciw istnieniu życia pozaziemskiego. Chcemy zachować uczucie przyjemności, którego nie powinna zakłócać nam niepewność. Nie słuchamy argumentów strony przeciwnej — są denerwujące. Po- zwalamy się ukołysać, żeby istniejący mechanizm odczuwania „przyje- mności” mógł znów funkcjonować. .

Oficjalne kłamstwo

29 lipca 1952 roku największym po drugiej wojnie światowej wydarzeniem w środkach masowego przekazu stała się konferencja prasowa zorganizowana w Białym Domu. Rzecznicy Air-Force, US-Navy i Pentagonu siedzieli w sali prasowej z wyrazem konsternacji na twarzach, starając się zbyć byle czym nerwowe pytania dziennikarzy. Nad Waszyngtonem i nad Białym Domem widziano UFO. „Nieznane obiekty latające” zostały zarejestrowane przez stacje radarowe (Washington National Airport, Andrews Air-Force-Base, Bolling Air-Force-Base i Baltimore Airport) i widziane przez pilotów lotnictwa wojskowego i cywilnego. „Eskadra UFO” odstawiła nad Kapitelem regularny „taniec” [121]. „New York Times” pisał w nagłówkach: „Latające obiekty nad Waszyngtonem — zaobserwowane przez pilotów i zarejestrowane przez radary”.

Rzecznicy lotnictwa wojskowego, wyżsi oficerowie, byli w coraz mniej przyjemnym położeniu. Dziennikarze za wszelką cenę starali się dowiedzieć, czy zagrożone jest bezpieczeństwo narodowe, czy Związek Radziecki ma coś wspólnego z UFO i czy w przypadku tych obiektów nie chodzi przypadkiem o tajne projekty rządu USA. Od czasu do czasu padały wstrząsające odpowiedzi:

136

„Możemy państwa zapewnić, że zaobserwowane zjawiska nie mają nic wspólnego z tajnymi projektami jakichkolwiek agend rządowych USA.”

„Z racji zajmowanego stanowiska znam bardzo dobrze typy naszych samolotów i rakiet zdalnie sterowanych. Mogę jednoznacznie stwierdzić, że Navy nie dysponuje samolotami czy raketami wyglądającymi jak talerze.”

„Z całym respektem dla Air-Force uważam, że kilka zaobserwowanych obiektów jest pochodzenia międzyplanetarnego.”

Tak jednoznaczne postawienie sprawy stało się powodem „nieprzyjemności”. Mogło wywołać w społeczeństwie niepewność, eskalację strachu. Kilka dni później ogłoszono, że była to „fatamorgana mogąca się pojawiać w szczególnych warunkach pogodowych”. Świat wrócił do normy — „przyjemność”. Opracowany po latach naukowy Raport Condon przejął tezę mówiącą o „fatamorganie”, ale nie wykluczył, że mogło to być „wiele meteorów”, „gwiazd” i „kilka nieznanych rzeczy” [119].

Jakimi cudownymi kłamstwami się nas karmi! „Fatamorgany” nigdy się już nie powtórzyły. Cztery stacje radarowe w różnych rejonach zarejestrowały niezależnie od siebie to zjawisko, naoczni świadkowie, bądź co bądź piloci cywilni i wojskowi, widzieli „gwiazdy” i „meteory”. Błędne ogniki dezinformacji.

34 lata później stanowisko w podobnej sprawie musiało zająć brazylijskie lotnictwo wojskowe. Co się stało?

Ministerialne wyznanie

19 maja 1986 roku na ekranach radarów centrali obrony powietrznej w pobliżu Rio de Janeiro pojawia się 13 punktów lecących za zachód z prędkością 1400 km/h. Jest 17¹⁴. Po 22 minutach brazylijskie lotnictwo wojskowe podnosi w powietrze cztery myśliwce przechwytyjące — dwa francuskie Mirage i dwa amerykańskie F-15. Według relacji pilota Mirage'a, dwudziestopięcioletniego podporucznika Klebera Caldaso Marinho, zdołał się on zbliżyć do obiektów na odległość 25 km: „Były to pulsujące światła, czerwone i białe, ale raczej białe. Nie były to na pewno ani gwiazdy, ani samoloty. Nie było to nic ziemskiego”.

Pilota drugiego Mirage'a, trzydziestojednoletniego kapitana Antonia V. Chavesa, przez wiele minut eskortowały zadziwiające obiekty: „Siedem towarzyszyło mi z jednej, sześć z drugiej strony. Razem ze mną zmieniały prędkość i kurs. Nagle odleciały z potworną prędkością”.

137

Pilot F-15, kapitan Marico Jordao powiedział dziennikarzom, że zbliżył się do obiektów na odległość 40 kilometrów. Widzialność była doskonała. Na niebie ani chmurki. W tym rejonie nie notowano w tym czasie innego ruchu powietrznego. Trzynaście obiektów zaczęło go wyprzedzać, a on nie mógł zwiększyć prędkości.

Ponieważ UFO narobiło nieco szumu w prasie, a o zdarzeniu poinformowały też największe stacje telewizyjne Brazylii, Globo i Manchete, lotnictwo wojskowe było zmuszone do zajęcia stanowiska w tej sprawie. 24 maja 1986 roku minister lotnictwa wojskowego, generał brygady Otavio Moreira Lima, oświadczył na konferencji prasowej w Brasílii: „Obce obiekty zapiaszczyły systemy radarowe Rio i Sao Paulo. Podniesiono w powietrze cztery myśliwce. Pilotom nie udało się zidentyfikować nieznanymi obiektów, które nie odpowiadały na wezwania przez radio. Nie mam żadnego wyjaśnienia dla tego zjawiska — nie mogę więc też go tu przedstawić” [178].

Sytuacja, w której minister jest zmuszony do zorganizowania konferencji prasowej w sprawie UFO, była jak dotąd wyjątkiem.

W krajach południowoamerykańskich UFO są traktowane zarówno przez ludność, jak i przez media znacznie przyjaźniej niż w Europie. Jak można wytłumaczyć takie „przesunięcie przyjemności”? Czy Latynosi są głupszy i łatwowierniejszy od nas? Czy są gorzej wykształceni? A może Europejczycy i Amerykanie podchodzą do tej drażliwej sprawy z większym dystansem, z mniejszym entuzjazmem?

Dziennikarze południowoamerykańscy są równie skrupulatni jak ich europejscy koledzy, różnica zaś między brazylijskim pilotem Mirage'a a jego francuskim kolegą polega co najwyżej na charakterach. Także nie różnice w mentalności każą południowcom wierzyć w UFO. Można to wyjaśnić tylko większą częstotliwością obserwacji UFO. W naszych szerokościach geograficznych klimat jest znacznie chłodniejszy, niebo jest zachmurzone przez dwie trzecie roku. Śpiamy w budynkach. Zupełnie inaczej rzecz się ma w krajach o cieplejszym klimacie. Życie toczy się tu na powietrzu, niebo zwykle jest czyste. Szansa przypadkowego ujrzania czegoś niezwykłego na firmamencie jest znacznie większa niż u nas. A jak się więcej widzi, to się i więcej mówi; a jak się więcej mówi, to więcej się również pisze. Ludność, wojskowi, środki masowego przekazu i nauka są zmuszeni do zajmowania się kuriozalnymi zjawiskami na dziennym i nocnym niebie.

Gdy w archiwach prasowych wertowałem materiały, rzuciło mi się w oczy, że południowoamerykańskie środki masowego przekazu miały

138

kiedyś równie negatywne nastawienie do UFO jak nasze. To się zmieniło. Ale nie od razu — proces ten przebiegał powoli. Naoczni świadkowie i ludzie, którzy zetknęli się z UFO, nie dawali się spławić po otrzymaniu pseudowyjaśnień. Nie chcieli się pogodzić z faktem, że naukowcy uznają ich za „głupich” albo „niezdolnych”. Coraz powszechniejszy był opór ludności — aż w końcu zmieniło się negatywne nastawienie mediów. Jak donosi „Der Spiegel”, dziś można sobie siedzieć przy knajpianym stoliku w stolicy Brazylii i spokojnie opowiadać, że miało się „kontakty z istotami pozaziemskimi” [179]. I nikt człowieka nie wyśmiewa! Komentarz redakcji: „Nigdzie oficjalna ocena takiego sposobu myślenia nie jest tak postępową jak właśnie w Brazylii” [179].

Czy zjawisko z 19 maja 1986 roku było naturalne? Czy piloci czterech myśliwców przechwytyjących i wojskowi kontrolerzy radarów z Rio de

Janeiro i Sao Paulo widzieli zjawy? Czy i tym razem chodziło o „fatamorganę” albo podobny figiel?

UFO z 19 maja 1986 roku nie daje się wtłoczyć w żaden schemat, zawodzą wszelkie próby jego rozsądnego wyjaśnienia. Odbić na ekranach radaru nie można odczarować. Obiekty pulsujące białym światłem przez godzinę i kwadrans bawiły się w kotka i myszkę z myśliwcami przechwytyjącymi. Eskortowały nawet z obu burt samolot Antonia V. Chavesa, po czym z niewiarygodną prędkością zniknęły we Wszechświecie. Takich numerów nie odstawiają chmary komarów, spadające części rakiet, samoloty z lekkich metali, fatamorgany czy balony meteorologiczne. Poza tym odbicia reflektorów na chmurach i fatamorgany nie dają echa na ekranach radarów.

Czy rozwiązaniem zagadki jest tajna broń Amerykanów? (Rosjan? Chińczyków? Niemców? Anglików? Francuzów?) Niewątpliwie każde z supermocarstw pracuje nad tajnymi projektami. Ale przecież prototypowe samoloty oparte na najnowocześniejszej technologii są niezwykle drogie. Próby jednej lub dwóch takich maszyn przeprowadza się zawsze nad własnym terytorium — nigdy nad obszarem obcego państwa! Zbyt wielkie byłoby ryzyko zlokalizowania prototypu przez satelity przeciwnika. Zbyt niebezpieczne ewentualne przymusowe lądowanie na obcym terytorium. Jak przetransportować do kraju części uszkodzonej maszyny? Jak pilota? Prototypy nigdy nie operują w eskadrach poza granicami macierzystego kraju i nie eskortują dla kawału obcych myśliwców przechwytyjących. A jeśli nie są to już prototypy, to o fakcie tym wiedzą zarówno inwestorzy (kongres, firmy produkujące, środki masowego przekazu), jak i przeciwnicy. A tu mamy tylko lakoniczne oświadczenie generała brygady Otavio Moreiry Limy: „Nie mam

139

żadnego wyjaśnienia dla tego zjawiska — nie mogę więc też go tu przedstawić” [178].

To wyznanie wyzwala u ludzi „rozsądnych”, stojących obiema nogami na swojej „chmurce przyjemności”, niemiłe uczucia. W złudnej pewności siebie odrzuca się pojawiające się „uczucia nieprzyjemności”. Tyle że strusia polityka nigdy nic nie zmieniła. „Nie jest się oszukiwanym, oszukuje się tylko siebie samego” (Johann Wolfgang Goethe, 1749-1832).

Masowe wyparcie

9, 10 i 11 października 1989 roku dalekopisy wypluły wiadomość,

która postawiła na nogi wszystkie redakcje. W gazetach drukowano nagłówki, których zawartość po raz pierwszy uznano za prawdopodobną:

„W ZSRR w miejskim parku wylądowało UFO!" [180]

„Olbrzymy z UFO mają troje oczu" [181]

„TASS donosi o lądowaniu UFO" [182]

„Fantastyczne relacje o UFO" [183] .

„TASS: Lądowanie UFO z istotami pozaziemskimi na pokładzie"

[184]

„Istoty pozaziemskie spacerowały po miejskim parku" [185]

„TASS donosi o lądowaniu w parku UFO z istotami pozaziemskimi

na pokładzie" [186]

Świat zwariował? Panowie redaktorzy dostali bzika? Skąd nagłówki o UFO na pierwszych stronach gazet? Skąd bezkrytyczna publikacja informacji agencyjnej?

Pod znakiem czerwonej ideologii oficjalne czynniki Związku Radzieckiego przez całe dziesięciolecia potępiały w czambuł wszystko, co na miłą pachniało UFO czy podobnym hokus-pokus. Dlaczego? Manifest Komunistyczny opiera się między innymi na teorii ewolucji Karola Darwina. Patrząc z tego na wskroś materialistycznego punktu widzenia, człowiek jest najdoskonalszym produktem ewolucji. Boga nie ma, a człowiek jest istotą najwyższą. Nie może być więc ani „bogów", ani istot pozaziemskich. Komunistyczno-socjalistyczny obywatel ZSRR musiał wyznawać tę najświętszą naukę, nie dając się mamić żadnymi głupimi wymysłami. A potem na udręczonych ludzi radzieckich spadła *glasnosf*. Zniknęła cenzura. TASS, oficjalna radziecka agencja prasowa, po raz pierwszy przesłała na cały świat informację o UFO, a zachodni dziennikarze zwietrzyli smakowity kąsek. Dotąd wszyscy

140

byli przyzwyczajeni, że z agencji TASS płynie „sama prawda". Nieco osłupiali redaktorzy naczelni puścili wiadomość do druku, kiwając głowami. Schweizerische Depeschen Agentur donosiła:

„Moskwa. Według relacji naocznych świadków po nastaniu ciemno-

ści wylądowała wielka, świetliśka kula. Agencja TASS podaje: 'Otworzył się luk, przez który wyszły dwie albo trzy człekopodobne istoty i niewielki robot'. Istoty według naocznych świadków, zaszokowanych zdarzeniem jeszcze wiele dni później, 'miały trzy a nawet cztery metry wzrostu', ale za to ich głowy były bardzo małe. Po krótkim spacerze zniknęły z powrotem we wnętrzu statku kosmicznego. Gienrich Siłanow, kierownik Instytutu Geofizycznego w Woroneżu, według relacji agencji TASS, zidentyfikował miejsce lądowania. Siłanow oświadczył: 'Odkryliśmy krąg o średnicy 20 m, w którym były trzy odciski, każdy o głębokości do 5 cm'. Według relacji znaleziono również dwa tajemnicze kamienie z materiału nie znanego na Ziemi".

Zarówno TASS, jak i organ KC KPZR podały kolejne szczegóły. Obiekt wylądował 27 września o godzinie 18³⁰ na skraju woroneskiego parku miejskiego (500 km na południe od Moskwy). „Świetliśka kula” opuściła się powoli, widziana przez około 40 dorosłych obywateli i kilkoro dzieci. Jakiś szesnastolatek zaczął krzyczeć. Jedna z obcych istot skierowała nań „rurę długości mniej więcej 50 cm” i chłopiec stał się niewidzialny dla otoczenia. „Kiedy statek zniknął, chłopiec pojawił się z powrotem.” Obce istoty nosiły „brązowe buty” i miały „troje oczu”. Z „czerwonej kuli” wysiadły w sumie trzy istoty pozaziemskie, które zrobiły kilka kroków w stronę grupy ludzi stojącej na przystanku autobusowym „MaszMet”. Ludzie zaczęli krzyczeć i obcy wrócili do kuli. Jeszcze dzień później redakcja naczelna zapewniała, opierając się na informacji TASS, że „nie był to dowcip primaaprilisowy”, a woroneski korespondent „Sowietskoj Kultury” J. Jefremow potwierdził prawdziwość opisów.

W 48 godzin po ukazaniu się pierwszych nagłówków zwyciężył „rozum”. To nie może być prawda! Organ KPZR, „Prawda”, zażądała 13 października 1989 roku od władz Woroneża powściągliwości. „Po Woroneżu krążyła w ostatnich dniach fala plotek i urojeń, ludzie boją się, a miejscowe władze nie robią nic dla rozproszenia tych niepokoików” [187]. Chodziło o jak najszybsze rozwodnienie informacji, o zwalenie winy na jakichś fantastów. Niemożliwe było po prostu puszczanie w lud wiadomości tak przerażającej. Intelktualni mocarze z „Prawdy” obawiali się szoku kulturowego. Ostrzegali: „Niezbędne są teraz jasne

i przemyślane wypowiedzi. W innym razie takie plotki mogą rozejść się po całym świecie”.

Dobrze wyszkolony zastępca redaktora naczelnego TASS Igor Jefimow zbagatelizował sensację na temat UFO. „Nie wierzę w to” — powiedział kolegom. Prawie jednocześnie wycofał się z wcześniejszych oświadczeń kierownik Instytutu Geofizycznego w Woroneżu Siłanow. Ani on, ani pracownicy jego instytutu nie przeprowadzali inspekcji domniemanego miejsca lądowania obiektu, a znalezione próbki kamienia „okazały się zwykłą rudą żelaza”. Na dodatek powodem powstania śladów na gruncie mogły być „naturalne przyczyny geologiczne”. (Skąd on to wszystko wie, skoro nikogo nie było na miejscu zdarzenia i nikt nie przeprowadzał tam badań?)

Wedle „Prawdy” również zachodni dziennikarze mieli teraz okazję do skorygowania wcześniejszych artykułów. Moskiewski korespondent prasy niemieckiej J. P. Dorner przesłał dalekopisem pierwszą glosę: „Reporterzy TASS dowiadywali się, co istoty pozaziemskie robiły w parku. Głupie pytanie, odpowiadali świadkowie: A co się robi w parku? Spaceruje... Szkoda, że obce istoty nie miały ochoty się pośmiać. Gdyby wyszczerzyły wielkie, żółte zęby, nie musielibyśmy się dłużej głowić nad rozwiązaniem zagadki. To yeti z Kosmosu wybrały się do rosyjskiego parku na spacer. To byłaby prawdziwa nowość” [185].

Dla Petera Biera, moskiewskiego korespondenta „Sterna”, wszystko było „co najwyżej śmieszne”, drwił więc sobie: „Istoty inteligentne i przy zdrowych zmysłach wylądują wszędzie — tylko nie w Woroneżu” [188]. I dalej: W duchu *glasnosti* czytelnik powinien się dowiedzieć wszystkiego, w końcu za sześć kopiejek nabywa prawo do „zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb, także nad- i podziemnych”.

Podobnie zareagował „Der Spiegel”: „Prawdziwy cud: dziennikarze kupili historyjkę zamieszczoną w wydawanym przez KC KPZR naukowym czasopiśmie 'Sowietskaja Kultura', agencja TASS rozpowszechniała informację, a jej szef Leonid Krawczenko przeproszał na monachijskich Dniach Mediów za poprzednie bajeczki” [189].

W USA, kraju swobodnej wymiany poglądów, wszystkie stacje TV podały sensacyjną informację. Spikerzy czytający wiadomości raz zachowywali się poważnie, innym razem zaczęli się śmiać jeszcze podczas emisji. Oto kilka najlepszych próbek:

Action News (spikerka Bree Walker): „Dziś radziecka agencja prasowa TASS poinformowała, że człekopodobne istoty o niewielkich głowach wylądowały na pokładzie statku kosmicznego w Woroneżu. Przytoczono relacje świadków twierdzących, że istoty pozaziemskie miały od dziewięciu do jedenastu stóp wzrostu a ich głowy były

niewielkie. Wspaniałe!" [Wiadomości przerywa wybuch śmiechu drugiego spikera].

Fox Television News: „Radziecka agencja prasowa informuje, że goście z Kosmosu... [Śmiech] ...wylądowali w parku w Woroneżu. Istoty pozaziemskie, wyglądające według opisu jak wielkie humanoidy z niewielkimi głowami, zrobiły sobie spacer, a potem zniknęły prędko w przypominającym dysk statku kosmicznym... [Śmiech] Kiedy istoty pozaziemskie znów wylądują w Związku Radzieckim, nie powiedzą: 'Zaprowadźcie nas do swojego przywódcy', tylko zawołają: 'Gorbi! Gorbi! Gorbi!'" [Gremialny wybuch śmiechu w studio].

ABC News, Nowy Jork (program News Today, spiker Peter Jennings): „W Woroneżu istoty pozaziemskie groziły dzieciom pistoletem kosmicznym. Radziecki reporter, który o tym napisał, przyznał dziś, że nie widział lądowania, a źródłem informacji były dla niego wypowiedzi kilkorga miejscowych dzieci. To nie pierwszy przypadek nabrania reportera przez dzieci”.

CBS (spikerka o poważnym głosie): „Radziecka agencja prasowa TASS informuje o lądowaniu istot pozaziemskich w Woroneżu. Agencja twierdzi, że istoty pozaziemskie miały około dziesięciu stóp wzrostu, a ich głowy były bardzo, bardzo małe. Naukowcy radzieccy potwierdzili wizytę istot pozaziemskich... [W tle ktoś się śmieje. Spikerka kontynuuje czytanie wiadomości] ...Reporter TASS nie podaje, kiedy miało miejsce lądowanie, a ja przypuszczam, że nasze...” [Nie może mówić ze śmiechu].

Channel 4 (News at 4. Na tle amerykańskiej flagi starszy pan o długich blond włosach komentuje informację agencji TASS, kończąc słowami): „Przecież to zupełna bzdura! Albo ci faceci z agencji TASS zwariowali, albo są pijani, albo dla ubarwienia informacji zwerbowali pismaków z 'National Enquirer'" (największy brukowiec Ameryki).

Oto reakcje, jakich można oczekiwać od „rozsądnych ludzi”. Jesteśmy nastawieni do tego stopnia jednostronnie, że w „mózgowej przestrzeni przyjemności” nie ma miejsca dla istot pozaziemskich. Dziennikarze wypełniali wprawdzie swój obowiązek polegający na przekazywaniu informacji — czuli się jednak zarazem nabrani. Drwiną i śmiechem sygnalizowali swój pogląd na informację agencji TASS. A miliony, które informację tę usłyszały i przeczytały, czuły się utwierdzone w swoim nastawieniu. Dzięki Bogu, nie wylądowały żadne istoty z Kosmosu!

Uważam to masowe wyparcie za niebezpieczne. Przypomina mi właściciela domu, w którym roiło się od szczurów. Człowiek ten jednak

zapewniał wszystkich: „Szczury? U mnie? Ależ proszę państwa!”. Nie

przyjął do wiadomości obecności szczurów nawet wtedy, gdy usłyszał krzyki gryzionych dzieci, a w piwnicy znaleziono nadjedzone zwłoki dawno zaginionej teściowej. Szczurów nie pozwalała mu zaakceptować bariera psychologiczna! Kiedy już nie było można zaprzeczyć obecności gryzoni, pan domu doznał szoku i zmarł. Szczury nie dały się pogodzić z jego poczuciem przyjemności i usposobieniem. W przypadku istot pozaziemskich zachowujemy się prawie tak samo. Nie są to wprawdzie szczury, są jednak dla nas równie obce i nieprzyjemne. Niszczą w nas poczucie własnej wartości i zaprogramowaną iluzję o swej wyjątkowości. Istoty pozaziemskie? U nas? Ależ proszę państwa!

Z pewnością od osobistej wolności myśli zależy, co kto sądzi

o „bogach” i UFO. Ale wobec dostępnych danych i dokumentów, wobec filmów o UFO* i wobec setek tysięcy naocznych świadków wszystkich zawodów i narodowości należałoby okazać nieco więcej tolerancji. Złagodziłoby to szok spowodowany przybyciem „bogów”

i zmniejszyło zapaść społeczeństwa, które zostałyby rażone dosłownie „z jasnego nieba” faktami wypieranymi dotąd z psychiki. Co zdarzyło się naprawdę 27 września w Woroneżu?

Zdarzenie

Zanim miejscowi reporterzy poinformowali o tajemniczej sprawie, na miejsce zdarzenia udali się: dr inż. Jurij Łozotjew, Wiaczesław Martynow i Aleksy Mossołow z Komisji ds. Badania Zjawisk Paranormalnych. Zadali pytania 16 dorosłym i pięciorgu dzieciom (Wasia Surin, Żenia Blinow, Wołodia Starczew, Lena Sarokina i Alosza Nikonow) z woroneskich szkół nr 33 i 82, którzy byli świadkami zdarzenia. Na podstawie ich relacji powstał przejrzysty obraz: czterech chłopców w wieku 12-16 lat grało w piłkę nożną, dwie dziewczynki i starsza kobieta siedziały na ławce w parku, około dwudziestu osób stało lub siedziało na przystanku autobusowym, inne spacerowały po parku, paru mężczyzn piło wódkę na skrzynkach.

Zapadł zmierzch. Koło 18³⁰ Lena Sarokina powiedziała coś wskazując na niebo. Coraz więcej ludzi patrzyło w górę, chłopcy byli tak zaskoczeni, że zapomnieli o piłce, która poleciała na jezdnię. Nad parkiem od strony ulicy Mendelejewa wisiała bezgłośnie kula koloru

* Wczesnym rankiem 31 grudnia 1978 roku zespół kamerzystów znajdujących się na pokładzie transportowego samolotu „Argosy” stosując różne obiektywy sfilmował nad

czerwonego wina, mająca średnicę około 10-20 m. Kula opuściła się nad trawnik od strony ulicy, ale nadal pozostawała parę metrów nad ziemią. Wszyscy widzieli, że trawa pod kulą była przygnieciona. Do góry patrzyło teraz około 30 osób. Kula bezgłośnie zniknęła.

Jeszcze gdy gorączkowo dyskutowano na temat zdarzenia a chłopcy pobiegli po piłkę, tajemniczy obiekt pojawił się znowu w tym samym miejscu. Tym razem w kuli pojawiła się szeroka szpara i w jasnym świetle płynącym ze środka ukazały się trzy duże postacie w srebrzystych ubraniach z okrągłymi tarczami na piersi. Miały brązowe buty i chyba troje oczu. Ich głowy z trzema podobnymi do oczu soczewkami były bardzo małe w stosunku do tułowia. Kula zawisła tuż nad ziemią, opuściły się schody i na trawnik zeszła jedna z dużych istot oraz jedna mała, której dotąd nie było. Naoczni świadkowie odnieśli wrażenie, że mała istota to robot, bo gdy duża postać „coś powiedziała” i uczyniła ruch, z istoty niewielkiej wybiegły promienie oświetlając na ziemi prostokąt o wymiarach około 40 na 60 cm. „Duży” znów wykonał ruch — prostokąt „zgasł” i „robot” ruszył w kierunku czterech chłopców.

Szesnastoletni Wołodia Starczew przycisnął piłkę do piersi i zaczął krzyczeć. Istota duża zaczęła iść za „robotem”. Potem skierowała na chłopca rurę mającą mniej więcej 50 cm długości — Wołodia ucichł i zniknął. Stojących ogarnęła panika. Zaczęli krzyczeć i uciekać. „Robot” i duża istota poszli z powrotem do kuli i zniknęli w środku. UFO zmieniło barwę na żółtawą, a potem białawą i zniknęło. Wołodia Starczew pojawił się znowu. Drżał, był przerażony. Powiedział, że przez cały czas nie mógł się poruszyć.

Trawa w miejscu lądowania była wygnieciona, jak gdyby przejechał po niej walec. Jeszcze sześć dni później w gruncie było widać zagłębienia rozłożone „jakby na wierzchołkach rombu” [190]. Członkowie Komisji ds. Badania Zjawisk Paranormalnych mieli ze sobą magnetometr geologiczny. „Obeszliśmy cały obszar z namiernikiem, wskazówka wychylała się najbardziej w środku miejsca, które według świadków było miejscem lądowania UFO. Włączony magnetometr wyświetlił same zera. *Zdarza się tak, kiedy wynik pomiaru wykracza poza skalę. Odnieśliśmy wrażenie, że natężenie pola magnetycznego było tu bardzo duże*” [190].

W opisie, który każdemu „normalnie” myślącemu (słowo „normalnie” wywodzi się od „norma”, co oznacza „jednolitość”) człowiekowi wyda się niewiarygodny i nielogiczny, pobrzmiewają znajome echa. To

już gdzieś było! „Bezgłośną kulę”, która „wisała nad ziemią i zmieniała kolor”, opisali 16 lat temu dwaj robotnicy stoczniowi Charles Hickson i Calvin Parker. Wieczorem 11 października 1973 roku w Pascagola

w stanie Missisipi zostali oni wciągnięci do wielkiej, kolorowej kuli i zbadani. Przypadek był analizowany przez wszelkie instancje, ale do dziś jest uważany za nie rozwiązana zagadkę [118]. (Ja również późną jesienią 1973 roku spotkałem się z ofiarami uprowadzenia i długo z nimi rozmawiałem. Doszedłem do przekonania, że z subiektywnego punktu widzenia ich opis jest dokładny — nie kłamali ani nie fantazjowali. W żaden racjonalny sposób nie umiem wyjaśnić tego zdarzenia.)

W Woroneżu naoczni świadkowie mówili o rurze długości mniej więcej 50 cm, skierowanej na chłopca. To też nie jest niczym nowym. 22 czerwca 1976 roku, o godzinie 21³⁷, nad Wyspami Kanaryjskimi zaobserwowano wiele UFO. Niedługo potem na sąsiedniej wyspie Fuerteventura lekarz, dr Francisco Padron Leon i wiozący go taksówkarz, Estever Garcia, przeżyli szok. Nad polem cebuli, po lewej stronie drogi, ujrzeli unoszącą się barwną kulę, wewnątrz której było widać „coś jakby platformę [...] i dwie duże istoty” [191]. Lekarz podał do protokołu, że istoty manipulowały przy przejrzystej rurze, z której wypływała niebieska ciecz. Nazajutrz w miejscu, gdzie znajdowała się kula, znaleziono spiralne ślady — rośliny były przygniecione do ziemi. Teraz mogę oczekiwać już tylko tego, że jakiś cwaniaczek powie, że woroneskie dzieci naczytały się amerykańskich i hiszpańskich gazet.

Niezdolni do nauczenia się czegokolwiek

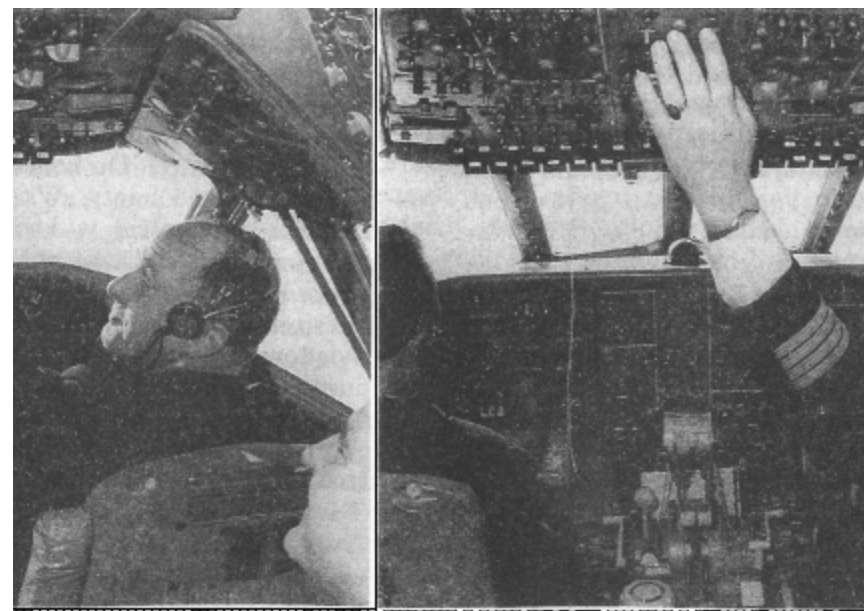
Co począć z takimi opisami? Odwrócić od nich oczy? Przestać o nich myśleć? Nie obciążać sobie nimi pamięci? Zachować spokój ducha i tylko sobie wmawiać: Coś takiego nie istnieje? Zrezygnować i popaść w depresję? A może milczeć ze względu na „rację stanu” czy religię? Uważam, że na dłuższą metę nie ma nic bardziej wyniszczającego i reakcyjnego od niedopuszczania do koniecznej dyskusji na ten temat! Musimy zająć się tymi wpływami z zewnątrz. Tak samo jak musimy na nowo opracować fakty spotkań istot pozaziemskich z naszymi przodkami, jakie zdarzały się tysiące lat temu. Nie można dopuścić do tego, żeby specjalistyczna wiedza na temat istot pozaziemskich była dostępna tylko kilku osobom.

Bo dotyczy ona nas wszystkich! Nieważne, jakiej jesteśmy rasy,

wyznania czy narodowości. Naiwni mogą przypuszczać, że gadanina o istotach pozaziemskich sama wygaśnie, a tajemnicze wydarzenia *dadzą* się wyjaśnić psychologizmem warunkowanym

146

aktualnymi problemami. Nie dadzą, bo wpływy z zewnątrz miały miejsce również w czasach nie mających nic wspólnego z teraźniejszością. „Wariant psychologiczny” jest tylko kolejną wymówką ogłupiającą nas. Także usypiająca propaganda religijna nie wystarczy żadnemu informacji społeczeństwu przyszłości. Wypowiedzi religijne będą miały coraz mniej przyjemny posmak. A nauki przyrodnicze nie wykręcą się założeniami Bacona, gdy będzie szło o przekazanie bliźnim zrozumiałych i przekonujących wyjaśnień niepokojących fenomenów teraźniejszości.



Kapitan-pilot Alexander Raab spotkał UFO 18 marca 1972 roku

147

Człowiek myślący jest *zarazem* odpowiedzialny. Nie uda nam się ocalić świata, hamując konieczne zmiany sposobu myślenia. Fanatycy wystawiający na pośmiewisko wszystko, co ma jakikolwiek związek z istotami pozaziemskimi, zrobili już wiele złego. Twierdzenie, że „tylko” chronią zgodnie ze „zdrowym rozsądkiem” to, co rozumne, prawdziwe, mądre i reprezentatywne z punktu widzenia moralności, jest uzurpacją. W poszczególnych przypadkach stopień arogancji jest nawet większy niż stopień ignorancji. Ale niechęć do przyjęcia czegoś do wiadomości jest nie tylko ignorancją - - to także obraza i drwina z milionów ludzi.

Prawdopodobne jest również, że określone grupy społeczne stosują

środki przymusu do zastraszania i wywierania nacisku na świadków pojawienia się UFO. Dwa przykłady:

18 marca 1972 roku Alexander Raab, wówczas pilot DC-9 Austrian Airlines, widział UFO: „Było to nad Linzem, stolicą kraju związkowego, na wysokości 6000 m. Maszynę wyprzedził z lewej strony latający obiekt w kształcie stożka. Ognisty kadłub miał formę lejka

1. wylocie skierowanym ku dołowi i emitującym jaskrawe światło. Raab
2. drugi pilot Otto Herold obserwowali UFO przez około 20 minut" [192]. Raab uważał, że może to być wszystko tylko nie coś pozaziemskiego — nagle tajemniczy obiekt zmienił kierunek, kompasy w kabinie pilotów „zwarowały", włączyły się alarmy. W tym czasie Raab usłyszał przez radio, że pilot Cessny oraz maszyny Lufthansy również zameldowali stacji naziemnej o zjawisku.

Na lotnisku reporterzy czekali już na Alexandra Raaba, który wcale nie był tym zbudowany. O zdarzeniu napisano w nagłówkach, pilota zaproszono do wzięcia udziału w dyskusji telewizyjnej. Jakiś czas potem u Raaba zadzwonił telefon. Głos z amerykańskim akcentem powiedział: „Badamy pański przypadek. Nie byłoby ani w pańskim, ani w naszym interesie dalsze opowiadanie o tej sprawie". Warto podkreślić, że numer telefonu Raaba nie figurował w książce telefonicznej. Ktoś próbował wywrzeć nacisk na pilota.

3 maja 1975 roku meksykański pilot Carlos de los Santos Montiel przeżył spotkanie z UFO, które przeraziło go do głębi duszy. Montiel leciał do Mexico City. W pewnej chwili jego maszyna, Piper Pa-24, wpadła w wibrację. Do końców skrzydeł przylgnęły dwa ciemnoszare, tarczowate przedmioty. Wkrótce pojawiło się trzecie UFO, lecące z wielką prędkością w kierunku kabiny pilota. Przestały działać elektroniczne urządzenia pokładowe. Z niewiadomych powodów maszyna leciała jednak dalej. Gdy UFO odłączyły się od samolotu, elektronika wróciła do normy, Carlos de los Santos Montiel bezpiecznie wylądował w Mexico City. Informacja o wydarzeniu dostała się do prasy, Carlosa poproszono o wzięcie udziału w dyskusji telewizyjnej.

Gdy jechał do studia, śledziła go jakaś limuzyna, która w pewnej chwili zajechała mu drogę. Wskoczyło z niej czterech mężczyzn. Jeden rzucił: „Jeśli ceni pan życie swoje i swojej rodziny, to niech pan z nikim nie rozmawia o tym, co pan widział!". Prowadzący dyskusję telewizyjną Pedro Ferriz na próżno czekał tego wieczora na zaproszonego gościa.

Po paru dniach Ferrizowi udało się przekonać zastraszonego pilota do wzięcia udziału w publicznej rozmowie na temat UFO. Carlos poznał tam profesora Allena Hynka (największy autorytet w sprawach UFO).

Ten, zafascynowany relacją Carlosa, zaprosił go nazajutrz na śniadanie do hotelu, w którym mieszkał. Przed wejściem Carlosowi zagroził drogę człowiek o szerokich barach: „Niech pan stąd spada i już się tu nie pokazuje!”. Tym razem prof. Hynek oczekiwał gościa na próżno.

Wiele było podobnych przypadków, czasem jednak postępuje się odwrotnie: na osoby, które widziały UFO, kieruje się światła reflektorów — wystawia się je na pośmiewisko.

Dwudziestosiedmioletni Kanadyjczyk Robert Suffern z Bracebridge w stanie Ontario 7.10.1975 roku przeżył na własnej skórze bliskie spotkanie z UFO. Gdy szedł do pobliskiego domu swojej siostry, drogę zagroziła mu *tarcza* o średnicy mniej więcej 10 m. W świetle reflektorów Robert Suffern ujrzał postać w hełmie i srebrzystym ubraniu, która zniknęła w oddali. Krótco potem UFO okrążyło słup wysokiego napięcia i wzniosło się bezgłośnie w nocne niebo.

I ta sprawa dostała się do prasy. Działkę Sufferna zaczęli oblegać łowcy pamiątek po UFO. 12 grudnia 1975 roku przed domem Sufferna zatrzymał się krążownik szos policji prowincji Ontario. Wsiadło zeń trzech mężczyzn w mundurach lotnictwa wojskowego, którzy oświadczyli, że mają najwyższe stopnie służbowe w Air Force i pokazali sceptycznemu Robertowi swoje legitymacje. Bez żadnych zastrzeżeń odpowiedzieli zdumionemu Suffernowi na wszystkie pytania związane z widzianym przez niego UFO. Wiedzieli, o której godzinie miało miejsce nocne zdarzenie i znali szczegóły nie podane przez prasę. Poinformowali go nawet, że „rządy USA i Kanady już od dłuższego czasu współpracują z obcymi istotami” [193]!

Skąd ten skok w drugą stronę? Sprawa była wałkowana przez media zbyt intensywnie, na zastraszanie było już za późno. Szczere odpowiedzi wydały się dziennikarzom blagą — skończyła się wiarygodność świadka. Zarówno przy zastraszaniu, jak i przy wystawianiu na pośmiewisko nielegalne środki nacisku stosuje się w celu wprowadzenia w błąd opinii publicznej. Jakim prawem? Kto dyktuje, co ludzie mają czytać, czego słuchać, co wiedzieć?

Temu, kto myśli, że zbiorowa psychoza z UFO jest reakcją ludzi nie potrafiących uporać się z problemami codzienności, szukających „religii zastępczej”, chciałbym przedstawić fakty:

Helmut Liehmann był majorem 2. Eskadry Myśliwców „Jurij Gagarin” ówczesnej NRD. Eskadra należała do 3. Dywizji Obrony Powietrznej stacjonującej w Neubrandenburg-Trollenhagen. (W trakcie

zjednoczenia Niemiec Narodową Armię Ludową, a więc i wojska obrony powietrznej, rozwiązano.) 13 sierpnia 1986 roku major Helmut Liehmann pełnił funkcję dowódcy eskadry. W godzinach

wieczornych do Nowej Brandenburgii dotarł chłodny front z północy, niebo było rozgwieżdżone, widoczność doskonała.

Major Liehmann lecąc kursem 270° wzniósł się na pułap 10 000 m i zobaczył pod kątem około $5-10^\circ$ w górę i $20-25^\circ$ od kursu świecący, okrągły obiekt. Księżyc już zaszedł. Świecąca „rzecz” była mniej więcej wielkości jednej dziesiątej tarczy księżyca. Nagle pod kątem prostym do powierzchni ziemi z obiektu wytrysnęła wąska wiązka światła. W pierwszej chwili major Liehmann pomyślał, że to reflektory samolotu kolegi, ale nic tam nie było, a żaden z pilotów eskadry, którzy również podziwiali fenomen, nie włączał reflektorów. Poza tym wąska wiązka świetlna wyraźnie różniła się od światła reflektorów. Nagle światło zgasło, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, a zdumiewający obiekt zaczął rozpływać się w powietrzu. „Kula” powiększała się przy tym i „wygaszała” jasność. Potem major Liehmann ujrzał coś jakby „kopułę”, która też zmieniała emitowane światło i w końcu całkiem zniknęła.

Zjawisko trwało okrągłe 15 minuf. Poza majorem Liehmannem fenomen widzieli podpułkownicy: Holger Bremer, Dieter Bittkau i Peter Martin. Widowisko obserwował też szef kontroli lotów na ziemi, podpułkownik Roland Legerer [194].

Krytycy przyczepią się od razu zadając pytanie, dlaczego to major Liehmann nie poleciał w kierunku obiektu? Odległość wynosiła 300 km, w oddali widać było blask światła Kopenhagi i Malmö. Odpowiedź jest prosta: Liehmann nie mógł naruszyć przestrzeni powietrznej obcego kraju.

13 kwietnia 1987 roku pracownicy Obserwatorium Astronomicznego w Berlinie-Treptow przysłali majorowi Liehmannowi rozwiązanie zagadki: „Zaprzysiężony pilot Narodowej Armii Ludowej wyraził przypuszczenie, że to, co widzieliście, mogło być skutkiem refleksów na szybach kabiny”.

Komentarze naukowców, dotyczące pojawiania się nieznanymi obiektów latających, są nie do utrzymania — kiedy naukowcy zaczynają studiować taki fenomen poważnie, nie utrzymują się w świetle nauki. Oto paru pilotów wojskowych krąży na wysokości 10 000-13 000 m. Widzą niepokojące zjawisko raz z lewej, raz z prawej strony swoich

maszyn. Promień strzela ku ziemi. A ci, którzy zawodowo „czytają” niebo, plotą o „refleksach na szybach kabiny”.

Gdyby jakiejś instytucji naukowej udało się zrealizować pomysł wpisania kilku tysięcy przypadków UFO do komputera, wówczas na ekranie można by wyświetlić sekwencje „takich samych przypadków”. Można by porównać warunki pogodowe, temperaturę, widoczność,

150

opisy świadków z innych krajów — wiadomo by było od razu, że „powiększająca się kula” i obiekt wypuszczający ku ziemi „wąską wiązkę promieni” nie są zjawiskami jednostkowymi. Dla porównania jeszcze dwa takie przypadki:

Jest noc 26 stycznia 1985. Samolot pasażerski Tu-134A leci z Tbilisi przez Rostów do Tallina (lot nr 8352). Nagle na niebie pojawia się jaskrawe światło, którego „promień” strzela ku ziemi. Światło jest tak silne, że czteroosobowa załoga i pasażerowie widzą ulice i domy [195]. Fenomen natury? W żadnym razie, bo świetlista kula spada w końcu z nieba i eskortuje samolot przez osiem minut.

Jest 22 lipca 1976 roku. Załoga korwety „Atrevida”, krążącej u południowych wybrzeży Fuerteventury (Wyspy Kanaryjskie), zostaje oślepiąca przez padający „z góry” jaskrawy promień światła. Z nieba pada drugi promień, który przez dwie minuty obmacuje wybrzeże. Nie słyhać przy tym żadnego dźwięku [191].

Nie twierdzę, że kula i promień, widziane przez majora Liehmanna i jego kolegów, były obiektem pozaziemskim, będę jednak twierdził, że on i piloci jego eskadry nie szukali „religii zastępczej” i nie padli ofiarą „zbiorowej psychozy”. To samo dotyczy pilotów Tu-134A i oficerów korwety „Atrevida”. Zajęci bezustannym poszukiwaniem „naturalnego wyjaśnienia” dla takich zjawisk, gwałcimy własny rozum.

Morskie opowieści?

Teoria względności Einsteina jest dla niefachowców równie pełna sprzeczności jak historie o UFO dla laików. „Bieg zegara jest zatem zwolniony tym bardziej, im większa jest masa materii w jego sąsiedztwie” [196]. Przebieg wszystkich procesów, mających określony rytm własny, jest więc spowalniany przez znajdujące się w otoczeniu ważkie masy.

Kto poza matematykami i fizykami zrozumie ten żargon? Trzeba sobie uświadomić, że w epoce, gdy Albert Einstein obwieszczał zdumio-

nemu światu, że człowiek w statku kosmicznym poruszającym się z wielką prędkością będzie się starzał wolniej od swojego brata-bliźniaka na Ziemi, nie było mowy o podróżach kosmicznych. Bzdura! Niemożliwe! Procesy biologiczne przebiegają zawsze tak samo we wszystkich organizmach żywych — niezależnie od tego, czy znajdują się one na Ziemi, czy w statku kosmicznym. I fachowcy, i laicy uśmiechali się rozbawieni. Ernst Mach, profesor fizyki na Uniwersytecie Wiedeńskim, komentował: „Teorię względności mogę zaakceptować w równie nie-

wielkim stopniu jak istnienie atomów i podobnych dogmatów" [197]. A jego kolega, prof. T. J. See, bądź co bądź dyrektor Państwowego Obserwatorium Marę Island w Kalifornii, drwił: „Teoria względności jest bezwartościowa i myląca" [198].

A przecież w *Ogólnej teorii względności* Einstein przedstawił swoje przemyślenia w sposób doskonały i poparł je dowodami matematycznymi. Dla fachowców znających tajniki algebry wszystkie sprzeczności z biegiem lat zniknęły, a w dzisiejszych czasach teorię Einsteina udowodniono eksperymentalnie. Dla laików jednak pozostaje ona po dziś dzień księgą tajemną.

Zachowanie istot pozaziemskich jest dla wielu mieszkańców Ziemi równie niejasne i absurdalne jak teoria Einsteina. Liczne działania UFO są pełne sprzeczności — dla laików. W przeciwieństwie do nich osoby obeznane z tematem nie obawiają się początkowych nielogiczności. Należy myśleć perspektywicznie, pytać o przyczyny i prawdopodobne cele i — proszę bardzo — nielogiczności znikają bez potrzeby stosowania kuglarskich sztuczek, mgła się rozwiewa. Musimy znów się nauczyć wątpić we wszystko, nie zadowolając się pierwszymi lepszymi odpowiedziami. Przed 25 laty amerykański biolog, dr Strauss z Uniwersytetu im. Johna Hopkinsa, obwieścił, że człowiek śniegu, yeti, nie jest niczym innym jak tylko niedźwiedziem tybetańskim. „Ponieważ nasza hipoteza jako jedyna nie jest fantastyczna, to musi być prawdziwa" [199]. Wedle takiej logiki trzeba tylko jeszcze pouczyć yeti, że jest niedźwiedziem tybetańskim.

„Ta cała gadanina o UFO jest niepotrzebna, głupia i szkodliwa, bo istot pozaziemskich nie ma", argumentują ludzie inteligentni. Czy wiedzą o tym również istoty pozaziemskie, czy dopiero trzeba im o tym powiedzieć?

Obawiam się, że sytuacja jest gorsza, niż nam się zdaje. „Ktoś" nas obserwuje, od czasu do czasu łapie parę egzemplarzy rodzaju ludzkiego, bada je i odstawia z powrotem do „mrówczego państwa". Często, ale nie

zawsze. Jest jeszcze gorszy scenariusz: „ktoś” wylawia sobie w przelocie kilka egzemplarzy rodzaju ludzkiego, utacza im trochę materiału genetycznego, z którym eksperymentuje następnie w statku kosmicznym. Śmieszne?

Sperma dla nieba

Od czasu przebadania Barneya i Betty Hillów przez istoty pozaziemskie 19 września 1961 wciąż zgłaszają się osoby twierdzące kategorycznie,

152

że załogi UFO nie tylko je badały, lecz również manipulowały przy ich narządach płciowych. Nie chodziło przy tym o sprawienie im przyjemności czy o gwałt — były to czynności czysto laboratoryjne. Porwani rodzaju męskiego utrzymywali, że pobierano im próbki spermy, rodzaju żeńskiego zaś, że przeprowadzano na nich „testy ciążowe”, „odsysania” — a nawet wywoływano sztuczne ciążę. Parę tygodni czy miesięcy później niedonoszone płody wyjmowano bezboleśnie z macicy metodami operacyjnymi. Literatura na temat UFO jest pełna opisów tego rodzaju, ale oczywiście nikt ich nie bierze poważnie.

Wiadomo przecież, jakie sny erotyczne i ukryte pragnienia mają ludzie. Znane jest też zjawisko „ciąży urojonej”. Z ludzkiego punktu widzenia zrozumiałe jest i to, że jest coraz więcej kobiet samotnych, które zostają zapłodnione zgodnie z naturą, nie chcą jednak przyznać, kto jest ojcem dziecka. W takim przypadku pomaga UFO — nawet jeśli nikt w taką wymówkę nie uwierzy. Kobieta czuje się wtedy wyróżniona, jest „wybrana”, „niepokalanie zapłodniona”. Czytając takie opisy przez ostatnie trzy lata uśmiechałem się ze znużeniem. Cięża z kosmitą? Ha! Próbki spermy pobierane przez istoty pozaziemskie? Paradne! Nie trwoniłem czasu na rozmyślenia nad tymi bzdurami, nie zadałem sobie nawet pytania, na co u diabła istotom pozaziemskim materiał genetyczny mieszkańców Ziemi. Wszystko było zbyt głupie, żeby zawierało choć odrobinę prawdy.

Być może nieopatrznie zabrałem się do wyszydzania tego problemu, wyrządzając tym krzywdę co najmniej kilku osobom. Bo to, co z pozoru wygląda na idiotyzm, kryje w sobie metodę. Amerykański autor Budd Hopkins przedstawił w 1987 roku rezultaty swoich długoletnich badań i poszukiwań, w których pomagali mu naukowcy różnych dziedzin, psycholodzy i lekarze. Hopkins przeanalizował serię „spotkań czwartego stopnia”, żądając od rozmówców zgody na poddanie się hipnozie. Podczas seansów hipnotycznych obecni byli zawsze dwaj dodatkowi świadkowie, każdą rozmowę nagrywano na magnetofon. Efekty mów-

czej pracy Hopkinsa są zdumiewające [200].

Badane osoby — mężczyźni i kobiety — mówiły pod wpływem hipnozy, że „utaczano” im materiał genetyczny. Często ten sam człowiek był trzykrotnie „badany”. W okresie dojrzewania, jako młody człowiek, a wreszcie jako trzydziestopięcioletni mężczyzna. Jeżeli to prawda — bo piszę te słowa nie bez zastrzeżeń — to istoty pozaziemskie „oznaczają” określone osoby już w młodości. My robimy tak samo na przykład z ptakami wędrownymi. Osoby badane pokazywały niewielkie bliźny, których pochodzenia nie potrafiły wyjaśnić. Wiele kobiet twierdziło, że istoty pozaziemskie pozbawiły je płodów, a później

153

pokazywały „małych potomków” — nie były to jednak istoty ludzkie, „ale jakieś mieszańce” [200].

Przypadki zebrane przez Hopkinsa to wierzchołek góry lodowej. W „New York Times Book Review” napisano: „Na stronach swojej książki Mr. Hopkins nie pragnie niczego poza tym, żeby go wysłuchać, a do tego ma pełne prawo. Jego książka jest nazbyt interesująca, żeby ją lekkomyślnie zbyć byle czym”.

Według Hopkinsa i kilku innych autorów [201, 202] nie tylko pojedyncze osoby, lecz również całe rodziny wywabiano na dwór „dziwnymi światłami”. W nielicznych przypadkach istoty pozaziemskie wchodziły do stojących samotnie domów jednorodzinnych. Ofiarom nie sprawiano bólu. Lewitowały one w jasno oświetlonych pomieszczeniach. Paru mężczyzn, którym na całe genitalia (nie tylko na penis) założono „coś gumowego”, czuło „jakby ruchy ssące”. Niekiedy mężczyźni byli stymulowani erotycznie przez „bardzo piękną kobietę”, która stosowała nawet „pozycję jeźdźca”. W przeciwieństwie do „olbrzymów” z Woroneża eksperymentatorami były zawsze „istoty niewielkiego wzrostu” o wielkich czarnych oczach, nie zawierających nic białego. „Nie można im było spojrzeć w oczy.” Obce istoty nie tłumaczyły swojego postępowania. Traktowały ofiary tak, jak my traktujemy dzieci.

Jeden z moich znajomych, któremu opowiedziałem tę historię, zareagował ze wzburzeniem: „To przecież kompletna bzdura! Zwolennicy UFO osiągnęli szczyt debilizmu”. Rozumiem takie reakcje, chciałbym jednak prosić o przemyślenie faktu, że dokładnie takie same treści znamy z przekazów mówiących o „bogach prehistorii”.

Wierzący katolicy są przekonani, że Maria była „niepokalanie poczęta”. Ale idea „niepokalanego poczęcia” jest stara jak świat.

Większość postaci czczonych jako twórcy religii było „niepokalanie” poczętych — często przychodziły one na świat w zagadkowych okolicznościach. Byli „synami boga” albo — jeszcze wcześniej — „synami bogów”. Buddę i Zaratustrę spłodził „boski promień”, który wniknął w łono matki-dziewicy. Jeszcze wcześniej, w *Mahabhamcie*, mamy niezamężną Kunti, zapłodnioną przez boga Słońca. Wedle zwojów znalezionych nad Morzem Martwym nawet biblijny Noe był efektem „niebiańskiego poczęcia”, bo jego matka Bat-Enosz nie uczyniła tego ze swoim mężem Lamechem — zapłodnił ją „jeden z synów nieba” [203]. Tybetańscy, japońscy, etiopski i staroegipski królowie powoływali się na „boskie pochodzenie”, a przy narodzinach Abrahama pojawili się nawet „aniołowie”, aby go powitać [204]. Czytelnicy moich książek dobrze znają niezliczonych „półbogów

154

prehistorii”, czyli hybrydy mające geny ziemskie i pozaziemskie. Na przykład Gilgamesz był w dwóch trzecich „boski”, w jednej trzeciej „ziemski”. I — patrząc z perspektywy czasu — te „mieszkańce” swoimi naukami skierowały historię ludzkości, ludzką etykę i ludzką moralność na zupełnie nowe tory.

Można też wysunąć argument, że na to wszystko trzeba spojrzeć i z drugiej strony. Dany człowiek mógł się wybić dzięki szczególnym umiejętnościom, jego zaś czciciele przypisali mu „boskie pochodzenie”. Możliwe, tylko kto to dziś sprawdzi? Ale wydaje mi się, że w starych pismach jest za wiele zbyt dokładnych opisów takich zagadkowych zapłodnień. Unaoczni to następujący przykład:

Z przekazów indyjskiej religii dżinijskiej wiadomo, że bóg Harinaigamesin zasadził embrion w łonie kobiety ludzkiej. „Zesłał na nią sen głęboki, lecz jej oczy były otwarte. Po czym uczynił jej to bez bólu, bo była w stanie snu” [205]. (Dokładnie tymi samymi słowami — „jak we śnie” — opisują swoje przeżycia dzisiejsze ofiary.) Wkrótce potem „niebiańskie istoty” postanowiły wyjąć embrion z łona prostej kobiety i włożyć do macicy królowej, bo dziecko powinno rozwijać się w odpowiedniej atmosferze, musi zatem dorastać na królewskim dworze. A więc znów na Ziemię. Tu embrion wyjęto i przeniesiono do macicy królowej, która w 599 r. prz. Chr. urodziła zdrowe dziecko olśniewającej piękności. Dziecko to o imieniu Mahawira stworzyło następnie dżinizm.

Tysiące lat przed zamieszkaniem bogów w mieście Nippur „bóg powietrza” Enlil zapłodnił czarującą Meslametę. Mówi o tym tabliczka z pismem klinowym: „[...] Nasienie twojego pana, nasienie lśniące, jest w moim łonie; nasienie Sinsa, boskie nasienie, jest w moim łonie [...]”

[206]. „Bogowie” nie cofali się nawet przed gwałtem. Piękna córka ziemi, Ninlil, obawiała się zapłodnienia. Na jednej z pokrytych pismem klinowym tabliczek z Nippur czytamy: „[...] Moja pochwa jest za mała, nie umie spółkować. Moje usta są za małe, nie umieją całować [...]” [206]. „Boski” Enlil puścił te słowa mimo uszu.

A nawet w świętych księgach Starego Testamentu mówi się o krzyżówkach „strażników nieba” (w niektórych przekładach zwanych też „aniołami”) z córami ludzi. Najwybitniejszym reporterem, który zajmował się takimi sprawami, był siódmy z dziesięciu praojców sprzed potopu, prorok Henoch. Przeżył podobno na ziemi 365 lat — nie umarł wszakże, lecz został wzięty na wozie ognistym do nieba. Henoch opowiada o dwustu „strażnikach nieba” czy inaczej „zbuntowanych aniołach”, którzy zadawali się z córami rodzaju ludzkiego. Od „Najwyższego” (dowódcy statku kosmicznego?) Henoch dowiedział się

155

później, że „strażnicy nieba” złamali w ten sposób najsurowsze przykazanie:

„[...] Poszli do cór rodzaju ludzkiego, spali z nimi, splamili się kobietami [...]. Czemuż porzuciliście wysokie i wieczne niebios, spaliście z kobietami, splamiliście się córami rodzaju ludzkiego i postępowaliście jak dzieci ziemi i splodziliście olbrzymy?” Te zdumiewające zdarzenia nie są więc zjawiskiem współczesnym, miały miejsce już w epoce naszych praojców. Ewa została podobno stworzona z „żebra” Adama. Znak sumerskiego pisma klinowego oznaczający żebro wygląda jak strzała skierowana do góry, a znaczy „siła życiowa”. Wielokrotnie przedstawiałem pogląd, że *Homo sapiens* jest efektem celowej, sztucznej mutacji dokonanej na jakimś (istniejącym) hominidzie. Bogowie stworzyli człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

Tylko jedna hipoteza?

Jeżeli dzisiejsze opisy pobierania spermy i sztucznego wywoływania ciąży okażą się prawdą, będziemy musieli zadać sobie kolejne drażliwe pytania. Pytania niepokojące, lecz nieuniknione. Czego właściwie chcą od nas istoty pozaziemskie? W co z nami grają? Przed tysiącleciami dopomogli rodzajowi ludzkiemu w rozwoju przez dokonanie sztucznych mutacji. Skierowali dzikiego, nieucywilizowanego, dopiero co wyrosłego ze świata zwierząt człowieka na nowe drogi. A dziś? Czy tworzą ludzi nieziemskich? Czy ludzkie postacie wyhodowane na statkach kosmicznych będą szmuglowane na Ziemię, gdzie przejmą

eksponowane pozycje w społeczeństwach? Czy obce istoty wyrosną na wzorce? Wzorce czego? A może jest w tym ukryty zamiar systematycznego zmniejszania różnic między nimi a nami — żeby ich nowa przyszłościowa forma mogła przeżyć w atmosferze ziemskiej, żeby była odporna na ziemskie bakterie? A może chodzi o zupełnie coś innego? Może istotom pozaziemskim potrzeba świeżego materiału genetycznego?

Przypuśćmy, że kolonia kosmiczna (może to być także pokoleniowy statek kosmiczny) jest w drodze od tysięcy lat i właśnie dotarła do Układu Słonecznego. Nie stało się tak za sprawą przypadku — na dawnych mapach nieba podróżników kosmicznych już dawno zaznaczono nasze położenie. W końcu ich przodkowie bywali tu w niepamiętnych czasach. Mieszkańcy kolonii kosmicznej, oddaleni jeszcze o miliony kilometrów od Układu Słonecznego, mogliby stwier-

156

dzić, że na Ziemi działa radio i telewizja. Mogliby z oddali zanalizować najważniejsze ziemskie języki i odczytać, o jakiej polityce i religii śnimy. Można się tego dowiedzieć z radia i z telewizji. Patrząc spoza Układu Słonecznego, do Ziemi można dotrzeć tylko przecinając orbity zewnętrznych planet układu. *Zalicza* się do nich gromada planetoid między Marsem a Jowiszem. Czego kolonia kosmiczna potrzebuje najbardziej po podróży trwającej wiele tysięcy lat? Energii. Gdzie ją najłatwiej znaleźć? W gromadzie planetoid. Tam znajdują się najróżniejsze minerały i rudy. Są tam wszystkie surowce, jakie ma do zaoferowania Układ Słoneczny. Trzeba tylko wyciągnąć po nie „rękę”.

Możemy również założyć, że taka kolonia kosmiczna osiadła w gromadzie planetoid już w latach czterdziestych naszego stulecia. *Nie* zauważylibyśmy jej wówczas z Ziemi! Dziś dysponujemy na pewno technicznymi możliwościami, pozwalającymi ją wykryć, ale tego nie robimy! Dlaczego? Bo nie bierzemy takiej możliwości w ogóle pod uwagę. Żaden liczący się naukowiec, żaden polityk nie odważy się czegoś takiego zaproponować. Wyobraźmy sobie ministra niemieckiego rządu, który z całą powagą proponuje wysłać ku planetoidom bezzałogową misję kosmiczną, mającą zbadać, czy nie osiadła tam jakaś inteligencja pozaziemska. Faceta zdjęto by z mety. W końcu taka misja trochę kosztuje. Nie jest też najtańsza operacja prowadzenia nasłuchu z tamtego rejonu Układu Słonecznego. Wobec naszej obecnej mentalności nawet naukowcy odmówiliby współpracy. Istoty pozaziemskie na planetoidach? Ależ proszę pana!

A istoty pozaziemskie czułyby się tam jak u Pana Boga za piecem. Przez dziesięciolecia uzupełniłyby zapasy energii, a w celu studiowania

rodzaju ludzkiego wysyłałyby na Ziemię UFO najróżniejszego kalibru. Ponieważ nie zachowują się agresywnie i na potrzeby badań i eksperymentów uprowadzają tylko pojedynczych ludzi — bo zachowują reguły „embarga” — ludzkość (poza nielicznymi zdefektowanymi egzemplarzami) nie czuje się zagrożona. Reakcję da się przewidzieć. Za przykład niech posłuży nasze mrowisko.

Można też założyć, że mieszkańcy kolonii kosmicznej zaczynają się degenerować. Potrzeba im genetycznej „świeżej krwi”. Mają czas, znacznie więcej czasu od załatanych ludzi, którym dany jest tylko króciutki okres twórczy. Ponieważ w istocie jesteśmy spokrewnieni (powtarzam: bogowie stworzyli człowieka na obraz...), w naszych gatunkach nie ma sprzecznych cech genetycznych. „Stworzą” sobie nowe pokolenia z genetycznego depozytu znajdującego się na Ziemi. Może wzięli akurat te cechy, które u nas nie zawsze są w cenie — waleczność, twardość, chęć przetrwania, dar wynalazczości, genialne

157

zdolności muzyczne, miłość i fantazję twórczą. „Nowe przynosimy nie dla zmylenia upiorów, lecz dla ich oświecenia” (Galileusz).

Psychologiczny masaż świadomości

Dla wszystkich przypadków UFO, aż po spotkania czwartego rodzaju (uprowadzenia), strona przeciwna ma „rozsądne wyjaśnienie”. Kiedy zawiodą zjawiska meteorologiczne i przedmioty pochodzenia ziemskiego, ze wszystkim upora się psychologia. Pomoże wszędzie i nigdzie, w zależności od tego, czy się w nią wierzy, czy nie. Kiedy amerykański autor Whitley Strieber opisał w dwóch książkach swoje przeżycia z porwania, które odniosły prawdziwy sukces, krytycy odkryli, że Strieber pisał już horrory. Wielokrotne zapewnienia autora, że jego historia o uprowadzeniu opiera się na faktach i nie ma nic wspólnego z dotychczasową pracą pisarską, przebrzmiały bez echa. (Uważaj! Jeśli jesteś pisarzem, nie możesz być uprowadzony.)

Inni uprowadzeni *zaczęli* coś sobie wymyślać, bo obejrzeni w telewizji serial „Statek kosmiczny 'Enterprise'” albo film Spielberga „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”. (Uważaj! Jeśli kiedykolwiek będziesz miał pecha i zostaniesz uprowadzony przez nieznaną istotę, nie wolno ci przedtem ani czytać powieści science fiction, ani oglądać filmów z UFO.) Inni zaś zwolennicy istnienia UFO opowiadali swoje historyjki tylko dlatego, że była po temu właściwa pora. Jeśli w środkach masowego przekazu pojawia się fala informacji o UFO, jak na przykład po doniesieniu agencji TASS o wypadkach w Woroneżu, to masa ludzi ma zaraz do opowiedzenia coś podobnego. (Uważaj! Jeśli będziesz uprowadzony przez UFO, to nie może się to zdarzyć w okresie nasilonego zainteresowania tą problematyką.)

Największa część „osób opowiadających niestworzone historie o UFO” żyje w trudnych warunkach. Stwierdzono też, że wiele ofiar uprowadzenia przeżywało wtedy akurat „kryzys” [208]. Osoby te miały trudności finansowe, problemy z partnerem, były w trakcie rozwodu, dorosłe dzieci się wyprowadziły, przyjaciel odszedł albo — co kto lubi — miały platfusa. ((Uważaj! Jeśli uprowadziło cię UFO, musisz się zachowywać, jakbyś był święty.) Ależ nie! Na Boga! Od razu byłoby jasne, po co ci historyjka o UFO — potrzebujesz religii zastępczej. Bolesna utrata religii wpojonej w dzieciństwie powoduje potrzebę przyswojenia sobie nowej wiary — w UFO. (Uważaj! Jeśli odszedłeś od Kościoła lub przeżywasz kryzys wiary, nie możesz widzieć UFO, a w żadnym razie być przez nie uprowadzony!)

A jeśli uprowadzonych nie da się zaklasyfikować do żadnej z tych kategorii, to będą oni po prostu „ludźmi próbującymi zrobić na tym

jakiś interes", „psychopatami" bądź ofiarami innych „mechanizmów psychicznych" [209]. Stwierdzono zresztą, że „praktycznie wszystkie amerykańskie relacje o uprowadzeniach pochodzą z jednego źródła"

1. z publikacji autorstwa Budda Hopkinsa [208]. Przypadki takich uprowadzeń — poczynając od najdalszej przeszłości rodzaju ludzkiego
2. miały wprawdzie miejsce na długo przed wydaniem jego pierwszej książki na ten temat w 1981 roku, ale nie obchodzi to nikogo, kto zwykł dawać satysfakcję swojej „przyjemności" wyjaśnieniami natury psychologicznej.

Poznawszy te jakże liczne wzorce zachowań zrozumiałem, że żaden człowiek zdrowy na umyśle nie może mieć kontaktów z UFO. Trzeba to jeszcze przekazać milionom mieszkańców Ziemi zaszokowanych przybyciem obcych. A przy okazji naopowiadać im o faktach obiektywnych. Począwszy od namiarów radarowych, filmów wideo, fotografii, wygniecionych trawników czy pól cebuli (wszystko da się wyjaśnić „w sposób naturalny"), przez oparzenia skóry ofiar po masowo fałszowane dokumenty z podpisami prezydentów państw i najwyższych wojskowych. Odpowiedź na pytanie, kto tu z kogo robi balona, jest jasna jak słońce.

Guru dawnych religii i współczesnych sekt wymagają od swoich zwolenników ślepej wiary, nie oferując w zamian żadnych cudów. „W przypadku UFO jest odwrotnie: mamy pełno cudów, ale w samo zjawisko nikt nie wierzy" [200].

Ja, wędrowiec po różnych epokach, uważam, że wszystkie argumenty natury psychologicznej mają nader niepewne podstawy. Na pewno są ludzie, którzy po prostu kłamią, inni, którzy w ten sposób chcą dostać się na afisz, jeszcze inni, którzy dają się wprowadzić w błąd, socjopaci albo podpadający pod kategorię psychopatów — tyle że dotyczy to w takim samym stopniu lobby antyufologicznego. Tam również są nie tylko święci! Nie należy zachowywać się tak, jakby bezsensowny upór i religijno-psychologiczny wzorzec można było zlokalizować tylko u osób, które miały pecha i zetknęły się z UFO. Nie chciałbym badać psyche drugiej strony.

Wedle wzorca stosowanego przez wszystkowiedzących w dziedzinie psychologii powinienem już od dawna widywać różne UFO, a co najmniej raz zostać uprowadzony na pokład któregoś z tych pojazdów. Fakt, zaliczam się do ludzi, którzy chętnie nawiązaliby kontakt z UFO. W końcu mam parę pytań do pozaziemskich przyjaciół. Niestety moje pragnienie dotąd się nie spełniło. Nie miałem ani spotkania pierwszego ani czwartego rodzaju. A szkoda!

Ale nie jestem pesymistą i cieszę się, gdy komuś udaje się to, co mnie się nie zdarza. Los nie dał mi ujrzeć prawdziwego UFO — ale przed oczyma mam niezłe fotografie tych pojazdów. Na przykład trójkątne UFO, które z początkiem kwietnia 1990 roku pojawiło się nad Belgią. Te wspaniałe dokumenty zostały zamieszczone w dziele naukowym [215]. Przedstawiony obiekt poruszał się z wielką prędkością — dlatego cztery w sumie światła są nieco zamazane. Dopiero po przetworzeniu barw (niebieskie są nieprawdziwe) ukazał się ciemny, trójkątny kadłub UFO. A gdyby ktoś pomyślał, że to latawiec albo fałszerstwo, ten przemyka nie to oko, co trzeba. UFO zabawiło się w kotka i myszkę z belgijskimi myśliwcami przechwytyjącymi. Trójkątne? Śmieszne! Też bym się pośmiał, gdyby trójkątnych UFO nie widziano już w starożytności. Dwa przykłady:

WII Księdze (Kosmologia) *Historyi naturalnej* [216] rzymski historyk Pliniusz Starszy (24-79 po Chr.) opowiada o puklerzach gorejących i iskrzących się, które o zachodzie słońca straszły ludzi. Zdarzyło się to w czasach konsulów L. Waleriusza i O. Mariusza. Obaj panowie żyli około 100 r. prz. Chr.

Gdy Aleksander Wielki w 332 roku prz. Chr. oblegał Tyr, nad obozem macedońskim pojawiło się „pięć tarcz lecących w szyku bojowym” [217]. Obiekty te powoli okrążyły twierdzę, a „tysiące wojowników obu armii obserwowało je ze zdziwieniem”. Nie była to ani zbiorowa psychoza, ani zjawisko naturalne, bo z jednej tarczy wystrzeliły błyskawice, trafiając w wały i wieże. Mury runęły. Żołnierze Aleksandra zdobyli szturmem Tyr. Po udzieleniu niespodziewanej pomocy militarnej „latające tarcze” z Kosmosu zniknęły z wielką prędkością na południowym niebie. „Fakty są wrogiem prawdy” (Miguel Cervantes, 1547-1616).

Czasopismo „Die Sterne” opublikowało ostatnio artykuł pióra dr. Roberta Pinottiego z Florencji. Uczony przedstawia w nim swoje przemyślenia na temat „szoku kulturowego”, jaki wywołałaby pozaziemska ingerencja na Ziemi [210]. Dr Pinotti uważa, że na Ziemi panuje obecnie uczucie „powszechnej dezorientacji” — które może się przeobrazić w „kulturową bombę z opóźnionym zapłonem”, mogącą „wybuchnąć w każdej chwili”. „W tej sytuacji informacja o istnieniu ETI (Extra Terrestrial Intelligence, ang. — inteligencja pozaziemska) może się okazać zgubna.”

Pierwszą reakcją ludzkości na istoty pozaziemskie byłby „kryzys światowych autorytetów. Dotknąłby on nie tylko naukę, religię i filozofię, lecz również struktury polityczno-społeczne”. Pinotti sądzi, że w razie szokującego opinii publiczną pojawienia się istot pozaziem-

skich krytyce zostaną poddane nauki przyrodnicze, naukowcy konserwatywni zaś wysmiani. „To znaczy, że z wyjątkiem ograniczonego kręgu elity naukowej i kulturalnej ewentualny kontakt z inteligencją pozaziemską wywoła na całym świecie strach, panikę, zbiorową histerię, kryzys autorytetów, i wyzwoli powszechną anomie — szczególnie jeśli Ziemia będzie odgrywać w trakcie nawiązywania kontaktu rolę pasywną.”

Co robić? Spuścić na istoty pozaziemskie i UFO zasłonę milczenia? Karmić wstrząśniętych ludzi wyjaśnieniami natury psychologicznej? Zostawić ofiary uprowadzeń na pastwę losu? Zaopatrywać prasę w pastylki uspokajające? Dr Pinotti dobrze ocenia sytuację. Uważa za konieczne „przygotowanie światowej opinii publicznej do kontaktu, zanim rozpowszechni się informację o nim”. Trzeba wspólnie stworzyć „naturalne warunki, w których konfrontacja z inteligencją pozaziemską nie będzie dla ludzkości szokiem”. Pinotti postuluje wprowadzenie „strategii wychowawczej”, takiego programu przygotowawczego dla ludzi, który złagodzi szok po przybyciu „bogów”. „Przyszłość cywilizacji ludzkiej zależy od przygotowania opinii publicznej, zanim rozpowszechni się informację, że istoty pozaziemskie istnieją. To historyczny obowiązek nas wszystkich.”

To pan to powiedział, doktorze Pinotti!

Zbadane i uznane za zbyt banalne

Na razie naukowcy i ludzie z mass mediów nie wykorzystują jedynej szansy oddania sprawiedliwości swojemu „historycznemu obowiąz- kowi”. Od lat na polach Wielkiej Brytanii pojawiają się zagadkowe znaki — a my tylko się z tego śmiejemy. Nie chcemy, żeby znaki te miały cokolwiek wspólnego z czymś nieznanym. To niemożliwe, tego nie ma. Dajemy więc natychmiast wiarę informacji otrzymanej od paru studen- tów i dwóch emerytów, że to oni są autorami fałszerstwa. Nareszcie! Wiedzieliśmy o tym od dawna! Znaki od istot pozaziemskich? Ależ proszę pana!

Nie twierdzę — jakże mógłbym? — że zdumiewające figury są posłaniami z innego świata. Wiem także, że fałszerstwa zdarzały się i zdarzają. Ale ta „teoria o fałszerstwach” nie sięga dalej czubka nosa. Zespół badawczy Ancient Astronaut Society* obserwował przez wiele

* Ancient Astronaut Society (AAS) jest międzynarodowym stowarzyszeniem użyte- czności publicznej, zajmującym się tematyką związaną z istotami pozaziemskimi. AAS organizuje mityngi, kongresy i podróże studyjne. Wydaje biuletyn informacyjny.

161

tygodni pola żyta i rzepaku w Anglii. Podobnie grupy naukowców japońskich i angielskich. Wszyscy zauważyli zadziwiające zjawisko. „Na przykład w nowej figurze zaobserwowano ekstremalne anomalie działania kompasu. (Szalone obroty i tendencja do przyjmowania pozycji pionowej przez igłę magnetyczną.) W innym przypadku nieusz- kodzone źdźbła zbóż przyniesione z zewnątrz do no- wego piktoqramu pogięły się same w ciągu paru minut. Kolejne doświadczenia potwierdziły to zjawisko. Nazajutrz w tym samym piktoqramie nie zaobserwowano już czegoś takiego” [211].

Fałszerze i inne naiwniaczki mogą sobie wydeptywać na polach w miarę proste linie i okręgi łamiąc źdźbła zbóż, ale za powstawanie piktoqramów skomplikowanych, powstających nocą, nie są odpowiedzialni ani emeryci, ani studenci. Pojawiają się tam bowiem obrazy niewiarygodnej piękności i różnorodności. Znaki mają długość i szerokość dochodzące do 200 m. Na przykład piktoqram powstały 11 lipca 1990 koło Alton Barnes czy 3 sierpnia 1990 koło Cheesefoot Head (Winchester). W obu przypadkach chodzi o cykle wiążących się ze sobą powierzchni kolistych, pierścieni, łączników, znaków geometrycznych i zagadkowych wisiorów.

Najwspanialszy dotąd znak powstał nocą 17 lipca 1991 na polu pod Barbury Castle. Na trójkącie równoramiennym o długości boków

ponad 100 m znajdują się dwa okręgi, w środku zaś trójkąta koło. Ze środka koła trzy linie wybiegają ku wierzchołkom trójkąta. Do każdego zaś wierzchołka przylegają inne koła — różniące się między sobą. Podrobienie w ciągu jednej nocy tak wielkiego i doskonałego obrazu jest praktycznie niewykonalne. Chyba że całe kompanie wojska przymaszerowały wydeptywać pola według olbrzymich szablonów. To jednak należy wykluczyć, zważywszy stałą obserwację terenu prowadzoną w nocy przy pomocy noktowizorów.

Zastanawiałem się, jak można sfabrykować tak wielkie obrazy. Nie zrobią tego drepczący po polach studenci i emeryci. Wizerunki są na to za precyzyjne, źdźbła ugięte spiralnie, ale nie połamane. Pomyślałem, że może sprytny chemik jeszcze zimą, kiedy pola nie były pod obserwacją, spryskał glebę jakimś pestycydem. Oczywiście według szablonów. Parę miesięcy później rośliny urosły a pestycyd *zaczął* działać — i to tylko w miejscach wytyczonym przez szablon. Kłosa kładą się na ziemi, do „wygniecionego” miejsca nie prowadzi żadna ścieżka, a zdumieni ludzie głowią się nad fenomenem.

Członkiem AAS może być każdy. Bezpłatne informacje otrzymają państwo pisząc pod adres: AAS, Ch-4532 Feldbrunnen, Szwajcaria.

162

Do proponowanego rozwiązania nie pasuje jednak fakt, że znaki powstają tylko w nocy. Chemia nie zna środka niszczącego rośliny, który działałby tak wybiórczo a do tego wyłącznie w nocy. Poza tym rozwiązanie nie wyjaśnia anomalii magnetycznych i innych zjawisk fizycznych w obrębie znaków. W samej Anglii zaobserwowano ponad tysiąc różnych „piktogramów”. Hipotetyczny fałszerz musiałby zimą jeździć po polach z cysterną pełną pestycydów.

Poza tym z roku na rok znaki stają się coraz bardziej wyrafinowane. Widać wyraźną ewolucję przesłania. Fałszerze musieliby być obdarzeni nie lada talentem a nie obeszloby się bez udziału okolicznych chłopów. Przecież figur tak wielkich i skomplikowanych nie da się sfalszować cichaczem. Dotychczasowe pytania nadal czekają na odpowiedzi.

Kto albo co igra z nami? I dlaczego? A jeśli hipoteza mówiąca o fałszerstwie okaże się prawdziwa, to kto od 15 lat niepostrzeżenie podrabia tak gigantyczne piktogramy? Z niewiarygodną perfekcją? Czy ma tu miejsce jakby „krytyczne sprzysiężenie”? Jeżeli tak, to musiałoby przybrać tak wielkie rozmiary, że trudno by je było utrzymać w tajemnicy przez tak wiele lat. Nawet gdyby założyć udział wojska, nie można liczyć się z tym, że wykonawcy będą siedzieć

cicho. A poza tym, gdyby dziś pojawiła się grupa chemików albo drużyna piłki nożnej, która by się przyznała: „To my!”, to żaden krytyczny rozum by jej nie uwierzył. Nie można robić z ludzkości balona przez 15 lat.

A jeśli są to przesłania z innego świata lub z innej epoki, to co chcą osiągnąć nadawcy? Przypuszczam, że dokładnie to, co osiągnęli. Ludzkość powinna się zaniepokoić! Powinna koniecznie przemyśleć fenomen! Posłanie powinno być powielone i rozpowszechnione! Ktoś chce nas ośmielić. Ale reakcja „elity intelektualnej” jest taka sama jak w przypadku UFO. Śmiech! Zamiast zając się piktograficznymi posłaniami w sposób rzeczowy, wsadzamy głowę do mętnej wody i cieszymy się niepowodzeniem bliźnich, którzy dysponując niedostatecznym wyposażeniem próbują zgłębić tajemnicę. Ani naukowcy, ani środki masowego przekazu nie potrafią zrozumieć swojego „historycznego obowiązku” (R. Pinotti). Pisał o tym publicysta Michael Hesemann:

„To, że figury powstające w zbożu latem 1991 roku nie zwróciły większej uwagi ani środków masowego przekazu Niemiec, ani Anglii, było skutkiem serii zręcznych manipulacji mających na celu utrzymanie zainteresowania opinii publicznej tym faktem w założonych granicach. W 1990 udało się to dzięki oficjalnemu fałszerstwu

163

dokonanemu na polu żyta ('Operation Blackbird'), które z dnia na dzień zastopowało relacje w mass mediach; w 1991 roku metody takie sprawdzono w Niemczech” [212].

Słynny autor science fiction Arthur C. Clarke twierdził kiedyś, że „stojąca na dość wysokim poziomie rozwoju technika byłaby dla ludzi nie do odróżnienia od magii” [213]. Podobnie sformułował to prof. Carl Sagan z Cornell University w Nowym Jorku: „Jeśli istoty pozaziemskie wyprzedzają nas w rozwoju techniki tylko o kilka stuleci, to 'trzeba od nich oczekiwać działań magicznych'” [214].

Nie potrzeba do tego stuleci. Hologramy uzyskuje się przy pomocy lasera. W pomieszczeniach pojawiają się przedmioty i żywe postacie, które można oglądać ze wszystkich stron. Postać człowieka naturalnej wielkości uzyskana metodą holograficzną i pokazana naszemu dziadkowi anno 1950 byłaby zaklasyfikowana przezeń jako „duch”. Czarnoksiestwo? Nie, technika. W ramach programu SDI, znanego również pod (niewłaściwą) nazwą „wojny gwiazdne”, projektuje się działa laserowe, którymi można by zrealizować wspaniałe kolorowe reklamy na powierzchni Księżyca a widzialne z Ziemi. Jak zareagujemy, kiedy na

tarczy Księżyca podczas pełni w tajemniczy sposób pojawi się napis *mane thekelfaresl*. Słowa te pochodzą z języka aramejskiego, a można je znaleźć w Starym Testamencie (Dań. 5, 25-28). Podczas uczty u babilońskiego króla Baltazara (Belsazara) słowa te wypisały na ścianie pałacu królewskiego „palce ręki ludzkiej”. Znaczenie tych słów jest niejasne po dziś dzień. Niektórzy wykładają je w sposób następujący: „On (Bóg) obliczył, zważył, podzielił”, inni zaś: „Wyliczono jedną minę, jeden syki i jeden półsyki”. Powiedzenie uznano za przepowiednię, z której wywodzi się przysłowie: „Zważono, ale uznano za lekkie”.

Na nic racjonalne myślenie, jeśli nic nie będzie wiadomo o technologii przyszłości. „Dziadek widzi duchy” a „masy ludzkie pismo Boga na Księżycu”. Takie byłoby nasze nastawienie! Przed tysiącami lat istoty pozaziemskie zdawały się naszym przodkom demonami i bóstwami przybyłymi z nierzeczywistych krain. Ludzie nie byli w stanie zrozumieć ich techniki. A dziś? Technika istot pozaziemskich, nawet jeśli wyprzedza naszą tylko o kilka stuleci, sprawia wrażenie „metafizycznej”. Nie możemy jej ocenić z technicznego punktu widzenia. Stoimy wobec zagadek. Naiwny rozum chce zaklasyfikować ową nadnaturalność jako magię albo „boskie czarodziejstwo”, którego nie musi rozumieć. Rozum naukowy „magię” odrzuca. Nie przyjmie do wiadomości nic „metafizycznego”. Nie ma tego, czego być nie może. „Mamidła” Francisa Bacona nie istnieją. Kto tu kogo mami? Ten, kto „mamidła” widzi, czy ten, kto ich widzieć nie chce? Ten, kto przeżył kontakt z UFO, czy ten, kto załatwia takie zjawiska słowem „mędrkowanie”? Ten, kto rozmyśla na temat „mistycznych znaków” na angielskich polach, czy ten, kto się z nich śmieje do rozpuku?

Łańcuch informacji prowadzących do poznania nigdy się nie zerwie. Wszyscy jesteśmy istotami epoki przemian. Istniejemy w teraźniejszości a postrzegamy tylko maleńkie odpryski całości. Nie mamy prawa ani do odkładania prawdziwych ofiar porywanych przez UFO do szuflady psychopatologii, ani do przedstawiania dzieci, które miały „boskie objawienia”, jako „chorych psychicznie”. Może gdzieś we Wszechświecie istnieje „religia galaktyczna”, może są istoty pozaziemskie odpowiedzialne za jej rozpowszechnianie. Nowe wyobrażenia o wartościach i nowe technologie będą stale dozowane i dostosowywane do epoki oraz stopnia intelektualnego rozwoju. Czy wiemy, kto „pociąga za sznurki” rozwoju ludzkości? Kto stoi za posłaniami i informacjami, które zmieniają historię świata? Może czekają na nas całe tomy encyklopedii galaktycznej, której wiedzę dawkuje nam się na razie maleńkimi porcjami? Drzewo poznania rośnie w przyszłości, a ostatecznie „każdy postęp jest tylko urzeczywistnieniem utopii” (Oskar Wilde, 1854-1900).

164

9

10

11

12

13

14

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

166

Przypisy

. Urs Bitterli, *«Wilden und die Zivilisierten*, München 1976.

. Christoph Columbus, *Das Bordbuch von 1492 und andere Aufzeichnungen*.

Pod red. R. Griina, Tübingen 1970.

. Bernardino de Sahagun, *Historia general de las cosas de Nueva Espana*,

Madrid b.d.

. Nigel Davies, *Die Azteken*, Düsseldorf 1974.

. Victor von Hagen, *Die Wüstenkönigreiche Perus*, Bergisch Gladbach 1979.

. Nathan Wachtel, *La ncion des vaincus*, Paris 1971.

. Heinrich Harrer i H. Pleticha, *Entdeckungsgeschichte aus erster Hand*,

Würzburg 1968.

. H. Nevermann, *Götter der Siidsee*, Stuttgart 1947.

Urs Bitterli, *Die Wilden und die Zivilisierten*, München 1976.

James Joseph Ellis, *Polynesian Researches*, London 1932.

Jules Yerne, *Die grofien Seefahrer und Entdecker*, Zurich 1974.

Karl R. Wernhart, *Gedanken um die Steinplastik „Spanier von Hawaii“ im Museumfur Yolkerkunde zu Berlin*, (w:) Baessler-Archiv, Berlin N.F. t. XX, 1972, s. 97-102.

Duncan Castlereagh, *Das Zeitalter dergrojten Entdeckungen*, London 1971.

E. Prestage, *Die portugiesischen Entdecker*, Bern-Leipzig-Wien 1936.

Erich von Daniken, *Dzief, w kt6rym przybyli bogowie*, Warszawa 1991.

Peter Farb, *Die Indianer*, Wien-Munchen-Ziirich 1971.

Felix Barker, *Entdeckungsfahrten im Altertum*, London 1971.

K. Pliniusza Starszego Historyi Naturalnej ksiqg XXXVII przelożonej na j6zyk polski przez J6zefa Łukasiewicza. Biblioteka Klassyk6w Łacińskich

Na Polski J6zyk Przelożonych. Wydane przez Edwarda hr. Raczyńskiego w Poznaniu w księgarni i drukarni J. Łukaszewicza. MDCCCXXXV.

Diodor Sycylijski, *Geschichts-Bibliothek*, Stuttgart 1866.

Frederic V. Grunfeld, *Spiele der Welt - Tlachtli*, Zurich b.d.

Urs Bitterli, *Die Wilden und wir*, „Neue Ziircher Zeitung“ z 11/12. X. 1976.

Gilbert Chinard, *L'Amérique et le reve exotique dans la litterature francaise au XVIIe et XVIIIe siecle*, Paris 1934.

Richard Delbrueck, *Siidasiatische Seefahrt im Altertum*, (w:) Bonner Jahrbiiicher des Rheinischen Landesmuseums in Bonn, Bonn H. 155/156, 1955/1956.

1. Kuno Kn6bl, *Tai Ki*, Wien 1975. .,
 1. Stuart Holroyd i David Lambert, *Rdtselhafte Statten unserer Erde*, Glarus 1979.
 2. Peter Tompkins, *Die Wiege der Sonne*, Bern 1977.

3. Wilhelm Ziehr, *Gottervogel*, Frankfurt 1976.
4. Lionel Casson, *Die Seefahrer der Antike*, München 1979.
5. G. Glas, *The History of the Discovery and Conquest of the Canary Islands*, London 1967.
6. Wilfried G. Lambert i Alan R. Miliard, *Atra-Hasis. The Babylonian Story of the Flood*, Oxford 1970.
7. Zecharia Sitchin, *Der zwölfte Planet*, Unterageri bei Zug 1979.
8. Peter Baumann, *Valdivia*, Hamburg 1978.
9. John Hampden, *Sir Francis Drake - Pirat der Queen*, Tübingen 1977.
10. Heinrich Harrer i H. Pleticha, *Entdeckungsgeschichte aus erster Hand*, Würzburg 1968.
11. Fernand Salentiny, *Das Lexikon der Seefahrer und Entdecker*, Tübingen 1974.
12. E. Prestage, *Die portugiesischen Entdecker*, Bern-Leipzig-Wien 1936.
13. Peter Worsley, *Progress and Cults in Melanesia*, (w:) „New Society”, London, I. 1962, nr 3.
14. Henry Cogan, *Die Fahrten und Abenteuer des Fernam Mendez Pinto*, London 1891.
15. William Seymour, *Auf der Suche nach östlichen Schätzen*, London 1981.
16. Guglielmo Guariglia, *Prophetismus und Heilserwartungsbewegungen als volkerkundliches und religionsgeschichtliches Problem*, (w:) „Wiener Beiträge zur Kulturgeschichte und Linguistik”, Wien, t. XIII, 1959.
17. Klaus F. Wellmann, *Indian Rock Art*, „Reader's Digest”, październik 1978.
18. Ulrich Dopatka, *Lexikon der Prd-Astronautik*, Düsseldorf 1979.
19. Jeannine Sujo-Volsky, *El estudio del arte rupestre en Yenezuela*, Caracas 1975.
20. Margaret Mead, *Una donna, un paese*, scenariusz RAI, Rzym 1972.
21. Julia Blackburn, *The White Men*, London 1979.
22. *Dustere Ahnung*, „Der Spiegel” nr 44 z 1980 r.
23. Joachim Leithauser, *Ufer hinter dem Horizont*, Berlin 1968.
24. Anton Lukesch, *Mythos und Leben der Kayapo*, (w:) „Acta Ethnologica et Linguistica, 12/1968.
25. Frank Hurley, *Perlen und Wilde*, Leipzig 1926.
26. Erich Scheurmann, *Der Papalagi*, Zollikon-Zürich 1977.
27. „Gdy przybyli biali bogowie. Jak Papuasi przeżyli przed 50 laty pojawienie się swoich odkrywców”, film Boba Connolly'ego i Robina Andersena. Emisja TV DRS 4 stycznia 1985 r.
28. Horst Frankfurth, *Die Geheimnisse der gelben Gotter*, Stuttgart 1978.
53. Richard Hennig, *Zur Vorgeschichte der Luftfahrt*, (w:) „Beiträge zur Geschichte der Technik und Industrie. Jahrbuch des Vereins Deutscher Ingenieure”, t. 18, Berlin 1928.

55
56
57,
58.
59.
60.
61.
62.
63.
64.
65.
66.
67.
68.
69.
70.
71.
72.
73.
74.
75.
76.
77.
78.
79.
80.
81.
168

Herbert Giles, *Adversaria Sinica*, Shanghai 1910.

tenze, *Spuren der Luftfahrt im alten China*, (w:) „Astronomische Zeitschrift“, z. 9., 1917.

Roger Bacon, *Epistola de secretis artis et naturae operibus*, r. 4: „De instrumentis artificionis mirabilibus, b.d.

Berthold Laufer, *The Prehistory of Aviation*, (w:) „Field Museum of Natural History, Anthropological Series", vol. XVIII, nr 1, Chicago 1928.

Dileep Kumar Kanjilal, *Latające maszyny w starożytnych Indiach*, (w:)

Erich von Daniken, *Czy się myliłem?*, Warszawa 1993.

Mahabharata, Bhandaricar Oriental Research Institute, Edn. Adiparva, b.d.

Kebrā Nagest czyli Chwałę Królów Abisynii. Fragmenty. Z języka abisyńskiego przełożył oraz wstępem zaopatrzył Stefan Strelcyn, Warszawa 1956.

. G. R. Josyer, *Ymaanika-Shaastra or Science of Aeronautics*, Mysore 1973.

. John White, *Ancient History of the Maori*, t. 1 i 2., Wellington 1887.

. *Ramajana, The War in Ceylon*, b.d. Por. także R. K. Narayan, *Ramajana*,

Warszawa 1984.

. Berthold Laufer, *The Prehistory of Aviation*, (w:) „Field Museum of Natural History, Anthropological Series", vol. XVIII, nr 1, Chicago 1928.

. Robert T. Aitken, *Ethnology of Tubuai*, Bishop Museum, Bulletin nr 70, Honolulu 1930.

Karl F. Kohlenberg, *Entrdtselte Yorzeit*, Miinchen 1970.

Peter H. Buck, *Yikings of the Pacific*, Chicago 1972.

E. S. Handy Craighill, *The Native Culture in the Marquesas*, Bernice P. Bishop Museum, Bulletin nr 9, Honolulu 1923.

Werner Miiller, *Neue Sonne - neues Licht*, Berlin 1981.

Guglielmo Guariglia, *Prophetismus und Heilserwartungsbewegungen als volkerkundliches und religionsgeschichtliches Problem*, (w:) „Wiener Beiträge zur Kulturgeschichte und Linguistik", Wien, t. XIII, 1959.

Walter Knickerberg, *Mdrchen der Azteken und Inkaperuaner, Maya und Muisca*, Dusseldorf/Kóln 1968.

Irene Nicholson, *Mexican and Central American Mythology*, London/New York 1967.

Thor Heyerdahl, *(Vegę iibers Meer*, Miinchen 1978.

Max Moszkowski, *Die Yolkerstamme am Mamberamo in Holldn-disch-Neuguinea und den vorgelagerten Inseln*, (w:) „Zeitschrift für Ethnologie", r. XLIII, 1911.

Popol Vuh, Księga Rady narodu Quiche, Warszawa 1980.
Walter Lehmann, *Die Geschichte der Königreiche von Colhuacan und Mexico*, Stuttgart/Berlin 1938.

Theodor K. Preuss, *Forschungsreise zu den Kagaba*, Wien 1926.
Friedrich Schmidtke, *Der Aufbau der Babylonischen Chronologie*, Münster 1952.

Gilgamesz, przełożył Józef Wittlin, Warszawa 1986.
Josef Blumrich, *Statki kosmiczne Ezechiela*, Łódź 1993.
Hans Herbert Beier, *Kronzeuge Ezechiel*, München 1985.

1. Wolfgang Volkrodt, *Es war ganz anders. Die intelligente Technik der vorzeit*, München 1991.
2. Claus Wilcke, *Das Lugalbanda-Epos*, Wiesbaden 1969.
3. Ludolf Krehl, *Über die Religionen der vorislamischen Araber*, Leipzig 1863.
4. N. K. Sandars, *The Epic of Gilgamesh*, Baltimore (USA) 1960.
5. *Gilgamesz*, przełożył Józef Wittlin, Warszawa 1986.
6. Oskar Ebermann, *Sagen der Technik*, Leipzig 1930.
7. C. Rajagopalachari, *Ramajana*, Bombay 1975.
8. Peter Krassa, *Als die gelben Gotter kamen*, München 1973.
9. Wolfram Eberhard, *Lokalkulturen im alten China*, cz. 2., Die Lokalkulturen des Sudens und Ostens, Leiden 1942.
10. Dileep Kumar Kanjilal, *Yimanas in Ancient India*, Calcutta 1985.
11. tenże, tłumaczenie na język niemiecki Julia Zimmermann, Bonn.
12. Chandra Protap Roy, *The Mahabharata, Drona Pana*, Calcutta 1888.
13. Franz Bopp, *Ardschuna's Reise zu Indra's Himmel*, Berlin 1824.
14. *K. Pliniusza Starszego Historyi Naturalnej ksiąg XXXVII przełożonej na język polski przez Józefa Łukaszewicza*. Biblioteka Klasyków Łacińskich Na Polski Język Przełożonych. Wydane przez Edwarda nr. Raczyńskiego w Poznaniu w księgarni i drukarni J. Łukaszewicza. MDCCCXXXV.
15. Diogenes Laertius Epikur, Księga X, Hamburg 1968.
16. Rao Narasinga (ed. N. Mahalingam), *Datę of Sri Rama*, Madras 1990.
17. Albert Griinwedel, *Mythologie des Buddhismus in Tibet und in der Mongolei*, Leipzig 1900.
18. Benoy Roy, *Aeronautics in Ancient India*, (w:) „Bulletin of the National Institute of Science of India”, nr 21, 1963.

1. Zecharia Sitchin, *Stufen zum Kosmos*, Unterageri 1982.
2. W. F. Bonin, *Die Gotter Schwarzafrikas*, Graz 1979.
3. Robert Tempie, *Das Sirius-Rdtsel*, Frankfurt/M. 1977.
4. Erich von Daniken, *Beweise*, r. 3., Dusseldorf 1977.

1. Bhaktivedanta Swami Prabhupada, *Srimad Bhagavatam*, Pieśni L-12., Vaduz 1984.
2. K. Jellinek, *Moses ben Schemtob von Leon*, Leipzig 1851.
3. Knorr de Rosenroth, *Kabbala denudata*, Frankfurt 1677-1684.
4. Lambert Meyer, *Commentaire sur le Sepher Jesira, par le Gaon Sadya de Fayoum*, Paris 1891.
5. *Die Kabbala*, (wg: Von Papus, *La Cabbale*, Paris 1903), Ulm 1962.
6. Karl Steinbuch, *Falsch programmiert*, Stuttgart 1968.
7. Leon Feer, *Annales du Musee Guimet, Extraits du Kandjour*, Paris 1883.
8. Dileep Kumar Kanjilal, *Fliegende Apparate in altindischen Sanskrit-Texten*, (w:) Neue Beweise per Pra-Astronautik, Raststatt 1979.
9. Horst Hammitzsch i Lydia Briill, *Japan*, Wiesbaden 1981.
10. Peter Kolosimo, *Yiele Dinge zwischen Himmel und Erde*, Wiesbaden 1970.
11. Paul Ehrenreich, *Die Mythen und Legenden der siidamerikanischen Urvolker und ihre Beziehungen zu denen Nordamerikas und der alten Welt*, (w:) „Zeitschrift fur Ethnologie“, r. 37, 1905.

169

115. Heinrich von Stietencron, *Indische Sonnenpriester. Samba und die Sakadvipiya-Brahmana*, Wiesbaden 1966.

116.
117.
118.
119.

Diodor von Sizilien, *Geschichtsbibliothek, Ks. II*, Stuttgart 1867.
„Der Spiegel“ 31/1991.

Ronald Story, *The Encyclopedia of UFOs*, New York 1980.

U. Edward Condon, *Scientific Study of Unidentified Flying Objects*, Colorado 1968.

1. Allen J. Hynek, *The UFO Experience, a Scientific Inquiry*, Chicago 1972.
 1. Jacques i Janinę Yallee, *Challenge to Science - The UFO Enigma*, Chicago 1966.
 2. „Sonntags—Zeitung“ z 29 VII 1990.
 3. „Science & Vie Junior“, 1/1991. .
 4. „The New York Times“ z 25 II 1957.
 5. Christopher Cerf i Yictor Navasky, *The Experts Speak*, New York 1984.
 6. Ptolemaus, *Almagast*, Cambridge 1974.
 7. Allen Hynek, *Da ist es! Es bewegt sich!*, „Der Spiegel“ 17/1967.
 8. Wypowiedź w programie TV CBS „UFO-Cover-Up-Life“ nadanym z Waszyngtonu 14 X 1990.
 9. Fred Hoyle, *Das intelligente Universum*, Frankfurt 1984.

10. „The National Enquirer", UFO-Report, New York 1965.

11. Michael D. Papagiannis, *The Search for Extraterrestrial Life, Recent Developments*, Boston University 1984.

132.

J. Tarter, *SETI Observations Worldwide*, (w:) Michael D. Papagiannis, *The Search for Extraterrestrial Life, Proceedings*, 112. Sympozjum IAU, Boston 1985. '

133.

T. McDonough, *Continuing SETI*, (w:) The Planetary Report, vol. IX, 1989.

1. Michael D. Papagiannis, *The Importance of Exploring the Asteroid Belt*, (w:) „Acta Astronautica", vol. 10, nr 10, 1983.
2. Harry O. Ruppe, *Die grenzenlose Dimension Raumfahrt*, t. 2., Diisseldorf 1982.
3. Gerard O'Neill, *Unsere Zukunft im Raum*, Bern/Stuttgart 1978.
4. Johannes Fiebag, *Kommunikation mit auferirdischen Intelligenzen*, (w:) „Astronautik", z. 4/1989.
5. Johannes Fiebag, *Aus den Tiefen des Alls - Wissenschaftler aufden Spuren extraterrestrischer Eingriffe*, Tiibingen 1985.

139

Johannes Fiebag, *Die Geheime Botschaft von Fatima - was geschah 1917 in Portugal wirklich?*, Tiibingen 1986.

140

R. N. Bracewell, *The Galactic Club: Intelligent Life in Outer Space*, San Francisco 1975.

141

James W. Deardorff, *Examination of the Embargo Hypothesis as an Explanation for the Great Silence*, (w:) „Je. of the British Interplanetary Society", 40/1987.

142

„Quarterly Journal of the Royal Astronomical Society", 27/1986.

1. James W. Deardorff, *Die mogliche Strategie auserirdischer Intelligenzen fur die Erde*, (w:) „Quarterly Journal of the Royal Astronomical Society", 27/1986.
2. Erich von Daniken, *Wszyscy jesteśmy dziećmi bogów*, Warszawa 1991.
3. John G. Fuller, *The Interrupted Journey*, New York 1974.
4. tenże, *Aliens in the Skies*, New York 1969.
5. Trench B. Le Poer, *Mysterious Yisitors*, London 1975.
6. Johannes von Buttlar, *Das UFO-Phanomen*, Munchen 1978.
7. Erich von Daniken, *Die Spuren der Aufierirdischen*, Munchen 1990.
8. Roland Pucetti, *Auflerirdische Intelligenz in philosophischer und religioser Sicht*, Dusseldorf 1970.
9. Michael D. Papagiannis, *Life-Related Aspects ofStellar Evolution*, Boston 1984.
10. Michael D. Papagiannis, *Natural Selection ofStellar Civilizations by the Limits ofGrowth*, Oxford 1984.
11. Francis Crick, *Istota i pochodzenie życia*, Warszawa 1992.
12. Fred Hoyle i N. C. Wickramasinghe, *Evolution aus dem Ali*, Frankfurt 1981.
13. Victor Farkas i Peter Krassa, *Lasset uns Menschen machen*, Munchen 1985.
14. Franz Phillip, *Deutsche Raumfahrt ab 1934*, Berlin 1970.
15. „OVNI-Magazine", Bulletin Mensuel de la Banque Internationale de Donnees Ufologiques, Chatillon.
16. *The Zeta Reticuli Incident*, (w:) „Astronomy", 12/1974.
17. Terence Dickinson et. al., *The Zeta Reticuli Incident*, Milwaukee 1976.
18. Patrick Moore, *Weltraumatlas*, Bern 1970.
19. James Edward Oberg, *Paradiese vom Reifibrett*, (w:) „OMNI" 4/1984.
20. *Yearbook of International Organisations*, 27th Edition, London 1990/91.
21. Wilhelm Gliese, *Catalog of Nearby Stars*, San Francisco 1969.
22. Cytat z wypowiedzi prof. Allena Hynka, „Bild am Sonntag" z 6 VI 1976.
23. Ed i Frances Walters, *UFO's - es gibt sie*, Munchen 1991.
24. Johannes von Buttlar, *Zeitriifi*, Munchen 1989.
25. tenże, *Drachenwege*, Munchen 1990.
26. Michael Hesemann, *UFO 's: Die Kontakte*, Munchen 1990.
27. tenże, *UFO: Dowody*, Warszawa 1993.
28. Timothy Good, *The Worldwide UFO Cover-up*, London 1987.
29. G. Cocconi i P. Morrison, *Searchingfor Interstellar Communications*, (w:) „Nature" 184/1959.

30. Gerald Feinberg, *Possibilities of Faster-than-Light-Particles* (w:) „Physical Review" 1967.
31. Seth Shostak, *SETI Gets Serious*, (w:) „Aerospace America", vol. 29, nr 11, 1991.
32. „New York City Tribune, Science" z 12 V 1988.
33. James R. Wertz, *The Human Analogy and the Evolution of Extraterrestrial Cmlizations*, (w:) „Je. of the British Interplanetary Society", vol. 29, nr 7-8, 1976.

171

1. M. J. Fogg, *Temporal Aspects of the Interaction Among the First Galactic CMLizations. The „Interdict Hypothesis"*, (w:) „Icarus", vol. 69, 1987.
2. H. J. Campbell, *Der Irrtum mit der Seele*, Bern 1973.
3. Teleks AP z 24 V 1986, Brasilia „Brazylijscy piloci relacjonują pościg za UFO".
4. „Der Spiegel" 6/1987.
5. „Blick" z 10 X 1989.
6. „Bild" z 11 X 1989.
7. „Tages-Anzeiger" z 10 X 1989.
8. „Tages-Anzeiger" z 11 X 1989.
9. „Die Welt" z 10 X 1989.
10. „Badener Tageblatt" z 11 X 1989. ,
11. „Stuttgarter Nachrichten" z 10 X 1989.
12. „Prawda" z 13 X 1989.
13. Peter Bier, *Karl Marx und die griinen Mdnnchen*, „Stern" 10/1989.
14. *Winziger Kopf*, „Der Spiegel" 42/1989.
15. Marina Popowitsch, *UFO Glasnost. Ein Geheimnis wirdenthiillt*, Munchen 1991.
16. *Die UFO-Manner waren iiber drei Meter groj)*, „Bild am Sonntag", 4 VII 1976.
17. Peter Krassa, *Phantome des Schreckens*, Wien 1980.
18. Charles Berlitz i William Moore, *Das Philadelphia Experiment*, Hamburg 1976.
19. Korespondencja Ericha von Danikena z Helmutem Liehmannem. Archiwum, nr 31416.
20. Teleks Elfie Siegl z Moskwy 30 I 1985: „Radzieccy piloci odkryli UFO".
21. Albert Einstein, *Istota teorii względnosci*, Warszawa 1962.
22. Ernst Mach, cyt. za: *The Book of Heroic Failures*, London 1979.
23. T. J. J. See, cyt. za: „The Literary Digest", 11/1924.
24. Louis Pauwels i Jacques Bergier, *Aufbruch ins dr i t te Jahrtausend*, Bern 1962.
25. Budd Hopkins, *Eindringlinge*, Hamburg 1991.
26. Whitley Strieber, *Communion*, New York 1987.
27. tenże, *Transformation - The Breakthrough*, New York 1988.
28. Millar Burrows, *Mehr Klarheit iiber die Schriftrollen*, Miinchen.

29. Gorion Bin i Josef Micha, *Die Sagen der Juden von der Urzeit*, t. L, Frankfurt 1913.
30. Cornelia von Daniken, *Embryo-Transfers im alten Indien*, (w:) „Ancient Skies”, r. 15, nr 3/1991.
31. S. N. Kramer, *Geschichte beginnt mit Sumer*, Munchen 1959.
32. Emil Kautzsch, *Die Apokryphen und Pseudoepigraphen des Alten Testaments*, Bd. 2, Das Buch Henoch, Tiibingen 1900.
33. Ulrich Magin, *Von UFO entfuhrn*, Munchen 1991.
34. Otto Billig, *Flying Saucers - Magis in the Skies. A Psychohistory*, Cambridge 1982.

172

1. Roberto Pinott, *ETI, SETIunddie Öffentlichkeit heute*, (w:) „Die Sterne”, t. 67., z. 5, 1991.
2. Rolf Brockmann i Wolfgang Siebenhaar, „Merlin I”, *Ein AAS-Projekt zum Kornkreisphnomen in Sudengland*, (w:) „Ancient Skies”, r. 16., z. 1., 1992.
3. Michael Hesemann, *Manetekel im Korn*, (w:) „Magazin 2000”, dodatek specjalny nr 86/87, r. 13., 11/1991.
4. Arthur C. Clarke, *Profile der Zukunft - iiber die Grenzen des Móglichen*, Munchen 1984.
5. Carl Sagan, *On the Detectivity of Advanced Galactic Cmlizations*, (w:) „Icarus 19”, s. 350-352, 1973.
6. SOBEPS (wyd.), *Vague d'Ovni sur la Belgique - Un Dossier Exceptionnel*, Bruxelles 1991.
7. *K. Pliniusza Starszego Historyi Naturalnej ksiąg XXXVII przelożonej na język polski przez Józefa Łukaszewicza*. Biblioteka Klasyków Łacińskich Na Polski Język Przełożonych. Wydane przez Edwarda nr. Raczyńskiego w Poznaniu w księgarni i drukarni J. Łukaszewicza. MDCCCXXXV.
217. Peter Fiebag, *Von „Jliegenden Drachen” und „eurigen Scheiben” - UFO-Sichtungen aus Antike und Mittelalter*, (w:) „Solar System”, 3/1975.

V. Niesamowite spotkania

132

O przyjemności i nieprzyjemności — Oficjalne kłamstwo — Ministerialne wyznanie — Masowe wyparcie — Zdarzenie — Niezdolni do nauczania się czegokolwiek — Morskie opowieści? — Sperma dla nieba — Tylko jedna hipoteza? — Psychologiczny masaż świadomości — Zbadane i uznane za zbyt banalne

Spis treści

Przypisy

166

Wstęp

I. Ludzcy bogowie 6

Pompa i bluff — Błyskawicą i grzmotem —
Nosiciele kultury? — Jeszcze dalej
w przeszłość — Religie to również mity —
Pamiętki z innego świata — Człowiek
z Księżyca — Telefon do bogów — Dobór słów i
wymowa tekstu

II. Boscy ludzie

37

Rękopisy opisujące prehistoryczną technikę
latania — Incydenty z mórz
południowych — Święty Tomasz jako
Quetzalcoatl — Te same rośliny - te
same powiedzenia

III. Specjaliści w dziedzinie rozwoju

59

Zdemaskowanie boskich czarów — Obcy w
dżungli — Grzmoty i huk — Gość
z Wszechświata — Fantastyczna rzeczywistość
— Gry słowami — Słowo
prawdy — Mieć rację za wszelką cenę? —
Nawet w Tybecie i w Japonii — Kto
tu błaguje — Architektura sakralna naśladuje
statki kosmiczne — Powiedz
mi *quando*, powiedz, kiedy?

IV. Rzeczywistość czy utrata poczucia rzeczywistości

95

Śmierząca sprawa — Gdzie rodzi się kłamstwo?
— Odrobina teorii — Społeczeństwo a istoty pozaziemskie — Nie ma
inwazji z zewnątrz — Zdarzenie stare
- analiza nowa — Niesamowita prawda —
Analiza — Skarb ukryty w ludzkiej
pamięci — Z nieubłaganą logiką — Czy
wszystkich ogłupiono? — *Up, up and*

away!

174